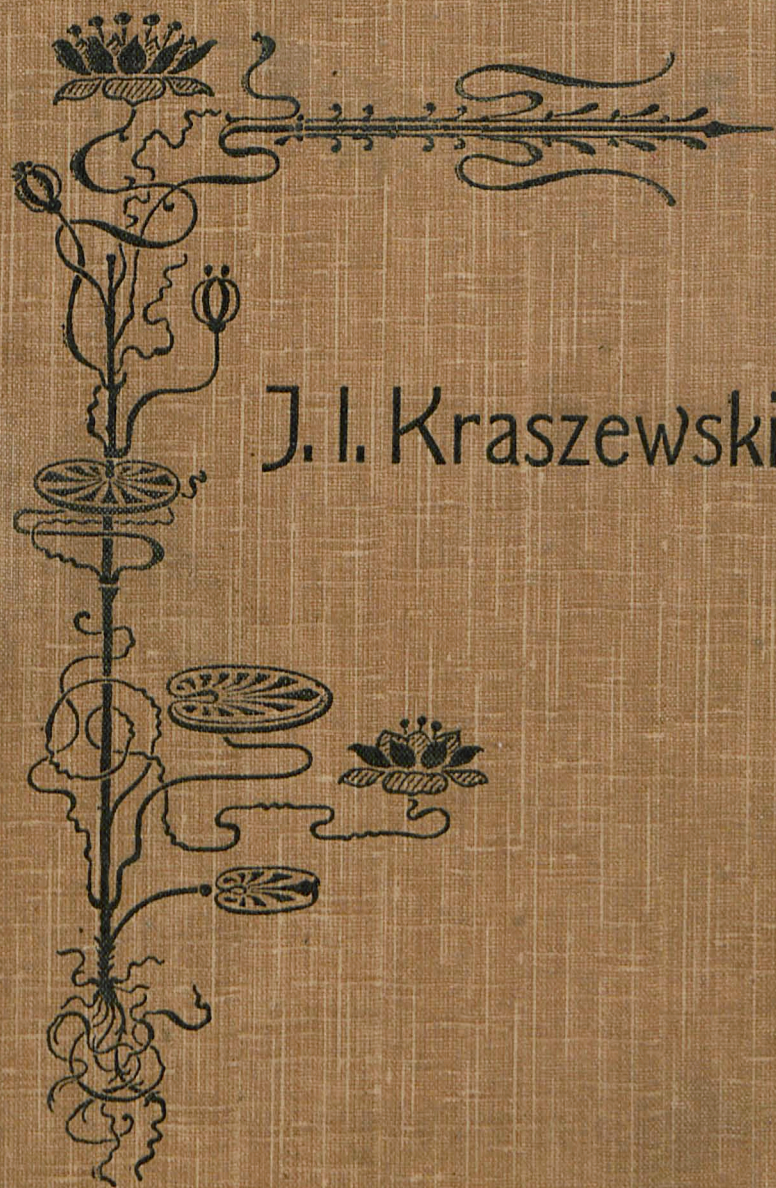




J. I. Kraszewski

BOŻY GNIEW.

D. E. FRIEDLEIN
KSIĘGARNIA
W KRAKOWIE.

BOŻY GNIEW.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Czasy Jana Kazimierza).

przez

J. I. Kraszewskiego.

Kraszewski

TOM II.

WARSZAWA.

Gebethner i Wolff.

Michał Glücksberg.

Edward Wende.

Maurycy Orgelbrand.

G. Sennewald.

1886.

Дозволено Цензурою.
Варшава, дня 18 Сентября 1886 года.



hw/117 332

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krkow.-Przedm. 66.

I.

Spadł nad ranem deszcz na pobojowisko i obmył je, jakby łzami ciepłemi. Król wstał po krótkim wypoczynku, niespokojny; noc, trochę snu już w nim zapął wielki, ochotę do boju, nawet ufność w opiekę niebios ugasiła. Wstał z łóża ze zwątpieniem w duszy.

Rycerstwo, przeciwnie, dawało teraz dobry przykład mężstwa i ofiarności, gdy Jan Kazimierz, który gorączkowo obiegał obóz, gotując się przelać krew, na duchu, był przybity i strwożony.

Miał też do tego smutnego usposobienia pobudek wiele; zabrakło mu do rannych modlitw i exercycyi pobożnych heroicznego ks. Lisieckiego, innych wielu zostało z nim na pobojowisku. Zamiast tego ukochanego kapłana wszedł, do mszy się sposobiąc, ks. Cieciszowski.

Nie śmiał pytać o tych, których nie widział na
Boży gniew. Tom II.

zwykłych miejscach, aby nie odebrać w odpowiedzi, od wczoraj ciągle powtarzającej się: Po-
legł...

Ze starszyny pierwszy zjawił się ze smutnem, zasepionem obliczem Ossoliński, a król witając go, nieśmiało... zapytał cicho:

— Wistocie myślicie listem zwrócić się do Islam Gereja? Rozwahałem to, nie wiem sam...

Zawahał się, spuścił oczy, niedokończył.

— List już nawet przez rannego jeńca odprawiłem do niego — rzekł kanclerz.

— Przyda się to na co? — mówił dalej Jan Kazimierz. — Jak się wam zda?

Ossoliński zlekka poruszył ramionami.

— Należało spróbować — odparł — chociaż zbyt zaufać nie można...

Westchnął król, zamilkł. Wszyscy dworacy, nawykli do tych zmian w panu swoim, postrzegli zaraz, że wstał innym, i że wczorajszy rycerz... przedzierzgnął się w trwożliwego niemal mnicha.

Ciągle prawie teraz modlił się i przyklekał... Siadł potem, jakby z musu, na konia, objechał obóz, prawie ust nie otwierając, i do chałupy powrócił z widocznym niepokojem...

Tatarowie dnia tego nie napadali całą siłą, Kozactwo też nieco się opodał trzymało, ucierano się tylko mniejszemi oddziałami na skrzydłach.

Jan Kazimierz po kilkakroć zwoływał do siebie tych, co mu o Ordzie mogli dać dokładniejszą wiadomość i w końcu rzekł do Ossolińskiego:

— Tatarów jest moc wielka, nam pospolite ruszenie nie dopisało; jeżeli się nie uda ich odciągnąć, a Kozacy z drugiej strony nacisną... zostaniemy osaczeni, jak Zbarażcy...

Kanclerz nie odpowiedział.

Jak owej pamiętnej nocy zapął i męztwo króla natychmiast na wojsko oddziały i zagrzały je tak teraz wyraz twarzy, ruchy, szeptania i naraady z Ossolińskim, odbiły się na dworze, na starszynie i na wojsku. Zwątpienie, jeżeli nie strach, wkładało się w serca.

Z ciekawością wypatrywano przez dzień ten cały posłów biegających między obozem Islam Gereja a królewskim.

Z twarzy kanclerza trudno coś było wnioskować; zawsze ona dumną i zadumaną ukazywała się ciekawym... wiadano tylko, że bardzo był zajęty i że zebrawszy tłómaczów i skrybentów, którzy cośkolwiek po turecku i arabsku rozumieli, pracował z niemi. Pisano coś i przepisywano.

Jowialista Skarszewski, wnosił z tego pocichu: „Zaczynają atrament rozlewać. Strach, aby po nim czarnych plam nie zostało!”

Zagadywany kanclerz nie zdradził się nawet

przed królem i wieczorem dopiero, gdy się zebrali dowódcy, aby plan dalszego pochodu na odsiecz Zbarażowi obmyśleć, wszedł z majestatyczną swą postawą, niosąc w ręku, jako znamię zwycięstwa, list od Islam Gereja... który był odpowiedzią, niestety—na zapytanie w imieniu... Stanów Rzeczypospolitej.

Pierwszy krok zmuszonym był uczynić kanclerz, chociaż go to kosztowało wiele. Nadrabiał w liście tonem groźnym i dumą, ale samo wysłanie zapytania do Hana dawało uczuć słabość. Przypominano Tatarom przymierze, podarki, które im dawano, a które oni nazywali haraczem...

Odpowiedź Hana, dosyć łagodna, okazywała skłonność do porozumienia się z Rzeczpospolitą.

W chwili, gdy ten list Islama przyniesiono, wraz z tłumaczeniem na język łaciński, wielu z dowódców otaczających króla, którzy dotąd wcale o rozpoczętych krokach dla porozumienia się nie wiedzieli, wybuchnęli głośno z protestacyami. Starzy rotmistrze i pułkownicy chcieli iść i bić się, ginąć lub trzymać się odpornie, oczekując na pospolite ruszenie, okopawszy się jak Wiśniowiecki pod Zbarażem, ale wypraszać się u Hana i kłaniać Tatarzynowi!—wydawało się im sromotą okrutną.

Król przecież zaraz w początku usta im zamknął,

broniąc Ossolińskiego, wyrażając się otwarcie za tem, aby krwi oszczędzić.

Po chwili zdumionego milczenia niemniej przyszło do żywych sporów i ostrych słów. Kanclerz, poparty przez króla, wymowny, zręczny, przy swoim się utrzymał.

— W najwyższej mam czci—rzekł w końcu—heroiczne czyny panów regimentarzy we Zbarażu, ale gdy dla króla jenci i dla wojska mogą uniknąć alternaty niepewnej w polu, a krwi chrześcijańskiej zaoszczędzić, nie będę się sromił ani z Hanem traktować, ani go zapłacić.

Oderwać go od Kozactwa, zmusić Chmiela do ukorzenia się i wypuszczenia obleżonych panów regimentarzy, zwrócić go do posłuszeństwa, jeśli nie orężem, to porozumieniem się z nim, nie będę się wahał.

Król mileząco mu potakiwał.

Starszyzna jednak burczała i żżymała się.

— Lepiej życie pocziwie dać, niż dzieciznę sromotnie czołem bić... Nam wzorem być powinni Zbarażcy, którzy po dziś dzień się heroicznie trzymają, gdy my nie począwszy się cofamy.

Nie słuchano starych; król i Ossoliński odpowiedzialność brali na siebie. Ci, co z rady wychodzili, burzyli się, inni już w żarty i przyciski obracali swój smutek. Pomijano Jana Kazimie-

rza; na kanclerza plwano i urągano się z jego rozumu.

Świadczą o tem wszyscy współcześni, i na kartach ówczesnych dyaryuszów co krok się spotykamy z usposobieniem szyderskiem, które naówczas panowało. W najcięższych razach drwiono i dworowano z ludzi i wypadków. Nieubłaganych tych siepaczy, nieprzebaczających nikomu ani sobie nawet, zwano łagodnie Jowialistami. Do nich należał niedawno przedtem zmarły w Krakowie dzielny żołnierz, ale razem szalenciec dowcipny Samuel Łaszczy, Strażnik Koronny, który banicjami i dekretami przeciw sobie ferowanemi ferezye sobie na kontempt prawa podbijać kazał, a umierając, gdy doń przyszli wierzyciele i upominali się o należności, cygana skrzypka, którego z sobą wszędzie woził, przywołał i wierzycielom na pociechę na skrzypkach mu kazał zagrać. Tyle z niego mieli, bo wprędce ducha Bogu oddał...

Takim był ów Zygmunt Skarszewski, stary dworak Władysława IV, i Stanisław Xięzki, żołnierz dzielny, ale języka ostrego, jak brzytwa. Tymśmym duchem wesołej obojętności, przejęty był i Pasek, który sobie ze wszystkiego dworował.

W obozie też króla pod Zborowem na tych jowialistach nie zbywało, znajdowali się właśnie Skarszewski, Xięzki i siła im podobnych.

Ci zaraz sobie z kanclerza i jego zalotów do Tatarów poczęli stroić żarty; ale obok nich gromada się znalazła, która wołała się wykupić i do domu powracać, nie zaznawszy głodu i ucisku...

Większość jednak przeciwko Ossolińskiemu była, którego zdawna nie lubiono, zarzucając mu dumę, ubieganie się za tytułami i podbudzanie Władysława IV do wojny, za którą teraz pokutowano.

Nie zabrakło jowialistom treści do żarcików ostrych z Ossolińskiego, z króla, z siebie i do porównań Zbarażan ze Zborowczykami...

Skłonność ta do szyderstwa wistocie była jedną z cech wieku, jakby rozpaczającego o przyszłości. Nie była może bez wpływu na wyrobienie tego humoru reformacya i polemika między starym Kościołem a zwolennikami nowinek, ale i inne fermentacye tę zrodziły żywioły... Sposób życia, nieustanne ucztowania, po obozach obcowanie mężczyzn samych z sobą, bez udziału kobiet, puściły wodze językom.

Gdy kto raz, jak pan Samuel Łaszczy albo Pasek, zasłynął z tego lekceważenia sobie wszystkiego i ośmiewania życia—wynoszono go, porywano, zmuszano niemal do wytrwania w tym szale do końca.

Dowcip ten, często tragicznie brzmiący, przebiega się w pismach Wacława Potockiego, w pię-

knych poezjach Morsztyna, w mnogich tego czasu pozostałościach... i w żywotach ludzi naigrawać się zdających z własnego losu. Było w tem coś rycerskiego ducha, ale sceptycyzmu i lekceważenia więcej jeszcze.

Na Ossolińskiego rycerstwo-by może gwałtowniej daleko się rzuciło, gdyby nie król, który stał widocznie przy nim. Poszanowano majestat jeszcze, ale wiele mu blasku odjęło to nagłe Jana Kazimierza ostygnięcie.

Uradowano się temu bohaterskiemu rozgorączkowaniu, gdy król wołał, że gotów życie dać, po obozie dniem i nocą jeździł, z pola nie schodził, ludzi rozsyłał, rozkazywał, rozstawiał; zdumiano się postrzegłszy, jak nagle ostygł, spowolniał, zamikł—i zwrócił znowu więcej ku modlitwie...

Niektórzy, uniewinniając go, składali wszystko na to pospolite ruszenie, które się nie poruszało i nie przychodziło. Drwiono więc z niego okrutnie.

Kancelarz tymczasem, na nic nie zważając, bardzo zręcznie jedne układy prowadził potajemnie, a drugie urzędownie i jawnie...

Tatarowie już się na zjazd i wysłanie od siebie do traktowania kommissarzów godzili. Umawiano się już o zakładników, o miejsce i czas. Ossoliński pewnym był zwycięstwa.

Zaledwie się to dokonało, choć skrycie i po-

cichu, Kozacy natychmiast wiedzieli, co się święci. Skoczyli do Islam Gereja, starając go się utrzymać przy sobie; Han ich grubijańsko odprawił.

Cała ta wyprawa dosyć go już kosztowała, a łupów przyniosła mało. Wołał z królem do czynienia mieć, niż z Chmielem, który tak samo, jako polskich wysłanych do siebie kommissarzy zwodził, okłamywał, miotał nimi, tak i Tatarów ludził obietnicami, i na swą korzyść wyzyskiwał.

Ossoliński drugiego dnia przyniósł królowi wiadomość, że prawdopodobnie z Tatarami za pieniądze do porozumienia przyjdzie.

Ale Han ciężkie, upokarzające narzucał warunki. Ossoliński rad był utaić je, bo wiedział dobrze, iż zgrozę i oburzenie wywołują. Tatarzy wprost haraczu wymagali sromotnego. Nie zmieniło to jego natury, iż go podarkiem nazwać dozwolili—niby jurgieltem dla wojsk, które Rzeczypospolitą posiłkować miały przeciwko jej nieprzyjaciółom.

Chmiel, spróbowałszy napróżno Hana odciągnąć od sojuszu z królem, natychmiast zmienił ton i postępowanie.

Mistrz, niezrównany w kłamstwie, które, to gburowstwem, to jakąś niby głupotą, to pijactwem się okrywało, Chmielnicki, niby [strwo-

żony, płakać począł, pożądać przebaczenia i pojednania, gnać się też do króla, któremu gotów był paść do nóg i poprzysiąc służby wierne.

Ze wszystkiego, co współcześni o tym wodzu Zaporozców podają, całego nierozumiejąc, widać w nim najprzewrotniejszego szalbierza, który oszukuje wszystkich z kolei: Króla Polskiego, Tatarów, własne wojsko swoje i wszystkich, z którymi ma do czynienia.

Jego kameleonowskie oblicze, jednego dnia zalane łzami skruchy, drugiego wściekłością się pieni, potem szalem jakimś, jak mgłą, osłania, ale niczemu wierzyć nie można: oszukuje wszystkich i zwodzi.

Z nadzwyczajną zręcznością okazuje się umyślnie szalonym, dzikim, aby mu wszystko było wolno...

Gdy mu z tem dogodniej, pijanym się czyni i bezrozumnym, potem zbiedzonym i pokornym, a nazajutrz wybucha znowu, grozi i okrucieństwem przeraża.

W tych wszystkich metamorfozach jedna myśl stale i uparcie go prowadzi: zawładnięcia krajem, uczynienia się panem Rusi, założenia dla siebie osobnego królestwa, które na początek gotów jest powierzyć opiece najmniej niebezpiecznego sąsiada.

Wyzyskuje wszystkich i wszystko, nie wiąże

się niczem, przysięga i łamie przysięgi z największą łatwością, obiecuje i nazajutrz nie wie i nie pamięta, co przyrzekał... To pijaństwo, o którym często jest mowa, widocznie jest dla niego doskonałym środkiem, do urągania się z ludzi. Widać dziś, że pijanym był zawsze, gdy mu to posłużyć mogło.

Pod Zbarażem, przekonawszy się, że rycerstwo polskie nie całe było można piławiecką miarą szacować, gdy mu się tu Islam Gerej z rąk wyśliznął,— obrachował natychmiast, że pozorny, chwilowy sukces Polaków może doskonale na korzyść swojej obrócić.

Zaledwie Han począł się umawiać z Ossolińskim o ten haracz, który podarkiem nazywano, Chmiel natychmiast oświadczył, że i on, ulegając namowom Islam Gereja, gotów jest do układów, do zgody, do poddania się i poprzysiężenia wierności królowi jmości.

Wiedział, że tem uspi niebardzo chętną do wojny szlachtę, zyszcze czas do lepszego zorganizowania się, a przez traktaty wcale związanym nie będzie. W obozie polskim nie wiedział jeszcze nikt o zwycięstwie Radziwiłła, który zadał klęskę wielką Kozactwu. Chmiel już był o niej zawiadomiony.

Rozumiał też dobrze, iż król na początku swojego panowania, aby się mógł pochlubić wiktoryą

i traktatami, gotów przyjąć najcięższe warunki. Postanowił korzystać z tego — i rachuby go nie omyliły.

Zwrót ze strony Chmiela nastąpił tak jakoś nagle, dziwnie, iż król i kanclerz, nie wiedząc czemu go przypisać, winszowali sobie przebiegłości w porozumieniu się z Hanem.

Ossoliński przypisywał po części tę powolność posłuchom o ciągnącym groźnem pospolitem ruszeniu, król opiece Najświętszej Panny Maryi Bełskiej, która po Czerwieńskiej i Częstochowskiej była teraz w największej weneracyi.

Jowialiści obozowi z niedowierzaniem i podejrzliwie wieść o układach przyjęli. Prostym rozumem chłopskim, mówili, łatwo widzieć, że Tatarowie i Kozacy tak bardzo się nie ulękli nagle; coś więc pod spodem tkwić musiało! Zkądby Chmiel skruszonym miał być tak niespodzianie?

Drudzy radzi, że rychło do domu powrócą, cieszyli się i sławili króla i kanclerza.

— Abyśmy tylko do domu sromu nie przywieźli! — mruczano.

Zbarańcy bohaterowie budzili zazdrość. Drwiono pocichu z przemądrego kanclerza, który, nie oglądając się na paskwile, układy do końca prowadził.

— Warunków ich nie wiedział nikt... domyśla-

no się, że zaważą ciężko, na pocziwej sławie polskiego rycerstwa...

Król nie nie dawał poznać po sobie, ale twarz mu się wyjaśniała mimowoli. Zapytywany, milczał... Ossoliński odprawiał dwuznacznikami, głosząc tylko, że Rzeczpospolita tryumf odniosła przeważny, a król okrył się chwałą. Nie mówił o sobie, lecz domysleć się było łatwo, jaką przypisywał zabiegom swym zasługę.

Wtem Islam Gerej pierwszy powinszował królowi Radziwiłłowskiego na Litwie zwycięztwa... i wiadomość ta nieco uspokoiła umysły, bo tłómaczyła powolność Kozaków.

Raziło tylko, iż do Hana ślano podarki kosztowne i kiesy złota pełne...

Nareszcie... Chmiel, pełen skruchy, do króla przyszedł, na kolona przed nim upadł, majestat chciał przebłagać, wierność przysięgał.

— Czegóż wy więcej chcecie! — wołali wielce z pokoju uradowani. — Zbaraż uwolniony od oblężenia, Kozactwo zaciągnięte w służbę naszą...

Jowialiści odpowiadali:

— Czekajcie aż się medal na drugą stronę obróci..

Wtem ze Zbaraża przyniesiono, iż Kozacy wprawdzie ustąpić się obowiązali, ale szczodry Ossoliński za to im także podarek przyrzekł.

Zamknęci jeszcze w okopach bohaterowie, krzyknęli jednym głosem:

— Ginać lepiej! Bodajecie tego nie doczekali, abyśmy my, krwią się naszą okupiwszy, pieniędzmi jeszcze chłopstwu wypraszać się mieli! Przyrzekliście im: płacie sami; nie damy złamanego szeląga!

Wybuchnęli wszyscy na Ossolińskiego i poszła po wojsku sromotna gadka: „W Zbarażu dziesięciu Tatarów pierzchało przed jednym Polakiem, w Zborowie Polaków dziesięciu uciekało przed jednym Tatarzynek!”

Tryumf polityki Ossolińskiego i króla zaczął się już w pohańbienie obracać. Król jeszcze się z dobrą myślą trzymał, bo mu jej kanclerz dodawał: i tak, zwyciężko napozór, ale z niepokojem w duszy wyruszono pod Gliniany, a z Glinian do Lwowa.

Jan Kazimierz dosyć skromnie i cicho wszedł do ruskiej stolicy. W wojsku szemrano i naśmiewano się potrosze.

W parę dni potem biegały po mieście chciwie przepisywane paskwillusze.

„Wesoły nam dziś dzień nastał! Pokój się nam narodził!

„Radujcie się narodowie polski, litewski i ruski. Zwycięstwo okrutne na papierze... Oświecony

książę kanclerz ojczyznę uratował, sławne traktaty przypieczętował. Cześć mu i sława!

„Punkta traktatu z Tatarami:

„Między Islam Gerejem Hanem Tatarskim i następcami jego a Królem Polskim i następcami jego, szczery pokój i przyjaźń zachowaną będzie na wieki.

„Król JMości Polski Hanowi JMości corok haracz płacić ma w Kamieńcu, a Han, gdy mu się spodoba świeżego zażyć powietrza, pojedzie do Warszawy komedyi na zamku assystować.

„Czambuły, ekskursye, rabunki ludzi i bydła, jeżeliby się jakie przytrafiły, król polski na to zważać niema, ani się nie skarżyć i przyjaźni to wzajemnej psować nie będzie.

„Tatarskie wojska od Zbaraża i granic Rzeczypospolitej wyjdą, gdy się im spodoba, a choćby po drodze excessa jakie popełniły, wojska Rzeczypospolitej za to prosekwwować ich nie mają prawa.

„Tatarowie Krymscy, Natajskie, Pemruckie, Budziackie, Petyhorskie, Czyrkaskie, Wołoskie, Multańskie, Siedmiogrodzkie, Tureckie, Rumelskie pułki i ordy—i inni narodowie—swobodnie w Polsce gospodarzyć i plądrować będą bez przeszkody.

„Za supliką Hana JMości Wojsko Zaporoskie królowi polskiemu urazy swe, pretensye, ponie-

sione krzywdy przebacza i w niepamięć puścić przyrzeka.”

„Punkta traktatu z Kozakami:

„Wszystkie starodawne welności Wojska Zaporozkiego Król Polski na nowo korroboruje i dyplomem stwierdza.

„Komput Wojska Zaporozkiego ma być czterdzieści tysięcy, ale w rejestra wnikać i liczby słuchać nikt ich nie ma prawa.

„Zaciągi sobie panowie Kozacy swobodnie czynić mogą z miast, miasteczek, wsiów i slobód, w dobrach królewskich, a w szlacheckich, choćby poddanych buntowali i zaciągi potajemnie robili, przez szpary patrzeć się będzie.

„Hybern, stanowisk, kontrybucyi żołnierskich, w miastach i dobrach dla Kozaków ordynowanych, Rzeczpospolita nie będzie się ważyć swojemu wojsku naznaczać...

„Godności i urzędy w województwach Kijowskiem, Braclawskiem Czernihowskiem, nikomu innemu oddawane nie będą, krom blachoczestwych ludzi.

„Kozactwo, choćby dziesięć i więcej razy zdradziło, bezkarnie się mu to dopuści—i karać nie będzie.”

Takie i gorsze skrypta codzien podrzucano Ossolińskiemu, a i król je w swoich pokojach znajdował; raz nawet do kieszeni w sukni rękę

włożywszy, paskwillusz z niej dobył na kanclerza haniebny, który, nie dając po sobie znać, na kominku spalił.

Ale nie zbywało i na pochlebcach, którzy, tak Ossolińskiemu, jak Janowi Kazimierzowi, za Traktaty Zborowskie dziękowali, zowiąc je zbawieniem Rzeczypospolitej.

Do chwilowego pozyskania serc u szlachty przyczyniła się i jedna okoliczność błaha, ale może skuteczniej działająca, niż najdzielniejsze walki i zwycięstwa.

Król od dzieciństwa swojego zawsze ponie miecku, poszwedzku, słowem europejską modą się nosił, a kontusza i żupana, jako żyw, nigdy nie wkładał i nie znał. Czy mu kto myśl tę podał, czy sam on na nią wpadł—potajemnie kazał sobie we Lwowie kilkoro sukni przysposobić, dosyc bogatych i pięknych, aż jednego dnia, przebrawszy się popolsku, do kościoła pojechał.

Omało to tumultu w mieście nie wzniciło, bo ci, co widzieli oczom wierzyć nie chcieli, ci co rozpowiadali, wysmiani byli, a ciekawych tłumy biegły tego polskiego króla oglądać, chociaż w gromadach słyhać było mruczających:

— Suknię włożyć łacno, ale ducha wdziać bo-daj potrafi!

Nie zbywało i na tych, co się naśmiewali, po-Boży gniew. Tom II.

wiadając: Za serce nas chce wziąć, ale w dziecinny sposób.

Z tem wszystkiem w ostatnich dniach pobytu we Lwowie, właśnie gdy zpod Zbaraża regimentarze poczęli przybywać, bo Chmielnicki nareszcie odstąpił; gdy się poczęło rozdawanie nagród zasłużonym, zjawił się ten kontusz na królu.

Powracających z okopów zbarazkich siła przynosiła z sobą żal srogi i przeciw pospolitemu ruszeniu i do króla i do Ossolińskiego; a powiększył się on tem, że nagrody zasłużonym poszły, nie wedle miary ich cnoty, ale podług rady dworaków i przyjaciół.

Pokrzywdzono w rozdawnictwie najdzielniejszego bohatera Jeremiego; o innych wcale zapomniano.

Codzień prawie na ulicach Lwowa spotykać było można wozy, na których po kilku wynędzniałych, poobwiazrywanych, zbiedzonych Zbarażan wjeżdżało cicho i bez tryumfalnych łuków, a nikt ich nie witał. Sami oni gorzko się losowi swemu uśmiechali i z doli swej drwili, ale co pocziwsze rycerstwo otaczało się wciąż wielką. Cisnęli się do nich wszyscy chciwi opowiadań o tej tragedji, o której, jako o Wojnie Trojańskiej, poemata śpiewać było można...

Strzębosz, który w oddziale Koniecpolskiego i przy osobie jego miał przyjaciela i powinowa-

tego, onego sławnego jowialistę Stanisława Xięzkiego, z wielką radością się dowiedział, że wojak ranny mocno, acz nie niebezpiecznie, właśnie do Lwowa przybył i w starym dworze pod Bernardynami, razem z innymi kilku Zbarażanami, spoczywał.

Zaledwie do niego nakazał Staszek, (tak go, choć już siwiał, nazywano), gdy Dyźma, wzięwszy pozwolenie od marszałka dworu, pośpieszył do niego...

Domowstwo, w którym się Zbarażanie mieścili, wcale się nie zalecało, ani powierzchownością, ani wewnętrznem urządzeniem wygodnem. Lwów tak naówczas pełen był, iż w Rynku i na targach koczowały czeladzie, a panowie nawet niektórzy część dworu musieli mieścić pod namiotami. Ze starego walącego się, drewnianego budynku, który dawniej gospodą lichą być musiał, wygnano naprzód gospodarzy, nim się parę izb dla rannych opróżnić dało.

Xiężki z innymi zajmował ogromną, od wieków zakopconą dymem izbę z małemi oknami, w której pod ścianą jedną nasłano siana, okryto je wojłokami, i pożołniersku się tu rozgospodarowali biedacy, którym po Zbarażu ten barłóg jeszcze smakował, jako najwykwintniejsze pałace.

Było ich tu trzech porąbanych: Staszek Xiężki,

Maciej Brodowski i Sylwester Gnoiński, ale starczyło miejsca dla wszystkich i na sakwy, siodła, rzędy, a zbroje, i oręż, który całe kąty zalegał. Na ogromnym kominie czeladź tuż jedzenie i plasty odgrzewała. Leżącym na ziemi ławy za stoły służyć musiały.

Strach było spojrzeć na tych wesołych wojaków, którzy do trupów podobniejsi byli, niż do żywych ludzi, tak wymęczeni, znędniali, wyszli z tej łaźni.

Nie przeszkadzało im to śmiać się i drwić, a izba, od rana ciekawych pełna, śmiechami się rozlegała, Xięzki osobiwie dokazywał.

Właśnie, gdy wszedł Strzębosz, znalazł w żywą rozmowę ze Staszkiem wplątanego towarzysza ze Zborowa, z orszaku Ossolińskiego, który, oczywiście, pana swojego stronę biorąc, bronił czci króla i tych, co pod Zborowem byli.

Był to niejaki Zboiński, *simplex servus Dei*, ale żołnierz dzielny, i człowiek zacny.

Zaledwie się ze Strzęboszem przywitał, Xięzki, który był, choć już nie młody, ale siarczystego temperamentu, Dyzmie kazał usiąść na ławie i dalej się ze Zboińskim na swój sposób ucierał.

— Zboju mój — wołał cieniuchnym zachrypłym głosem — cóż-bo ty sobie myślisz, że ja nasze zasługi we Zbarażu zapieczętowanych i

ogłodzonych ciurów wyżej wynoszę niż wasze! Mylisz się. Co my dokazali? Jedliśmy końskie mięso, szczury, koty, piliśmy wodę śmierdzącą zpod trupów, nie spali, głodem marli, aleśmy tyle tylko, że honor ocalili: a król z Ossolińskim przyszedł pod Zborów, wziął w skórę, i nazajutrz ogłosił się zwycięzcą, Tatarów zapłaciwszy?! Alboż to nie dobra sztuka? Każdy ojczyźnie służy, jako może: jeden krew i życie daje, drugi chytrość swą i żydowski rozum!

Zboiński się zżymał.

— Ale ja bo zbarazkim bohaterom nie ujmuję — wołał.

— A my, jak nam Bóg miły — odparł Xięzki — my nie pretendujemy od was nic, tylko żebyście nas przynajmniej na równej stopie z sobą stawili raczyli! Za sobą, com ranny, nie mówię; sam winien jestem, bom po nocy wlaźł między Kozaków i kilku ich wyprawilem na tamten świat do wiedzieć się u Ś-go Piotra, czy blahoczestwych do nieba puszczają, a w końcu mnie jeden płaćnął też, za co go Brodowski uśmiercił: mam za swoje; ale mi żal tych dobrych towarzyszków, co ze Zbaraża już nie powrócą. Takiego Trzebińskiego, porucznika p. Myszkowskiego, który bił się jak lew, a czasu bitwy śpiewał, aż nam duch rosnął słuchając, i takiego Jagielnickiego; chorążego p. Zbrożka, który z Kozakami porusku

rozmawiał się aż miło słuchać było; takiego przepocziwego Bernacha, kapelana naszego, Ząbkowskiego, którego kula działowa przy mszy świętej właśnie po komunii, gdy się ku nam obrażał, na tamten świat z czystą duszą wyprawiła, takiego Sierakowskiego, pisarza polnego, Silnickiego, Zbrozka, Starostę Przasnyskiego,—którzy miłość swą dla Rzeczypospolitej żywotem poświęcili.

Zmieszany Zboiński chciał protestować, ale Xięzki, rozgorączkowany, nie dał mu mówić.

— Przybywamy do Lwowa, rozbitki nieszczęsne, a tu trąbią sławę kanclerza i króla, że tryumf odnieśli wielki, że ojczyznę zbawili, nam zaś, Zbarażanom, ledwie dopuszczają się przypomnieć, żeśmy też coś uczynili... i czegoś warci.

— Miły panie wuju — przerwał Strzębosz — nie przypisujcież znowu ani królowi ani nam, cośmy z nim byli, abyśmy sobie zawiele przyznawali. Wyście się bili jak lwy, i trzymaliście się dłużej; nikt wam tego nie odejmuje.

— W końcu — rozśmiał się Staszek Xięzki — Kanclerz nam jeszcze nakazał, abyśmy kochanym Kozakom za to, że nas nie zjedzą—zapłacili! Trzeba było widzieć i słyszeć, jak to u nas w obozie przyjęto, a nie życzylibym był panu kanclerzowi podczas między nami się znajdować!

Uspokoilo się jakoś po chwili, a Xięzki poswo-

jemu żarty sobie stroić zaczął. Dostało się i Strzęboszowi, który się staremu odcinać nie myślał, ale króla obraniał.

— Król! — przerwał mu Xięzki — my starsi go dawno znamy. Choć szablę przypasał, żołnierza z niego ona nie robi, a kontusz go Polakiem nie uczyni. Pobożny pan, ani słowa, ale będzie tak szedł, jak go poprowadzą.

Dyzma, Zbaraża ciekawy, rozpytywać począł Xięzkiego.

— Cóż ty myślisz — odpowiedział mu jowialista, — że o Zbarażu tak w krótkich słowach można uczynić relacyą, jak o paktach zborowskich? My cośmy tam byli, gdyby to opisywać przyszło, na cały żywot mielibyśmy co czynić. Nie było dnia bez jakiegoś sławnego wypadku, nie było nocy, żeby Kozactwo nie spróbowało się wkraść lub nas oszukać. Jednem okiem człowiek spał, a rozbierać się nigdy nie myślał. I nie na wieleby się to przydało, bo koszul nie mieliśmy do zmiany, a w odzieży i zbroi tylko codzień sprzążki i pętlice krócej było trzeba wiązać, bośmy z ciała opadali w oczach.

Kule kozackie, szable ich i tatarskie strzały, to wszystko jeszcze niczem było przeciwko urągowisku tego motłochu, który, pod same wały nasze wdarłszy się, panom czapkami się kłaniał.

— Miłościwi panowie — wołali — czynsze za-
legają, czemu nie pośpieszcie ich wybierać!
Nam aż tęskno za wami...

Więc się, bywało, który słowem odetnie tej
szui, ale ono nie doleci do nich...

Westchnął Xięzki.

— Chmielnicki już wypróbowałszy — mówił
dalej — że nas dobrodusznym na ładaco wziąć
można, żeśmy wierzyć gotowi we wszystko i sło-
wo każde brać za dobre, tak prostackimi sposo-
bami nas podchodził, iż sromać się musieliśmy,
za jakich on nas miał głupców. To listy, to po-
słowie, to zbiegi jakieś nas nachodziły.

Z całego naszego obozu jeden jedyny człowiek
trwogę w nich budził i nienawiść taką, że imię
jego do wściekłości ich podniecało: księżę Jeremi.
Wspomnieć go im było, to bledli. Wiedzieli, że
ich znał na wylot, że im nigdy wiary nie dawał,
pokorze ich nie ufał i przebaczyć nie mógł. Jemu
jednemu w oczy spojrzeć-by nie śmiał Chmiel, bo
ten go przenikał do szpiku, gdy inni, jak Kisiel,
to się z nim bratali, to smarowali, to pochlebiali,
to się poniżali przed nim, a nie znali go wcale.

Głów-by był nie mało poświęcił, gdyby Jere-
miego mógł dostać, a byłby się pastwił nad
nim...

Za Xięzkim opowiadał Brodowski, dodawał
Gnoiński też i cały dzień a noc by ich tak słu-

chać było można; aniby się wyczerpali, bo tra-
gedya zbarazka obfitą była w takie sceny, któ-
rych najbujniejsza nie wyroi fantazyja.

Znaleźli się tu i dyssydenci, którzy czasu pro-
cessyi katolickiej swoje psalmy na przekór śpie-
wać poczęli, nie dla Pana Boga, ale aby ludziom
się postawić.

— Gadajcie tedy co chcecie — skonkludował
Xięzki — a wszystko to marne... Przyszedł kan-
clerz Ossoliński, pocałował się z Islam Gerejem,
z Kozakami pobratał i jemu wszystko winną bę-
dzie ojczyzna. Zbarazcy żołnierze nie uczynili
nic!

II.

Przez cały ciąg tej wyprawy, która zaprowadziła Jana Kazimierza pod Zborów i zamknięta została sławnym owym traktatem, królowa Marya Ludwika z gorączkową ciekawością chwytała nowiny, które jej codzień niemal przynoszono. Wszyscy ci, co się jej zalecić chcieli, a mało było, coby nie pragnęli mieć u niej łaski, bo wiadziano, że była wszechmocną; polowali na wiadomości, rozstawiali konie, posyłali najsprawniejszych ludzi, aby co najrychlej królowej dostarczyć wieści... Marya Ludwika czuła to, iż pierwszy krok w pole, z wojskiem, na czele rycerstwa o przyszłości króla stanowił, a gdyby raz bohaterem się stał, jużby mu łatwo było się nim utrzymać.

Drżała więc i modliła się.

Ze stołu jej nie schodziła mapa tych krajów, które król z wojskiem zajmował; sekretarz Des

Noyers wyszukiwał starych ludzi, którzy bywali na kresach, na Rusi i coś do obrazu ich dostarczyć mogli.

Trwoga ogarniała ją szczególnie, gdy zewsząd skargi nadchodzić zaczęły o opieszaleń ciągu pospolitego ruszenia, z którego się naśmiewano. Straszono imieniem jego Kozactwo, ale pocichu szeptano, iż nie na nie rachować nie było można.

Wyprawiała więc królowa listy do Ossolińskiego, do dowódców, do króla, a podczas i ludzi, którzy oddziały wojsk ociągające się popychać mieli i napędzać...

Po kościołach odprawiano nabożeństwa; duchowni przynosili wróżby i przeczucia, dwór sny swoje o królu, astrologowie obrachunki konjunktur na niebie.

Des Noyers szczególnie, pouszy w astrologicznych rachubach, dostarczał królowej wróżb, jak najpomysłniejsze obiecujących skutki tej wojny, która miała się wiekopomnym zamknąć pokojem.

Królowa wiedziała bardzo dobrze, iż z męża bohatera nie uczyni, ale napatrzyła się w ciągu życia tylu mężów sławnych, co sławę zawdzięczała przypadkom, iż sztuczne stworzenie jej dla Jana Kazimierza nie wydało się niepodobieństwem...

Długo jednak tym nadziejom i oczekiwaniom Maryi Ludwiki nie odpowiadały wypadki, o których się dowiadywała.

Opieszale jakoś śpieszono na odsiecz Zbarazowi, a *ruszenie* się nie poruszało. Siły, z którymi zmuszony był Jan Kazimierz iść pod Zborów nie starczyły do takiego pogromu, jakiego pragnęła i spodziewała się królowa.

O pierwszych utarczках nie dano znać jej, a po nich tak rychło nastąpiło z Hanem porozumienie, iż królowa razem odebrała uwiadomienie o gotujących się traktatach i o bitwach, które nawet w najpochlebniejszych występując barwach, budziły jeszcze więcej troski, niż pociechy przynosiły.

List, który zwiastował, że Hana odciągnąć Ossoliński potrafił od Kozaków, okrzykiem zwycięstwa powitała królowa.

— *Un coup de maître!* — zawołała, chlubiąc się nim przed ks. de Fleury.

Niespokojna, zniecierpliwiona, oczekiwała potem następstw układów, ale wiadomość o nich się spóźniła, a gdy naostatek nadeszła, w wyrazach ogólnych sławiąca kanclerza dzieło, Marya Ludwika zachmurzyła się...

Krótko napomknięte warunki dawały jej ocenić ten traktat, który miał pozór zwycięstwa, ale był wistocie hańbą. Spłakała się potajemnie.

nie pozostawało nic teraz nad sławienie układów wynoszenie ich, aby ludzie się nie dopatrzyli, jak sromotnemi były.

Wynoszono więc kanclerza... i króla razem..., ale w duszy Marya Ludwika bolała nad takim obrotem rzeczy, który skazywał króla na dawną jego rolę: człowieka bez charakteru i siły.

Postarano się na zamku, ażeby ta noc, w której w istocie Jan Kazimierz dał dowód, że w nim duch jeszcze mieszkał rycerski, choć stłumiony, w opisach i listach wystąpiła z wielkim blaskiem.

Król jeszcze nie doszedł z powrotem do Lwowa, gdy w Warszawie na Ossolińskiego drapieżne pokazały się paskwillusze. Przyniesiono na zamek ową parodiją traktatów, która krążyła po Lwowie. Kazano ją niszczyć...

Z Warszawy list zalecił królowi, aby się przebrał w strój polski... Staraniem Maryi Ludwiki gotowano kanclerzowi i królowi świetne przyjęcie, zawczasu podnosząc ich zasługi; ale przeciwko temu prądowi z góry, silniejszy daleko z dołu parł, w którym męczenników zbarazkich sławiono, a zborowskich polityków wysmiewano.

Królowa się wkrótce przekonała, że bezpieczniej było daleko nie podnosić do zbytku zasługi, aby nie wywołać zjadłego szyderstwa...

Z listów męża przekonywała się, że zaspoko-

jony zupełnie tem, co mu się zdobyć udało, dosyć obojętnie patrzył na laury i tryumfy. Tęsknił już za spokojem, za łowami i za karłami swymi,—któż wie? czasem może za królową i za pięknymi paniami, które go zawsze obchodziły żywo.

Potrzeba jakaś pilna zmusiła Jana Kazimierza przodem do Warszawy wysłać Strzębosza, który z wielką radością podjął się biedz do stolicy. Wiózł on listy do królowej, lecz ułożył sobie, iż skorzysta ze zrzeczności i dobieje się do pięknej Bianki.

Strzębosz nie był rad z siebie, ani z króla i wyprawy. Milczał i bronił pana, ale, bolał w duszy, bo wojnę tę wcale sobie wyobrażał inaczej. Spodziewał w niej wslawić, urosnąć, z dworaka przeistoczyć na rycerza, wszystko to się nie powiodło.

Natręczał się napróżno, ofiarował i nabijał, wysłano go gdzieindziej, tak, że i prochu mało powąchał i u króla sobie innej sławy nie pozyskał, oprócz sprawnego dworaka. Wracał do Warszawy takim, jakim z niej wyjeżdżał..

Wszystkie te myśli czarne jednak rozbiły się i uleciały, gdy, dojeżdżając do miasta, ujrzał wieżyczki zamkowe, czarne mury kościoła Ś-go Jana, kochaną Wisłę—i w oddechu poczuł to powietrze, którego mu wszędzie brakło.

Zaledwie zsiadł na podwórze, nie mając się czasu ogarnąć, Strzębosz odebrał rozkaz od panny Langéron, która go oknem pierwsza zobaczyła i poznała, aby, jak stał, do królowej pośpieszył.

Musiał więc być posłusznym...

Oczekiwała na niego już pani i, listy odebrawszy, poszła do okna natychmiast, aby na nie rzucić okiem.

Strzębosz zdala spostrzegł, jak się jej brwi ścierały, usta ścisnęły, jak ręce drżały, gdy przewracała zapisane szerokim króla charakterem kartki. Ścisnęła je potem żywo i podeszła do posłańca.

Damazylle bardzo mówił po francuzku i po kilku słowach dostał grzeczną odprawę...

Zaledwie był za progiem, gdy go dworzanie oblegli... i nie dając tchnąć, poprowadzili do izdebki, w której chciał się przebrać i spocząć.

Okazało się to niepodobieństwem. Z własnej ciekawości i wysłani przez królową osaczyli go tak przyjaciele, znajomi, towarzysze, że o spoczynku ani mógł myśleć. Nakarmiono go i napojono, ale za to zarzucono pytań tysiącem...

Dyzma słał pana i wynosił wszystkich, co mu towarzyszyli, nie zapominając o sobie, lecz poczuł w zadawanych mu pytaniach, postrzegł w uśmieszkach dwuznacznych, że i tu już na

zamku w wielkie czyny i wielką wiktoryą niezupełnie wierzono.

Musiał więc powtórzyć to, co już na swe uszy od partyzantów i obrońców kanclerza i króla słyszał (co później sam Ossoliński na sejmie głosił), że zwycięstwo pod Zborowem odniesione daleko było większem i chlubniejszym, niż sławiona owa Chocimska Wiktorya za Zygmunta III.

Wszyscy mu się w oczy rozśmieli. Zarumienił się i zamilkł....

Chciano owe mężne potykanie się pod Zborowem podnieść do wysokości, na której utrzymać się nie mogło, a przesadą umniejszono je tylko.

Kury piałły, gdy Dyźma w końcu padł na łóżko, i usnął tak dobrze, iż się dopiero nazajutrz około południa obudził.

Nie wiodło mu się widocznie, bo zasnął najlepszą godzinę, gdy swoją ukochaną mógł albo w kościele lub z kościoła powracającą napotkać. Musiał więc innego szukać sposobu wtargnięcia do domu Bertoniowej.

Wymuskawszy się trochę, nad wieczór dopiero skierował się na Stare Miasto. Zdało mu się, iż śmiało nadużyć może królewskiego imienia, gdyż Jan Kazimierz w sprawach miłostek dworzan swoich był wielce pobłażającym i, wytargawszy za uszy... przebaczał.

Wprost więc i śmiało wszedł do domu, w któ-

rego oknach napróżno znajomej szukał twarzączyki. Bertoni mu zakazała wprawdzie pokazywać się przed swem obliczem, lecz Strzębosz szedł ze zmyślonem od króla pozdrowieniem.... rachował więc, że go wypędzić nie może.

Zuchwale wtargnął do przedpokoju i już miał wejść do bawialni, gdy drzwi się otworzyły i stara, zawsze klejnotami okryta, malowana Włoszka, powitała go—krzykiem.

— Przybywam wprost z obozu — odezwał się, nie dając jej przemówić, Strzębosz. — Król jmość kazał mi pokłonić się w pani i pannie Biance. Więc choć zakazano mi tu się pokazywać, rozkaz pana więcej waży nad wszystko...

Bertoni stała z usty otwartemi. Wiedziała bardzo dobrze, iż Dyźma kłamał, ale ciekawość ją piekła... Radaby była się coś dowiedzieć, a Strzębosza... nienawidziła. Stała więc w niepewności, co poczynić.

Wprowadzić go i dać mu widzieć Biankę, nie chciała za nic w świecie...

Dyźma się tymczasem zbliżał, jakby ją chciał zmusić go do wprowadzenia wewnątrz... dalej.

Bertoni drzwi sobą zapierała.

— A! to piękna wistocie gościnność—odezwał się Strzębosz — królewskiego posła w antykamerze trzymać i progu mu nie dać przestąpić!

Włoszka się rozgniewała.

— Cóż mi to przyniósł od króla? — zapytała.

— Pozdrowienie prześliczne — rzekł Dyźma — i to zapewnienie, że z powrotem do Warszawy król gościńca przywiezie.

Bertoni pokręciła głowę.

— A więc poselstwo sprawione. — odezwiała się. — Ruszaj waszmość z kąd przyszedłeś, kłaniaj się królowi jm. i bywaj mi zdrów.

Stał nieporuszony Strzębosz. Po za starą Włoszką, przez na wpół otwarte drzwi ukazała mu się uśmiechnięta twarzyczka. Witaa go figlarnym wyrazem.

— Nie będę więc miał szczęścia nawet pozdrowić od króla panny Bianki? — odezwał się dworak — Król jm., wyraźnie mi zalecił, abym sam dopełnił poselstwa.

Zza ramion matki Bianka, nie mogąc śmiechu wstrzymać, parsknęła. Bertoni zwróciła się ku niej z gniewem, chcąc zmusić, aby odeszła; kilka kroków zrobiła idąc za nią, a tymczasem Strzębosz wśliznął się i stał już w środku pokoju.

— Mam od króla dla panny Bianki pozdrowienie — rzekł zbliżając się wesoło, a wcale nie zważając na rozpaczliwe ruchy Włoszki. — Król, okryty laurami, powraca... Pan Bóg poszczęścił

oreżowi jego... Tatarzy sami przyszedli na kolanach prosić o pokój, a Chmiel nogi jego całował.

Bertoni, słuchając, mimowoli zapomniała o tem, że Strzębosz gwałtem się tu dostał... Bianka zaś wcale nie zdawała się na gniew matki zważać, i śmiało na niego patrzyła, zalotnie mu się uśmiechając.

— Kiedyż nasz król powraca? — zapytało dziewczę.

— Wprędce bardzo — rzekł Dyźma — po trudach potrzebuje odpoczynku.

Rozmowa zdawała się chcieć przedłużać, lecz Włoszkę gniew nanowo wybuchający ogarnął. Nie zwracając się już do gościa, chwyciła córkę za ramiona i popędziła ją, śmiejącą się, i opierającą potrosze, do drugich drzwi, które za nią na klucz zamknęła.

Strzębosz patrzył na to, wzdychając... Włoszka powróciła ku niemu wzburzona.

— Widziałeś? — poczęła żywo. — Otóż pamiętaj sobie to, że gdybyś nie wiem jakich podstępów zażywał, wkładał mi się, narzucał, a nawet króla miał za sobą, nigdy ci do mojego dziecka zbliżyć się nie dam. Wysokie progi na twoje nogi. To senatorski kąsek! Rozumiesz!

— Doskonale — odparł Dyźma — ale ja jestem desperat taki, że nawet senatorem zostać nie

wydaje mi się niepodobieństwem: więc i do panny Bianki się zbliżyć też nie widzę niemożności.

— Czekajże, nim przyjdiesz znowu do mnie, aż senatorem zostaniesz! — zawołała, zachodząc mu drogę i ku wyjściu go napędzając Włoszka. — Jeżeli ta stara pomarszczona Francuzica Langéron wychodzi za Kasztelana Płockiego, — rozumiesz? to za kogóż powinna młoda, piękna, no — i nie bez grosza pod poduszką — wyjść Bianka! A cóż ty jesteś przeciw niej? I sądzisz, że ja ci pozwolę się tu kręcić, aby ludzie Bóg wie co myśleli?

— Co się tyczy panny Langéron — odparł Strzębosz poważnie — święta prawda, że pomarszczona jest i nie pierwszej świeżości, ale królowa jej miejsce matki przy weselu zastąpi i Kasztelania Płocka rychło się w województwo jakie z dobrem starostwem zamieni. Przez to się i marszczki wygladzą!

— A ty myślisz — zakrzyknęła gwałtownie Bertoni — że ja u mojego króla dla męża Bianki nie wyrobię też starostwa?

Dyzma wása począł kręcić.

— Mówmyż już otwarcie — dodał z uśmiechem. — Król ani krzesła ani starostw nie rozdaje. Zbył się kłopotu tego, zdając to na królową jejmość. Mówię, kłopotu, bo gdy wakans najmniejszy się objawi, dziesięciu pretendentów

do niego, a dziesięciu potem wrogów, gdy tylko jednemu gęba się zatka. Król więc, choć bardzo pani Bertoni sprzyja, to, wiadomo, nie da nic, bo nie do rozdawania nie ma. Na to nie rachujecie. Żeby zaś królowa jmość miała pannę Biankę wyposażać? hm! o tem ja wątpię...

Bertoni obrażona wzięła się w boki, oczy się jej zaogniły.

— No! to ja ją wyposażę sama — zawołała, ze złością tupiąc nogą. — Królowa sobie za starostwa i za krzesła płacić każe... znajdę je za co kupić!

— Tst! — rzekł, palec kładąc na ustach, Strzębosz. — Może to być, że królowa podarek przyjmie, gdy jej kto zaofiaruje, ale mówić o tem, że starostwa i urzędy są na sprzedaż — nie godzi się. A nużby to doszło do uszów królowej?

Gniewnym wzrokiem zmierzyła Włoszka Strzębosza.

— Daleś mi waszmość naukę — odparła — No, poselstwo odprawione, a zatem, kłaniam uniżenie, kłaniam uniżenie, i żebyś mi waszmość już tu więcej nie przychodził. Proszę, proszę!

— Do domu, oczywista rzecz — rzekł spokojnie Dyżma — nie przyjdę, gdy mnie tak niegościnnie przyjmujecie; ale uprzedzam, bo zdradą nie poczynać nie chcę, że koło domu i gdziekolwiek pannę Biankę będę mógł spotkać, krą-

żyć muszę i nie przestanę. Jestem otwartym. Ulica wolna dla każdego, nawet dla kominiarzy. Będziesz więc wścypań zmuszoną córkę na klucz zamykać, co dla młodego dziewczęcia nie jest ani zdrowem, ani miłym...

Przywiedziona do ostateczności bezwstydnem zartami Dyźmy, Włoszka porwała się i, oburącz go w plecy uderzywszy, popchnęła ku wyjściu.

— Nie frasuj się ani o mnie, ani o moją córkę — zawołała — a to sobie zapamiętaj, że ona nie dla ciebie.

Strzębosz dał się nieopierając wysadzić za próg, tu odwrócił się, pokłonił grzecznie, uśmiechnięty i rzekł:

— Nóżki całuję, królowi jmości nie omieszkam donieść o posłuchaniu, jakieś mi pani dać raczyła.

Bertoni, nie odpowiadając, z trzaskiem mu przed nosem drzwi zaparła.

Strzębosz wyszedł z antykamery powolnym krokiem ku wschodom.

Obok wyjścia głównego znajdowały się drugie drzwi, pomniejsze, prowadzące do mieszkalnych izb. Znalazł je na wpół otwartymi i dwoje oczek przez nie patrzyło.

Poskoczył ku nim.

— Królowo moja! A! królowo moja! — za-

wołał — daj choć rączkę pocałować! choć paluszek jeden. Mutus taka niedobra.

Jeden biały paluszek pokazał się we drzwiach, a usta Dyźmy przylgnęły do niego; ale zaręczyć nie było można, czy nie poskoczyły potem wyżej. Śmiech się dał słyszeć... trzaśnięcie drzwiami.

Strzębosz, podśpiewując ulubioną wówczas Morsztyna piosenkę, powoli bardzo schodził ze schodów:

Dobranoc, dziewczę moje!

Już brudnym cieniem okryły się nieba.

I zgasły słońca zachodnie podwoje,

Już się na smaczny sen udać potrzeba,

I w nim utopić senne niepokoje.

Dobranoc serce moje,

Dobranoc dziewczę moje. .

Ale półgłosem nuconej piosenki nikt nie słyszał.

Wypocząwszy dzień, poszedł Dyźma do królowej z zapytaniem: czy mu odpowiedzi wieść nie każe. Tu trzymano go tu czas jakiś, a w ostatku wyszedł sekretarz z tem, że się Marya Ludwika N. Pana wprędce spodziewała z powrotem, więc Dyźmie do woli dawano, albo tu pozostać lub jechać naprzód... bez listów.

Nie czując się bardzo potrzebnym królowi,

a chcąc sobie wypocząć swobodnie, Dyźma po rozmyśle został na zamku i zajął się tylko tem, aby wszystko na przyjęcie gotowem było.

Na zamku i w mieście, codzień się spotykając z ludźmi różnymi, którzy radzi go słuchali rozpowiadającego o Zborowie, mógł się Strzębosz przekonać, że owa wiktorya, którą on do choćmiskiej porównywał, i owe traktaty sławne—bardzo jakoś lekko były szacowane.

Wprawdzie część winy składano na pospolite ruszenie, gnuśne i skąpe, które się tak wlokło, że połowa jego, nieprzyjaciela nie widząc, do domów powracała, ale ci co ze Zbaraża tu przyjeżdżali, zamierzali tak dalece Zborowskich, iż ci się przy nich karłami wydawali.

Bohatera więc tu grać nie mógł Strzębosz, ale ucierał się o to codzień, że pod Zborowem król i wszyscy obowiązku rycerskiego dopełnili.

— O traktatach ja tam nic nie wiem — dodawał — złe czy dobre są, nie moja rzecz sądzić; ale chwałę się Zbarażanie Bernardynem zabitym przy mszy świętej, to i my naszego ks. Lisickiego mamy, który poległ na placu boju, a mamy też wielu chorążych i rotmistrzów, którzy stali pocztowie i żywotem zapłacili dług ojczyźnie.

Posmutniał wszelako Strzębosz po kilku dniach poczuwszy, że w Warszawie ani kanclerz, ani król nie znajdują takiego przyjęcia, jakie sobie

obiecywali. Na Ossolińskiego, który i bez tego nieprzyjaciół sobie siłą zrobił dumą i szorstkością, wszyscy bili, że Tatarom haracz, a Kozakom wszystko dał, czego chcieli, tak, że zamiast kary za rebelią, byli jeszcze za nią wynagrodzeni.

— Spraktykowawszy, mówiono po Warszawie, że bunt się tak dobrze opłaca, czemużby jaśnie panowie Zaporozcy znowu sobie pozwolić nie mogli?

Inni gardło już za to dawali, że Chmielnicki, wcale sobie przysięgi nie ważąc, cokolwiek sił nabrawszy, znowu tęsamą grę rozpocznie.

Chodziła i ta gadka po bruku, że Chmiel głosił, jakoby nieboszczyk król Władysław IV sam go na panów i szlachtę animował.

Mazury już odzywały się z tem, iż indagować należało, kto był rebelii kozackiej przyczyną.

Nim tedy król ze Lwowa tu nadciągnął, tryumfy zborowskie bardzo jakoś pobiadły, wyrażano się o nich z przekąsem i o przyjmowaniu uroczystem zwycięzców, mowy być nie mogło.

Królowa źle ukrywała boleść, jaką jej to sprawiało, ale inaczej o całej wyprawie i jej skutkach nie mówiła, tylko wynosząc ją i sławiąc męstwo króla, rycerskiego ducha jego, a rozum i zręczność kanclerza.

Strzębosz już ubezpieczony, że spoczywać może, wczasu sobie używał z pozostałymi na zamku

dworzanami, gdy dnia jednego nagle zawołano go do królowej.

Tu w przedpokoju mu już paż francuzik szepnął, że listy dostanie do króla.

— Ale N. Pan już w drodze do Warszawy być musi! — odparł Dyżma.

Nie było na to odpowiedzi.

Królowa wyszła sama z pismami w rękę i ulubioną swą śliczną wychowanicą, panną d'Arquien, do Strzębosza.

— Jedź natychmiast — rzekła mu. — Być może, iż króla na drodze gdzieś spotkasz. O to mi chodzi tylko, aby listy przed swoim przybyciem do Warszawy otrzymał.

Tak niespodzianie wcale Dyżma znowu na koń musiał i w drogę. Przed tem jednak, własnego nie zapominając interessu, do Dominikanów rano pobiął, aby tam lub powracającą pożegnać Biankę, która starą ochmistrzynię miała za sobą, a ta Dyżmie rozmawiać z nią nie przeszkodziła, udając tylko, że nie patrzy i nie widzi.

Wprost od Dominikanów, dosiadł konia Strzębosz i puścił się w drogę, na której króla się spotkać spodziewał.

Jakoż drugiego dnia, jeśli nie na Jana Kazimierza, który dosyć powoli, po drodze przyjmowany przez senatorów, ugaszczających go, jechał do stolicy, trafiał na stanownicznych, a ci za-

pewnili, iż król tegoż wieczora do wsi miał przybyć na nocleg. Radzono mu tu czekać na niego.

Więś ta Złotą Wolą zwana, nie miała pańskiego dworu, bo tu dziedzic nie rezydował nigdy, ale probostwo było dostatnie; plebania przy kościele murowana, a że Jan Kazimierz pobożnym był, najchętniej też zawsze po klasztorach i plebanjach stawał. I tu mu przyjęcie u ks. dziekana gotowano.

Pozostał Dyżma na Woli, poszedłszy za radą stanowniczego, a był już wieczór i Dziekan się około kościołka krzątał, aby w nim dla króla klęcznik i poduszki przysposobić, gdy Strzębosz idąc za nim, w progu, spostrzegł siedzącego starca, którego sobie przypomniał, iż raz już w podróży z Krakowa do Warszawy, królowi się nastręczył i... w bardzo zły humor go wprowadził.

Zdawało mu się więc na dobie, postarać się o to, aby ów zuchwały pątnik Bojanowski, znowu króla swojemi prorocztwami i groźbami nie męczył.

Naprzód się więc z tem udał do dziekana, ale ksiądz, który zdawna bogobojnego staruszka znał, wprost pośrednictwa odmówił.

— Jakieżże ja prawem mogę zabronić pobożnemu pielgrzymowi — rzekł do Strzębosza — pozostać tu i bodaj się N. Panu stawić, jeżeli go Bóg natchnął ku temu? Mąż jest znany w całej

Rzeczypospolitej, jako świątobliwy; nie mam mocy nad nim.

Dyzma, nic tu nie wskórawszy, sam poszedł do Bojanowskiego i pozdrowił go pochrześcijańsku. Starzec, który się modlił, nie odpowiedział mu nic, aż modlitwy dokończył.

— Z orszaku królewskiego jesteście?—zapytał potem.

— Czekam tu na N. Pana — odparł Dyzma — a wy?

— Ja? — odezwał się stary. — Ja? na nikogo nie czekam, ale też nie uciekam od nikogo...

— Króla ino nie widać? — rzekł Dyzma — oglądając się.

Nie otrzymał odpowiedzi.

— Mnie się zdaje — dodał Strzębosz — że ja was raz już widział, gdyśmy z królem z Krakowa powracali... Mówił z wami N. Pan... no — i bardzo potem długo był nachmurzony i smutny...

I na to Bojanowski nie odpowiedział nic.

— Myślicie znowu może z królem się tu spotkać? — zapytał Strzębosz.

— Nie wiem co Bóg zdarzy — powoli począł starzec — nie szukam go, ale uciekać przed majestatem nie myślę. Zdarzy Bóg, że król nadjedzie...

Poruszył ramionami.

— Nasz Pan powraca zwycięzcą — dodał Dyzma — nie zaniedbajcie go pozdrowić tem.

Milczał Bojanowski.

Spróbowałszy napróżno raz i drugi coś ze starego pątnika wyciągnąć, Strzębosz w końcu, onieśmielony jego pogardliwem niemal milczeniem, precz odejść musiał.

Wtem od wsi na gościńcu poczęto się poruszać, i orszak Jana Kazimierza zbliżył się ku probostwu. Dziekan, w komży i stule, ze święconą wodą i kropidłem, z relikwiarzem w ręku, czekał na niego w progu.

Król wysiadł dosyć wesół i po krótkim przemówieniu, ucałowawszy relikwiarz, wszedł na probostwo; ale zobaczywszy u drzwi stojącego Dyzmę, natychmiast zawołał go do siebie i listy królowej chciwie pochwycił.

Nie rozpytywał o nie Strzębosza, tylko o zdrowie królowej.

Zapewnił Dyzmę, iż ją widział w najlepszym. Niedługo potem według zwyczaju swego, pobożny król, wyjrawszy oknem i postrzegłszy kościół blisko, natychmiast objawił chęć pomodlenia się przed obrazem N. Panny.

Prowadził go więc dziekan.

Bojanowski siedział na miejscu swoim. Zobaczywszy go i poznawszy, Jan Kazimierz trochę zwolnił kroku...

— Szczególna rzecz — odezwał się do plebana — raz drugi w życiu tego starca spotykam.

— Człek świątobliwy, pokutnik od lat wielu — dodał dziekan. — Dziś tu przybył zrana, leżał krzyżem przez całą mszę świętą i suplikacye.

Szedł dalej król, a Bojanowski, który różaniec odmawiał i w rękach wychudłych paciorki drewniane przebierał, nie podniósł oczów, zdawał się wcale niewidzieć nadchodzących, ani ich też zaczepił.

Przeszli tak mimo niego: nie powstał; odetchnął swobodniej król i, w kościółku, przed N. Sakramentem ukląkłszy, do bocznego ołtarza N. Panny podążył.

Tu go na modlitwie dziekan musiał pozostawić, bo tego żądał, a sam udał się na probostwo, aby zająć się przyjęciem. Strzebosz w kruchcie też kląkł się pomodlić.

Dobre pół godziny trwało to króla nabożeństwo, poczem pokornie ziemię ucałowawszy, wyszedł. Na progu siedział jeszcze Bojanowski, ale paciorki mu już z rąk wypadły i głowę miał podniesioną.

Wahać się zdawał król, czy go zagadnie, lub przejdzie milczący, ale zdało mu się lepszem pozdrowić starego pątnika.

— Jeżeli się nie mylę — odezwał się łagodnie — drugi to raz już się spotykamy, ojcze.

— Drugi? — odparł Bojanowski. — O! nie, jam was już wielokroć razy w życiu mojem długiem spotykał... i widziałem wyrostkiem, a oto mężem ukoronowanym.

— Podziękujcie Bogu — rzekł król. — Łaska Jego i przyczyna Matki Najświętszej dały mi nad nieprzyjaciół zwycięstwo...

Bojanowski oczy w niego wlepił i patrzył długo.

— Za wszystko, co Bóg dał — rzekł — dziękować mu potrzeba, ale zbytnio się wiktoryą chlubić i zwycięstwem cieszyć — słudze Bożemu nie przystało.

Zwycięzcą się głosicie? Bóg daj! lecz i siebie też a w sobie grzesznika zwyciężyć musicie, i pokornym być...

— Bogu też przypisuję wszystko — odparł król głosem zniżonym.

— Z pobożowisk nową wojną wieje — począł, jakby sam do siebie, starzec. — Chmary stoją na kresach. Pogan nie pobiliście, aleście ich kupili. Nieprzyjaciół krzyża św. sojusznikami swemi uczyniwszy, cieszyć się. — Bodaj radość wasza w narzekanie się nie zmieniła!

— Bóg łaskaw — zamruczał Jan Kazimierz zmieszany.

— I mściwym też jest dla tych, co w grzechach trwają — mówił dalej Bojanowski. — Korzcie się

i kruszcie a poprawcie. Przed wami jeszcze wiele znoju i boleści, aż w końcu koronę zrzucicie., Bogu nie dotrzymawszy wiary, narodowi też jej nie dochowacie. Bóg z tobą! Bóg z tobą!

I jakby chciał już pożegnać króla ręką w powietrzu znak uczynił, ale ostatnie słowa przykuły Jana Kazimierza do progu. Przypomniawszy sobie proroctwo Józefa z Kopertynu—i strach go ogarnął.

— Módlcie się na intencją moję — dodał głosem słabym — módlcie się...

— Modlitwa wielką siłę ma — począł starzec — ale uczynki większą jeszcze. Żadna ich modlitwa nie zastąpi... królu mój... Płaczecie przed obrazami, a one nad wami płaczą... bo godziny żywota twojego nierówne są i mieniają się białe a czarne... czyste i powalane, a królestwo kapłaństwem jest... i na świeczniku stoi pan... płamy z niego na naród padają.

Bóg z tobą — Bóg z tobą.

Jan Kazimierz powiódł dokoła oczyma, jakby szukał, czy kto nie słyszał Bojanowskiego, lecz bliżej nie było nikogo, a i Strzębosz przestraszony uciekł.

Król, postawszy chwilę, niepewnym krokiem, milczący, nie rzekłszy już słowa, udał się ku plebanii.

Dziekan, który z progu jej patrzył na powra-

cającego, dostrzegł jak chwiejącymi się i nieśmiało krokami szedł zadumany z głową spuszczoną.

Starzec nie spojrzawszy na odchodzącego — przeżegnał się spokojnie i zaczął modlić się znowu. W kościółku dzwon odezwał się na pacierze wieczorne; Bojanowski kląkł w progu, ręce podniósł do góry, głowę ku niebu, i głosem, w którym jęk i łkanie słyhać było, — gorąco się modlił.

Jan Kazimierz znikł, wszedłszy na probostwo, a Strzębosz, który zdążył coś pochwycić, z trwogą spoglądając na starca, oddalił się — niemal gniewny na niego.

III.

Cicho, bez tryumfów i rozgłosu, powrócił król do Warszawy—przyjęty przez królową tak, jakby istotnie przybywał zwycięzcą.

Marya Ludwika знаła doskonale stan sprawy i wartość zawartych układów—ale podnosząc zasługi męża, sądziła, że w nim rozbudzi i utrzyma rycerskiego ducha.

Tę powolność i serdeczność Maryi Ludwiki Jan Kazimierz, już znudzony wielce, opłacił tylko zbliżeniem się do niej czulszem, niż przed tem. Była-to jakaś jesień na miłość, nietrwała jak owe babie lata słoneczne, ale królowej miła i potrzebna.

Ona korzystała z tego rozczerzenia, aby moc swą i władzę nad mężem utwierdzić; a wielkich na to wysiłków nie potrzebowała, gdyż król rad się trosk i ciężarów rządzenia pozbywał, składając je na nią i na Ossolińskiego, a zabawiając się

podzielnemu swojemi karłami, słuchaniem plotek dworskich, myśliwstwem trochę i towarzysstwem pań pięknych, w których z kolei, na krótko wdzięk jakiś upatrywał.

Ile razy miał Butlera przy sobie, a nawet młodszego ulubieńca, pokojowego swego Tyzenhauza, spowiadał się potem przed niemi z tych wrażeń.

— Wiesz, starosto—mówił popowrocie do Butlera — po tej ekspedycji, zażywszy niewczasów i samotności bez niewiast, teraz mi i jedzenie lepiej smakuje—i wszystkie kobiety piękniejszymi się wydają. Królowa odmłodziła, a co się tyczy marszałkowej... prawdziwy cud—świeża, śliczna, i nie dziwię się, iż powiadają, jakoby ten nieznośny Starosta Łomżyński w niej się kochał.

— Starosta Łomżyński?—podchwycił Butler—alboż to on jeden! Jest ich z gorącemi affektami wielu i liczą pono na to, że marszałek bodaj nie długowieczny.

— Ale prawda — mówił król — znalazłem go bardzo postarzałym i jakby chorym, choć się do tego nie przyznaje. Od śmierci Władysława nie widziałem uśmiechu na jego twarzy... a sam, słysząc, powiada i prorokuje, że wkrótce pójdzie za nim...

— No—tak źle jeszcze z nim nie jest — odezwał się starosta.

— Nazywają to doktorowie fiziognomią hypokratyczną—rzekł król — co ja z jego twarzy widzę. Żle się ma. Sądziecie, że Starosta Łomżyński? Ja znieść go nie mogę.

— Ja też go nie kocham—rzekł Butler—i nic o nim nie wiem, oprócz tego, że napastliwy jest, uparty, dosyć zręczny a bezwstydnym. Tacy ludzie, jak on—wiele mogą u kobiet...

— Zaś!—przerwał Jan Kazimierz—Omarszałkowej mam zbyt wysokie wyobrażenie, aby się podzielił wdowcowi dała usidlić. Uchowaj Boże w razie Kazanowskiego śmierci—pójdzie za męża niechybnie, bo dzieci nie mają, młodą jest... a podobna się łączyć; ale... niech ją Bóg broni od Łomżyńskiego Starosty...

— Niebezpieczny człek!—dokończył Butler.

Starosta Łomżyński, o którym była mowa, Hieronim Radziejowski — jako dworzanin Władysława IV dobrze był znanym w Warszawie. Mazowieckiej szlachty, nieznacznego rodu, ojca dopiero miał na krześle w Senacie, za Zygmunta III, urosłego tem głównie, iż wielce gościnnym był i faworytom pańskim przypodobać się umiał. Ucztowaniu z niemi, i podarkom zawdzięczał to Wojewoda Łęczycki, że się na krzesło dostał, a syna mógł przy królewiczu umieścić...

Młody Hieronim w czasie, gdy jeszcze przy

Władysławie i dworze się czepiał, dał się poznać już z tego, że posłem wybrany, gdy go jako uwodziciela dziewczyny zanego domu precz z izby wyrzucić chciano — utrzymał się w niej zuchwalstwem i łaską królewską.

Mianowano go później krojczym królowej i Maryi Ludwice przypochlebiając się i donosząc pokryjomu, co gdzie pochwycił, umiał się przypodobać, chociaż nigdy ona dla niego szacunku nie miała.

Ci, co go bliżej znali—nieszczególnie się o nim wyrażali. Intrygant zuchwały a bezwstydnym, zarozumiały i dumny, w wyborze środków, którymi się dla krescytywy posługiwał, wcale nie wybredny nie miał przyjaciół—ale sobie jednak, kogo potrzebował... kaletką i kubkiem. Pocciwych też ludzi nie miał za sobą, ani się do nich garnął. Z tem wszystkiem, gdy mu było potrzeba, z kobietami szczególnie umiał Starosta Łomżyński tak się obchodzić, że go za niebezpiecznego miano. Dwa razy się żeniąc, polował zresztą tylko na posagi, a na resztę nie zważał. Z siebie nie majątny, bo ojczyście Radziejowice na życie wystawne i szumne nie starczyły, wyrobił już sobie Starostwo Łomżyńskie, po żonach wziął dobra znaczne, i prorokowano mu krescytywę pewną, bo się wciskał, narzucał i zabiegał niezmordowanie.

Około króla Kazimierza zawczasu się starał zyskać sobie przyjaciół, co mu się dotąd nie wiodło.

Po powrocie do Warszawy przybył i Radziejowski z powinszowaniem, lecz król przyjął go zimno, choć dla przypodobania mu się, towarzyszył w pierwszych dniach Października podróży obojga państwu do Częstochowej, a potem i na łowy. Jan Kazimierz rad-by się go był pozbył—lecz z natrętem, którego zimne obchodzenie się nie zrażało, nie umiał sobie poradzić.

W miesiącu Listopadzie był sejm zwołany, który nie tak się zapowiadał, jakby go sobie życzone.

Od Zbaraża głosy głużyły już i zaćmiewały, sławę i blask Zborowskich traktatów. Na Ossolińskiego mnożyły się paszkwillusze, co się na sejmie też nieprzyjemnie odezwać obiecywało.

Zapobieżono temu wnosząc takie materye mniejszej wagi, które rozmaitych ziem interessa żywo obchodziły; koekwacye, rachunki, rozdawnictwa urzędów, zapłata wojsk na przemiany posiedzenia wypełniły, tak, że w początku nie drażliwego nie wyszło na stół.

Sejm przytem, jak wszystkie ówczesne, był zarazem dla senatorów i posłów Rzeczypospolitej doskonałym zabawianiem się i wzajemnego ugaszczania pretextem. Dnia jednego przypadały imie-

niny, drugiego celebrowano godność nową, że-nili się krewni, godzili nieprzyjaciele, wszystko wywoływało bankiety i uctowania. Bardzo często król i królowa zapraszani bywali i zaszczycali swą przytomnością nawet sług ulubionych wesela, chociaż Marya Ludwika czasem, nie tylko, że sama nie szła, ale i królowi iść zabraniała, bo się w wesołej gromadce często zapominał zbytecznie.

Więc gdy sejm najmniej pracował, bywał najmocniej zajęty. Po uczcie nazajutrz brakło na posiedzeniach tych, co wypoczywali; inni nie przychodzili, gotując się wyprawić bankiet, a że wkrótce po rozpoczęciu sejmu adwent się rozpoczął, nabożeństwo więc także nie mało czasu zabierało. Odpoczywano, rozumie się, w każde święto i niedzielę.

Kancelarz i inni większego wpływu dygnitarze, mieli też w sejmie swoich w obu izbach posłusznych adherentów, którzy nieprzyjemne przedmioty odwracać, a pożądane wyciągać na stół pomagali, bardzo zręcznie. Wogóle czas upływał dosyć wesoło.

Królowa zdala miała wszystko na oku. Sejm już był drugi miesiąc czynnym, chociaż dotąd owocu pracy jego trudno się było dopatrzeć, gdy przybycie ostentacyjne nieco, Wojewody Ruskiego, bohatera, któremu wszyscy zazdrościli i z tego

powodu nieprzyjazni się okazywali, poruszyło stolicę. Bohater ze Zbaraża przybywał, jak przystało na wodza, z poczem wielkim i pięknym podporowoj konnicy, i jak przystało na wielkiego pana, z dynastów litewskich ród wiodącego, okozale i świetnie.

Wiedział on bardzo dobrze, jakie tu znajdzie dla siebie usposobienie; ale niezłomnego charakteru mąż nie przywiązywał do tego wagi. Dawszy tyle dowodów patryotyzmu i poświęcenia, naostatek skłoniwszy się do przejednania z ks. Dominikiem Zasławskim. Wiśniowiecki czuł się tak czystym, a tak od wszelkiego zarzutu wolnym, iż śmiało mógł drobnych swych wrogów lekceważyć.

Tak też czynił, ale dla senatorów, dla króla samego, ta postać surowa, nieugięta, zimna pozorze, której nic zadać nie było podobna, niewygodną i niepożądaną wcale się stała. Sam król widział w tym bohaterze współzawodnika, który go zaćmiewał, gdyż Zborowa bądźco bądź, do Zbaraża nikt już nie porównywał, a Wiśniowiecki za wszystko, co wycierpiał, za olbrzymie straty poniesione, tak lichy był wynagrodzony, iż niechęć dworu i pana cała się w tem zdradziła, a teraz temu pokrzywdzonemu przez króla, a wysoko bardzo cenionemu przez naród mężowi, potrzeba było spojrzeć w oczy.

Król, który dotąd w wysmienitym humorze był i zabawiał się u Ojców Soc. Jesu protektorem ich kongregacyi dając się wybierać; razem z ks. Albrechtem Radziwiłłem, który został jej sekretarzem, po przybyciu Wojewody Ruskiego zasępił się.

A tu i ów stary przyjaciel kanclerz Radziwiłł z Janem Kazimierzem się posprzeczał. Szło o rzecz niewielkiej wagi, ale Radziwiłł miał słuszność, a gdy się czuł w prawie, stawał się upartym.

Podobało się królowi dekret w sprawie Wojewody Wileńskiego z jakimś Jewłaszewskim kazać Radziwiłłowi podpisać i przypieczętować. Wojewodą Wileńskim był naówczas Krzysztof Chodkiewicz, bo tensam Radziwiłł ofiarowanego mu województwa nie przyjął. Pomiędzy dwiema rodzinami była waśń zadawniona, przygojona, ale nie ugaszona zupełnie: musiał więc ks. kanclerz dekret dobrze rozbierać, aby w nim makuły najmniejszej nie było.

— N. Panie — odezwał się kanclerz po odcytaniu dekretu — ja go podpisać nie mogę.

— Dlaczego? — porywczy podchwycił król, który na Radziwiłła powolność i przywiązanie do siebie rachował.

— Bo go pisał człowiek prawa litewskiego nie-

świadomy i są w nim punkta ingrossowane, których ono nie dopuszcza.

Zaczęto się sprzeczać; Jan Kazimierz, który prawa szanować tak dalece nie umiał, zmusić chciał kanclerza do podpisu.

Staremu przymus był nieznośnym. Nakoniec król zawołał:

— Nie chcesz podpisać? No, to ja sam go podpiszę...

Radziwiłł się uśmiechnął.

— N. Panie, a któż pieczęć przycisnie? — zapytał.

Nadąsany, odchodząc, zamruczał król:

— Prawo litewskie! przecież ja je tak znam, jak i wy.

— Przebaczysz mi, w. król. mość — rzekł kanclerz zimno — na to się nie godzę. W. król. mość panujesz nam miłościwie od roku, a ja przez trzydzieści dwa lata z prawem mam do czynienia.

Mocno rozjątrzony tą odpowiedzią, ani słowa już nie mówiąc, Jan Kazimierz — wyszedł, stukając drzwiami, i spotkawszy Butlera, skarżyć się począł przed nim na kanclerza; ale starosta nie wtórował mu.

Do następującego poranku zmieniło się wszystko: król ochłodził, dekret kazał przepisać i dawna dobra komitywa z Radziwiłłem powróciła, bo

bez Jewłaszewskich łącznie się król mógł obejść, lecz bez Radziwiłłów — nie sposób...

Ale powaga majestatu na tych bezsilnych pokuszeniach nie zyskiwała. Tymczasem nalegano z jednej strony, zwlekano z drugiej nieuniknione zdanie sprawy przed sejmem z wyprawy i Traktatów Zborowskich,

Gotowało się na to wielu. Radzono o tem u królowej, u króla, u kanclerza Ossolińskiego, u panów senatorów dworowi sprzyjających — i w końcu, za wiedzą Maryi Ludwiki, bo bez niej się tu nie teraz nie mogło dokonać, kanclerz się przygotował ze swego dzieła zdać rachunek.

Dwojaką miał do wyboru drogę Ossoliński: albo skromnie bardzo wytłómaczyć się z tego, co uczynił, koniecznością i składem okoliczności, lub nadzwyczaj wysoko podnieść wiktoryą zborowską i własny traktat, a że ogólne usposobienie paskwilluszami się zdradzało: kanclerz więc, wbrew niemu, postanowił niesłuchanie wysoko wynieść ową bitwę i tranzakcyą zborowską. Zmniejszył umyślnie środki, jakimi król rozporządzał, aby to, co niemi wykonał, urosło.

Pierwszego dnia w Sobotę, słuchano w sejmie niedokończonyj relacyi w milczeniu posepnem; nikt nie podnosił głosu. Niedziela przerwała i rozciągała na wpół sprawozdanie Ossolińskiego, który w Poniedziałek ciągnął je dalej — i ośmie-

lony milczeniem, wyniósł zwycięstwo nad Tatarami pod Zborowem wyżej Chocimskiego!

Milczeniem i to przyjęto, ale wejrzenia biegły po sali szyderskie. Wstał tedy prymas królowi za ocalenie ojczyzny dziękować, dziękowano wodzom, chciano i Kisielowi dziękować, który z narażeniem gardła do Chmiela posłował, ale tumult powstał. Zaprotestowano. Skończyło się to jednak cicho i pięknie, bo dzięki wogóle składano wszystkim, a marszałek sejmowy w języku ówczesnym, przesiąkniętym łaciną wojowników, ojczyzny obrońców, nazwał „delicyami narodu.”

Prawdziwy tryumf odniósł hetman litewski Radziwiłł, który się do niego przygotował, bo zdobyte chorągwie kazał przynieść za sobą i te pod nogi królowi rzucił!

Rozprawiano potem o potwierdzeniu traktatów... król nieustannie był czynny, ale poswojemu. Przybywał roztargniony, słuchał, gotował się co najrychlej spraw poważnych, a zabawał drobnostkami. Do trosk przybyła mu teraz jedna jeszcze.

Zajmowała go zawsze wielce piękna marszałkowa Kazanowska: musiał więc i jej losem się niepokoić. Od kilku tygodni Adam Kazanowski leżał w łóżku, paraliżem ruszony, niewyraźnie

ledwie belkocząc, na śmierć nieuchronną skazany.

Bezdzietny, dotąd nie uczynił testamentu, a teraz go już z trudnością mógł uczynić. Dawniej, za żywota całe swe mienie przeznaczał żonie, ale rodzina czychała na zgon... i byłaby zabrała ogromną fortunę, gdyby... król nie przyszedł w pomoc.

Kazanowski miał się z każdym dniem gorzej. Być wygnaną z tego raju, jakim był wspaniały pałac marszałkowstwa, odartą z dóbr... lub zostać na łasce rodziny... nie chciała marszałkowa. Dała znać królowi, iż widzieć-by go pragnęła.

Chociaż łaski, w jakich u Jana Kazimierza była piękna Kazanowska, Maryą Ludwikę dla niej źle usposabiały, król jednak nie wahał się na żądanie jejmości stawić się rano w pałacu.

Wyszła do niego z dziekczynieniem zapłakana pani.

— A! N. Panie — zawołała — nie śmiałybym była do łaski jego się uciekać... ale los mój, cała przyszłość, w rękach w. król. mości. Adam, mąż mój... leży na śmiertelnej pościeli, ocalenia go niema nadziei; biedna wdowa pozostaje otoczona nieprzyjaciołmi. Testamentu nie miał czasu, nie ma dziś możliwości, uczynić...

Załamano ręce i rozpłakała się piękna pani. Król mocno się poruszył.

— Zawezwę do rady prawników — rzekł — da się coś zapewne uczynić, bądź pani spokojną. Sam słyszałem z ust marszałka, iż chciał jej po sobie całą pozostawić spuściznę.

Kazanowska za łzami niewiele już mówić mogła; tłumaczyła się, że nie chciwość nią powodowała, ale mieszkanie to było dla niej pełnem pamiątek, a rodzina natychmiast ją z pałacu i z dóbr wygnać się już odgrażała. Szło jej o dowód miłości męża i t. p.

Wprost od marszałkowej król na zamek powróciwszy, nie wiedząc, jak sobie radzić, jak zwykle, gdy potrzebował wytrawnego pomocnika, posłał po Radziwiłła. Ze starym tym przyjacielem ciągle prawie to się waśnili i sprzecali; gdy królowi uledek nie chciał, to go sobie król ujmował, bo wielką w nim czuł podpórę. Ks. kanclerz, znający zdawną humor i temperament pana, śmiało sobie z nim poczynął.

Tym razem przyjął go Jan Kazimierz serdecznie i zamknął się z nim na radę.

Radziwiłł był tego zdania, iż dwu poważnych mężów świadectwo urzędownie spisane testament zastąpić mogło. Tegoż dnia uproszeni wojewoda i kasztelan w imieniu króla udali się do marszałka, który całą przytomność zachował jeszcze, chociaż życie uchodziło i z trudnością mógł mówić.

Przyjął ich Kazanowski, dziękując N. Panu za troskliwość o los żony, i na zapytanie: jakby chciał spadkiem po sobie rozporządzić? — oświadczył, że wszystko, bez najmniejszego wyjątku, przekazywał żonie.

Wojewoda Czernichowski oświadczył mu, że dla waloru ta wola ostatnia musiała być natychmiast spisana, opieczętowaną i przez nich poświadczoną, co też dopełnionem zostało.

Kazanowski rzekł jeszcze głosem niewyraźnym, iż teraz umiera spokojny..

W ten sposób królowi Janowi Kazimierzowi zawdzięczała pani marszałkowa, iż się przy ogromnej fortunie męża utrzymała, a rodzina ostatniej woli, tak uroczyście objawionej, sprzeciwiać się nie mogła.

Znaczniejsza część senatorów i wielu posłów byli na wielkiej uczcie u prymasa Łubieńskiego, w sam dzień Bożego Narodzenia, gdy na wety smutną dworzanin arcybiskupa przyniósł wiadomość, że Adam Kazanowski rozstał się z tym światem.

Każdy taki zgon znaczniejszego urzędnika w państwie wszystkich poruszał; otwierał się wankans, a za jednym szły całym szeregiem opróżnione krzesła.

Do króla mało kto nawet się zwracał w takim wypadku, bo bez Maryi Ludwiki nie dawał on nic

i niczem nie rozporządzał, a jeżeli się pozwolił namówić i zaskoczyć, pokutował tak potem za swą samowolę, iż się potem wyrzekał tych zachcianek na długo.

Zawakowało marszałkowstwo koronne; pozostawała piękna, młoda, bogata wdowa: było więc o czem rozprawiać czasu godów. Przez trzy dni świąt król i dwór cały prawie całe dnie spędzał na nabożeństwie w kościele, ale to nie przeszkadzało bieganiu za wakansami, i antykamera ks. de Fleury, p. Desnoyers, nawet panny Langéron, petentów i ich przyjaciół były pełne. Szeptano, obiecywano.

Nie dosyć tego, pod koniec sejmu, między kanclerzem Ossolińskim a Wiśniowieckim wszczęła się zwada, która z nieopatrznych słów Ossolińskiego urosła.

Począł się w senacie uskarżać na paszkwille, sławę jego szarpiące, na potwarze, jakie na niego rzucano, na przycinki, które cierpiał, a tak się rozgorączkował mówiąc, iż nie tylko stronnictwo Wojewody Ruskiego Wiśniowieckiego, ale niemal jego samego dotknął, wskazując, jako sprawcę.

Nazajutrz wystąpił przeciwko temu Wiśniowiecki, przyszło do przymówek ostrych, do kłótni w izbie i hałasu, który król napróżno starał się hamować. Ossoliński się unosił do zbytku

i Jana Kazimierza sobie naraził. Dopiero następnego dnia za wdaniem się niektórych posłów, zahamowano dalsze wyrzuty i prywatne skargi, co tyle czasu zabrało, że już sejmu z Grudniem zamknąć nie było można, i odłożono konkluzję na rok przyszły.

Ossoliński krwi sobie napsuł, a poważnego Wojewodę Ruskiego, który się chłodno bronił i spokojnie tłumaczył, podniosła ta zwada w oczach wszystkich, chociaż stał i tak wysoko.

Rozdrażnienie kanclerza słusznie niedobrej jego sprawie przypisywano, dla poprawienia której, usiłował drugim coś odebrać, a sobie dodać, co mu brakło.

Nadszedł Nowy Rok, nabożeństwa, a co daleko ważniejsza, wakanse, o które się starano, aby je król zaraz porozdawał.

Mówiono pociechu, że królowej sto tysięcy złotych ofiarowano za marszałkowstwo po Kazanowskim, ale tu... Radziwiłłowie stali, i Lubomirscy, na straży.

Brat więc żony ks. Albrechta, Jerzy Lubomirski, starosta generalny krakowski, wakans ten otrzymał.

Formalne rozpoczęły się targi, i nie bardzo się z niemi tajono. Jan Kazimierz napozór przy najmniej do nich się nie mieszał; dawano porę

kawiczne królowej jejmości, które czasem setki tysięcy wynosiło.

Zaraz po Nowym Roku Albrechta Radziwiłła wezwała królowa do siebie. Chciała mu dać starostwo borysowskie, bo jej wzamian Tuchola była potrzebna, ale kanclerz podziękował.

Tegoż dnia, biednemu umęczonemu a zasłużonemu Kisielowi, dano Nowytarg, a synowcowi Radziwiłła Marya Ludwika ofarowała starostwo borysowskie, którem stryj pogardził, i dodatku 30.000 podarku, ażeby się jej postarał o to, by Rzeczpospolita naznaczyła rocznej intraty czterdzieści tysięcy z Korony, a dwadzieścia z Litwy.

Jak się to nam dziś wydaje, że naówczas można wielce pan, wysoki dygnitarz, wielkiego imienia mąż, z królową jejmością mógł tak frymarzyć? Czasy były, niestety, takiego moralnego upadku, takiego można powiedzieć bezwstydu, iż to nikogo nie raziło. Rwał każdy Rzeczpospolitą biedną, która wojska nie miała czem opłacić, bez litości i sumienia.

Tensam kanclerz Radziwiłł, surowej moralności mąż, który w kozackich buntach widział sprawiedliwą karę bożą za ucisk chłopów, w tych szachrajstwach nie czuł nic zdrożnego i najtroskliwiej je na kartach swoich pamiętników zapisał.

A! smutne to są dzieje! pióro nieraz wstrzymuje się i wzdryga, gdy do ich rozbioru i sądu przychodzi. Sejm kończył się pośpiesznie... czasu zmarnowanego nie stawało na najważniejszą sprawę... Dzień jeden ukradło wesele panny Langéron, faworyty i sługi królowej, wydanej przez nią za Kasztelana Płockiego, z której zmarszczków się naśmiewano, drugi zajęły przenosiny... a tymczasem posłowie kozacy ze swym metropolitą mieli czas nową nienawiścią się napoić i przypatrzeć temu społeczeństwu, które wcale zagrożonem się nie czuło i znowu hardo podnosiło głowę.

Na samą wzmiankę o tem, ażeby metropolitę do senatu przyjąć, miano—krzyk powstał okrutny, i Paktów Zborowskich znać już nie chciano, a tak to sobie mało wazono, iż tymczasem na weselu panny Langéron pół sejmu piło i skakało.

Nie było tam, niestety Bojanowskiego, a gdyby się ten był znalazł, pewnieby go za drzwi wypchnięto...

Tak, ciągle przeciągany z dnia na dzień sejm aż do końca Stycznia się przewlókł, wszystkich znużywszy.

Jak groźne memento, przyszli na zamknięcie jego Kozacy ze swym metropolitą, i—żądania ich, po długich targach zaspokoić było potrzeba.

Ogólny obraz tych obrad w chwili niesłychanej wagi—bolescią napęła.

Słota zdaje się ogarniać wszystkich, nikt nie widzi, nikt nie przeczuwa, nie rachuje. Wszystkie sprawy wykolejone chwilowo pogromem, któreby na nowe, lepsze tory wejść mogły, wpadają na stare drogi wyboiste... i znowu wloką się niemi.

Z Kozactwem jakby wszystko było skończone.

W całej potędze swej czasu tego sejmku ukazują się królowa, wszyscy wiedzą i mówią, że ona kieruje królem, jak „murzynek słonem”—Jan Kazimierz bawi się, nudzi, niecierpliwi, gniewa, ale nigdy życia i panowania nie widzi jasno, ani bierze do serca...

Najważniejsza sprawa w senacie mniej go obchodzi, niż jego karły, małpy, papuga i skandaliczne plotki dworskie, które karmi się lubi. Do tego ma kilku pokojowców, co mu wszystkie zamkowe śmiecie, po kątach zebrane, przynoszą.

Z tych słabości korzystają wszyscy, poczynawszy od niegdyś zasłużonej Bertoni, aż do najmniejszego pokojowca.

Przy ludziach wszyscy się przed majestatem kory, ale dwór pański, gdy sam na sam z nim jest, obchodzi się z poufałością rzącą.

Rozpasanie ledwie starsi wstrzymać mogą, a król

swem postępowaniem je utrwała. Wesele panny Langéron, dla Bertoni szczególnie było powodem, iż zatęskniła za dawno nienawidzonym swym protektorem. Wiedziała o sejmie, bo pełnem go było miasto, nie cisnęła się na zamek, zdało się jej wszakże na Nowy Rok obowiązkiem siebie i córkę przypomnieć. Ale jak się tu dostać do króla?... Strzębosz, gdyby się tylko odezwała, byłby jej pewnie i chwilę znalazł i bocznymi drzwiami wprowadził, jednak za nic w świecie uciec się do niego nie chciała.

Trafiło się starej, że koszyk pomarańcz, bardzo pięknych, na Starem Mieście kupić mogła nie drogo. Przeznaczyła go na noworoczny podarek dla N. Pana.

Lecz jak go tu oddać i zanieść? Między starszymi sługami na zamku miała wprowadzić znajomych, lecz, że teraz urosła, nie ze wszystkimi się bratać chciała.

— Cieszyłam się, gdy królem został — mówiła sama do siebie Bertoni — myślałam, że mi co z tego przyjdzie, a tu ani się do niego dobić. To tak pozostać nie może—nie!...

Kręcąc się po kurytarzach zamkowych, trafiła na trochę jej z widzenia znanego pokojowca królewskiego, z niemieckim nazwiskiem, ale już w Polsce narodzonego i wychowanego, Richtera.

Zaczęła od tego, że mu ofiarowała jedną pomarańczę i uśmiech swój zawiedły.

— Chciałabym z gościńcem na chwileczkę się dostać do garderoby N. Pana, he? Puściecie mnie.

— Nie — odparł Richter — ale króla zapytać mogę.

— Powiedz mu, że przyszła Bertoni! rozumiesz wpan, niezawodnie wpuścić każe.

Richter poszedł i przepadł, nie powrócił, pomarańcze z nim. Włoszka gniewać się zaczęła już, bo w kurytarzu stać dumę jej obrażało, gdy ujrzała przed sobą Strzębosza.

Chciała już precz iść, aby się z nim nie kłócić, ale Dyżma ją zagadnął:

— N. Pan polecił mi wprowadzić na chwilkę do garderoby — rzekł — proszę wpani za mną. Grzeczniejszy jestem, niż jejmość we własnym domu.

To mówiąc otworzył drzwi.

W garderobie przed zwiciadłem w srebrnych ramach stał nawpół już ubrany, a lenie po polsku, bo strój ten rychło zrzucił, Jan Kazimierz; włożył był właśnie perukę, a drugą na rękę trzymał, do wyboru chłopak. Usłyszawszy szelest sukni kobiecych, odwrócił się.

Nie na rękę byli świadkowie Włoszce: posta-

wiała szybko koszyczek z pamaranćzami przed królem i poczęła mu winszować po włosku.

Śmiejąc się, król życzenia przyjmował. Bertoni skarżyła się, że do króla teraz przystęp był tak trudny dla niej, gdy ona też mogła się na coś przydać... ostrzedz i posłużyć. Nie wytrzymała potem, aby nie wyrzucić niewdzięczności — za niedbania, niepamięci na jej dziecko.

Nawykła do bardzo swobodnego obchodzenia się Bertoni coraz żywiej i głośniejszy wyrażać się zaczęła.

— Królowa Jejmość, jak kogo lubi i proteguje, to mu się z tem dobrze dzieje — wołała, coraz bliżej następując na króla a z W. Król. Mości nawet najwierniejsze sługi nic nie mają. Com się to ja spodziewała dla Bianki! Langéron poszła za kasztelana, królowa ją sama mu odwiozła! he?

Śmiał się król.

— Cóż ty chcesz? abym ja ci dla córki senatorów swatał — i za družbę służył? Oszalałaś czy co! — Mówisz, że do mnie przystępu niema... ale to teraz Sejm; mam co innego na głowie. Pilno ci z czem: przez Strzębosza możesz nakazać do mnie.

Porwała się strasznie rozsierdzona Bertoni.

— Ten to nicpoń wszystkiego złego dla mnie

przyczyną!—zawołała. Ja go znać nie chcę... no-
ga jego nie postanie u mnie.

Jeden z dworzan króla zbyt głośno krzyczącą
Bertoni pociągnął za rękaw i przestrzegł — ci-
szej...

Zmieszało ją to tak, że płakać zaczęła, co się
rzadko trafiało, chyba do ostateczności była roz-
jątrzoną.

Król spojrział na nią.

— El!—zawołał kwaśno—deszcz pada... burza
ciągnie... trzeba uciekać. Słyszysz Bertoni! cza-
su niemam—czego ty chcesz ode mnie?

Włoszka wpadła w większe jeszcze rozdra-
żnienie.

— Jakto, czego ja chcę?—poczęła—ale W. Kr.
Mość przyrzekałeś mi opiekę dla mnie i dziecka...
wszyscy przecie wiedzą, że do niej mam prawo,
a i Bianka nie mniejsze. Cóż potem: drzwi dla
mnie zamknięte... król mnie znać nie chce.

Jan Kazimierz zwykle, gdy do podobnych scen
przychodziło, salwował się ucieczką; więc, choć
by był może perukę odmienił, pozostał z tą, którą
miał na głowie i skierował się ku drzwiom, lekka
Włoszka mu od nich zaskoczyła.

— N. Panie—zawołała—nie godzi się tak mnie
pozbywać!

— Czegoż chcesz?

Właściwie Bertoni w kilku wyrazach życzeń

swych wypowiedzieć nie mogła, a długich wywo-
dów król słuchać nie miał czasu. Przerywał jej
kilka razy, dworzanie z tej napaści śmiać się za-
częli i parskać, to podbudziło do śmiechu króla,
a Włoszkę do wściekłości.

Zapomniała się zupełnie. Szczęściem tylko, że
nie wszyscy rozumieli, co po włosku wywoływała.

— Taki z ciebie król! malowany! Co jejmość
każe, to robisz... co magnaci podyktują, co sobie
piękne panie wyproszą! Jam też śmieszna, że na
takiego rachowałam. Nikomu z ciebie nic... Gło-
szą twoje zwycięstwa!... a świat się z nich śmie-
je; powiadają, żeś się z łyk Tatarom wykupił.
Dobrze ci tak... dobrze ci tak!!

Jan Kazimierz śmiać się przestał, ale się na-
straszył i rozgniewał.

— Milcz—krzyknął do Włoszki—bo cię wypro-
wadzić każę. Masz co do mnie, a Strzębosz ci
nie do smaku, pisz petycją. Ja się z babami uja-
dać nie mam czasu.

Topowiedziawszy, szybko zawrócił się i wyszedł,
a Bertoni z pośród szydzących i śmiejących się
z niej dworaków co prędzej uchodzić musiała.
Tymczasem koszyczek pomarańcz przeznaczony
dla króla, padł ofiarą. Jeden z młodszych poko-
jowców pochwycił pierwszą, za nim drudzy po
jednej i po dwie tak żywo zaczęli zabierać, że

wkrótce ani jednej nie pozostało, a sam koszyk, aby ślad i pamięć zatrzeć, rzucono do kąta.

Strzębosz miał sobie za obowiązek nieszczęśliwą Bertoni, przeklinającą króla, wyprowadzić na kurytarz, ale jej już nie drażnił i nie odzywał się, aby nie doprowadzić do ostateczności. Towarzyszył tylko aż do wschodów i tu dopiero odezwał się, kłaniając.

— Ja zawsze na usługi wasze jestem, gdyby co do króla JMości było potrzeba... pamiętać o tem proszę, choć wpani mnie znać nie chcesz — trwam w wiernej przyjaźni dla niej i dla panny Bianki.

Uszy sobie rękami zatuliwszy — Włoszka zbiegła z przekleństwem na ustach.

IV.

Rok, który się rozpoczął zamknięciem Sejmu i załatwieniem co najpilniejszych spraw — ciągnął się dalej, niczem nie zapisując się w pamięci, oprócz spraw powszednich żywota.

Był on — cichem przygotowaniem do przyszłości.

Pomiędzy królem a królową związek małżeński wcale niespodzianie ściślejszym się stał, gdy Pan Bóg go narodzeniem córki pobłogosławił. Ale dziecię to długo żyć nie miało.

Marya Ludwika troskliwa o męża, niezaspokojona wypadkiem ostatecznym zborowskich zwycięstw i traktatów, marzyła wojnę nową, aby go nowym okryć blaskiem. Można już wówczas przewidzieć było, że Chmielnicki niedługo pozostanie spokojnym i nie dotrzyma co przyrzekł. Dochodziły wieści o odgrózkach, a usposobienie kozactwa i chłopstwa, które krwi raz zakosztowa-

wawszy, zemstą się upoiło—nie dozwalało się ludzi.

Usiłowano w Zaporozżu stworzyć partją wier-nych Rzeczypospolitej i stawić ją przeciwko Chmielowi, ale z tymi zbratanymi i serdecznymi działało się prawie zawsze tak, że zrazu kłaniali się, wyzyskiwali, płacić sobie kazali, obiecywali, a w ostatku zdradzali. Na kresach trzeba było nieustannej czujności i nieustannej grozy, bo inaczej, jeno strachem, Kozactwo się ująć nie dawało. Żołnierz zaporozzki byłby może wreszcie prędzej się dał pociągnąć i przejednać, gdyby na Tatara i Turka go pociągnięto, ale chłopstwo przynosiło z sobą nienawiść wiekami wykarmioną, w której może tkwiła i ta etnologiczna tajemnica, iż pobratymcze narody częściej względem siebie stoją, jak Able i Kaimy, niż jako krwi jednej dzieci.

Kancelarz Ossoliński, który Traktatów Zborowskich jeszcze dotąd nie mógł od napaści obronić, i gryzł się narzekaniami na nie, od sejmku, choć napozór z Wiśniowieckim pogodziwszy się, choć mu publicznie dziękowano, nosił brzemie ich na piersi. Najmniejsza alluzya, najniewinniejsze słowo, które mogło mieć jakieś zastosowanie, oburzało go i do najwyższego gniewu pobudzało.

Czuł bardzo dobrze, iż gdyby nie to, że król

miał udział w układach i jego oszczędzić chcia-no, wrzask przeciwko nim byłby daleko większy. Króla zaś znajdował Ossoliński niewdzięcznym, i miał słuszość może, bo listem do Hana ocalił, jeśli nie życie, to sławę Jana Kazimierza—i pozłocił pierwszą kartę jego panowania.

Z królem zaś, jako z człowiekiem wielce nie-stałym i przerzucającym się łatwo na wsze strony, nie można nigdy było być pewnym, ani poparcia, ani uznania. Jednego dnia wynosił pod niebiosą, drugiego zamykał drzwi, dąsał się i gniewał bez przyczyny.

Ossoliński, chcąc sobie hetmana polnego pozyskać, który świeżo z niewoli kozackiej wyszedł, dopraszał się dla niego o starostwo trubowskie... Królowa już je była komu innemu przyrzekła: Jan Kazimierz więc odmówił; nie nie pomogły nalegania. Kancelarz, który chciał wyrobieniem starostwa pokazać swe znaczenie, otrzymawszy odprawę raz i drugi, uczuł to mocno. On, któremu się zdało, iż losy Rzeczypospolitej w jego były ręku, a rozum jego niezbędnym w chwili, gdy się do nowego poselstwa do Włoch i Rzymu gotował, zaskoczony tą odmową, nie mógł jej znieść.

Jednego wieczora powrócił od króla niezmiernie podrażniony, powtarzając sobie ciągle, iż starostwa mu odmówiono, burząc się, unosząc i z tem

roznamiętnieniem ległszy na łoże, kadukiem porażony (jak naówczas mówiono), nagle życia dokonał.

Można było się spodziewać, że król śmierć tego wiernego doradcy, któremu wistocie wiele był winien, uczuje boleśnie; tymczasem spostrzegli to i zapisali, jako świadectwo chłodnego serca króla współcześni, że Jan Kazimierz wcale żalu nie okazał, wiadomość o zgonie przyjął obojętnie i ledwie nie dowiódł swobodą humoru, iż rad się go pozbył. Był to podczas Mentor niewygodny.

Wkrótce potem wyjechał na wielkie łowy jesienne do Białowieży, gdzie mnóstwo zwierza na bito, a po drodze rozerwać się mógł, bo go przyjmowano i ugaszczano, tak, jak lubił, zabawiając krotochwilami.

Odznaczył się szczególnie gościnnością tą, idący w ślady ojca Starosta Łomżyński Radziejowski, który w Bielsku Jana Kazimierza zatrzymał, dwór i jego przez kilka dni karmiąc, pojąc i obdarzając...

Jan Kazimierz, który go nie lubił, dał się mu przecież ująć, do czego się i to przyczyniło, iż dwa razy owdowiały Radziejewski, jak przewidywano, zaraz po śmierci marszałka Kazanowskiego otwarcie wdowie nadskakiwać zaczął i jawnie się o nią starał.

Osierocona, potrzebująca opieki, zresztą zrzęcz-

nemi zabiegami przebiegłego a natrętnego niesłuchanie człowieka znużona, skłonna już była, jak mówiono, oddać mu rękę.

Los pani marszałkowej króla, który był jej adoratorem, mocno obchodził; małżeństwo to może znalazło u niego z pewnych względów approbatę. Radziejowski zaś potrzebował zeniąć się przynieść z sobą wdowie tytuł znaczniejszy, niż krajczego królowej i łomżyńskiego starosty; chciało mu się i pochlebiał sobie, że z pomocą Kazanowskiej wyjedna u króla... bodaj spadek po Ossolińskim. Zuchwałe to były nadzieje, ale marszałkowa miała fawor wielki u króla jegomości, a Radziejowski był natrętem niepozbytym.

Wszystko on winien był temu niemal bezwstydnemu dobijaniu się. Tak i z panią Kazanowską w początkach, gdy mu jedne drzwi zamykano, przekupiwszy sługi drugimi się wciśkał, a żadna odprawa nie pomagała. Jednego dnia się go pozbywszy, drugiego napewno można było się spodziewać, znaleźć go z pogodnem obliczem, jakby nic nie zaszło, na temsamem miejscu i drodze.

Nie dawał pokoju marszałkowej, wszystkich, co ją otaczali, starając się sobie pozyskiwać; potem tak samo nie mógł król się go pozbyć, na ostatek w przewidywaniu, że i to się na coś przy-

dać może, począł starosta łomżyński zabiegać około królowej.

I tu potrafił małemi przysługami stać się potrzebnym, szczególnie doniesieniami, na wpół żartobliwemi o królu, o jego... zabawach, stosunkach, wyrażeniach, i t. p. Marya Ludwika, śledząca każdy krok męża i nieustannie dająca mu admonicje, rada była mieć wiadomości poufne — i posługiwała się niemi. Instynktowo też zazdrośną była o marszałkową Kazanowską, dla której Jan Kazimierz nazbyt wiele okazywał affektu i troskliwości.

Po przyjęciu w Bielsku, mimo zabiegów Starosty Łomżyńskiego, pieczęci większej nie dopuściła mu dać królowa, ale mniejszą, miał tak, jak przyrzeczoną, czemu się Marya Ludwika nie sprzeciwiała, a król dla pozbycia się utrapionego natręta, gotów ją był konferować.

Wątpliwe jeszcze wyjście za mąż za Radziejowskiego z końcem roku stało się, najpierw wielce prawdopodobnem, potem nagle dokonanem. Jakim sposobem młodą, piękną, swobodną, wyposażoną ogromnie panią potrafił sobie pozyskać człowiek nie bardzo już młody, i mimo ogłady, mający wiele odstręczającego? — to pozostało tajemnicą. Rodzina Śluszków, szczególnie brat rodzony pani Radziejowskiej, przeciwnym był temu związkowi, wahała się marszałkowa długo, ale

nieustępujący kroku, nieustępny, zuchwały, a zręczny starosta umiał tak usidlić kobietę, iż mu rękę oddała.

Ruszano ramionami na to małżeństwo, nie prorokując mu wielkiego szczęścia, ale dla Radziejowskiego był to szczybel do przyszłego wzniesienia się bardzo wielki. Ani w Bielsku, ani w Łomży, ani w Radziejowicach już nie powstał pan starosta; wniósł się tryumfalnie do pałacu żony i na krok nie oddalał się z Warszawy.

W tensam sposób, jak z wdową, postępował teraz sobie z królową i królem. Trawił dni całe na zamku, lub w pałacu na Krakowskim Przedmieściu. Janowi Kazimierzowi, który go już podejrzewał o donoszenie królowej najmniejszych rzeczy, stał się wkrótce nieznośnym.

Dawał mu to król poznać lecz pan starosta, gdy chciał nie rozumieć, nie słyszeć, nie widzieć, czynił się nadzwyczaj łatwo niepojętym, ślepym i głuchym. Wtem postępowaniu było coś tak zuchwałego, tak niemal obrażającego, że Jan Kazimierz Butlerowi już począł mówić, iż dałby niewiem co staroście, byle go się pozbyć i tak często na każdym nie spotykać go kroku.

Butler utrzymywał, iż: skoro obiecane podkanclerstwo dostanie, pofolguje: to narzucanie się było tylko przypominaniem się o pieczęć.

Kazanowska, której o tytuł dla męża chodziło, wstawiła się też do króla, a Jan Kazimierz niczego jej odmówić nie umiał.

Mianowanym więc został Radziejowski podkanclerzym.

Z tem nowy sejm się otworzył. Królowa czynną być nie przestawała. Więcej, niż kiedykolwiek, król zupełnie się jej poddał... Po śmierci Ossolińskiego ona więcej jeszcze na ogólny obrót spraw krajowych wpływała.

Starano się ubezpieczyć od W. Ks. Moskiewskiego przewidując już nowe zatargi z Kozakami, którzy także w potrzebie do W. Ks. Moskiewskiego się uciec mogli i z tem się nie taili. Pociągała ich tam jedność wiary, chociaż Chmiel Turka-by był za sprzymierzeńca wołał, bo ten by go swobodniejszym pozostawił. Oprócz układów z W. Ks. Moskiewskiem, w domu był niepokój nieustanny od niepłatnego żołnierza, który związki czynił, wodzów sobie dobierał i ciążył samowolą Rzeczypospolitej. Skarb odrazu wszystkich zaległości opłacić nie mogąc, musiał z konfederacyami nieustannie się układać i niemal na ich łasce byłaby Rzeczpospolita, gdyby ją nieprzyjaciel zaskoczył, bo wojsko nie myślało się ruszyć, póki by zaległości nie otrzymało.

Nie o pieniądź szło w tych związkach dla tych, co głębiej widzieli rzeczy i ich następstwa. Obawiano się rokoszów dawnych, a żołnierskie związ-

ki pod innem imieniem i formą niczem nie różniły się od nich. Wojsko stawilo się przeciwko władzy i, jak z nieprzyjacielem trzeba się z niem było umawiać. Przychodziło do tego, że z żołnierzem już rozmówić się było trudno i podskarbi musiał zakonników używać, aby się porozumieć i ułożyć ze związkowymi.

W. Ks. Moskiewskie, dopominające się zamków Kozacy zaniem zdala, a naostatek żołnierz nie płatny i coraz butniejszy—wszystko to nie dawało spokoju królowi; lecz Jan Kazimierz miał ten temperament szczęśliwy, który mu nie pozwalał niczem długo się męczyć, najmniejsze fraszki odrywały go od najważniejszej sprawy, jeżeli ona w pewnej odległości się ukazywała. Troski więc przypadały na królową raczej, a król jmość rad sobie wszystko różowo malował.

Cały ten rok nieustawały układy z W. Ks. Moskiewskiem i targi z wojskiem, które tem pilniej zakończyć było, że z Zaporozża już dochodzące wiadomości przewidywać nakazywały nieuchronną rozprawę z Kozactwem.

Królowej była walka prawie pożądaną, dla męża. Roila ona zawsze ogromne, stanowcze świetne zwycięstwo, pogrom, któryby J. Kazimierza postawił na wyżynie... i okrył laurami. Wszystkie starania ku temu były skierowane, aby to wystąpie-

nie uczynić, nie jak pod Zborów, bezsilnem i wą-
tłem, ale potężnem i zwyciężkiem. Na czarnej
chmurze, zwiastującej już nadchodzące gromy
i wichry... dziwnie zarysowują się drobne wy-
padki, które w przyszłości miały urosnąć do hi-
storycznego znaczenia...

Jakim sposobem Bertoni potrafiła się wśliznąć
do pałacu, Kazanowskich niegdyś, a teraz pod-
kanclerzego Radziejowskiego, odgadnąć trudno.
Prawdopodobnie z dawnych czasów miała tam
jakieś stosunki, a że król się mocno zajmował
losem samej podkanclerzyny, Włoszka zawiąza-
ła tu stosunki, aby w ten sposób usługując kró-
lowi, łaskę jego sobie pozyskać i wstęp otwo-
rzyć.

Małżeństwo zaledwie zawartem zostało, gdy
wieści chodzić zaczęły, iż zachodziły nieporozu-
mienia. Nikt temu z początku nie chciał dawać
wiary, wistocie jednak ani piękna pani Elżbieta,
ani despotyczny i natrętny podkanclerzy stwo-
rzonymi dla siebie nie byli, ale zapóźno to spo-
strzegli.

Sama pani za życia powolnego i rozmiłowane-
go w niej męża nawykła była do postępowania,
jak się jej podobało. Radziejowski chciał ją
mieć narzędziem posłusznem dla swych widoków.

Drobne okoliczności przyczyniły się do nie-
ustannych nieporozumień. Pałac Kazanowskich,

najwspanialszy gmach w Warszawie, z którym
ani zamek królewski, ani pałac króla na Kra-
kowskiem-Przedmieściu równać się nie mógł—
pełen był nieocenionych skarbów, przez długie
nagromadzonych lata.

Poczawszy od kosztownego oręża, broni, zbroi,
od sreber, klejnotów, aż do obrazów i posągów,
wszystko tu ze zbytkiem niesłychanym było
urządzone. Piwnice, skarbce, spichlerze, staj-
nie przepełnione, zdumiewały naówczas cudzo-
ziemców. Radziejowski, opanowawszy te dostatki,
chciał rozporządzać niemi, żona się temu ła-
godnie w początku opierała, na co on zważać nie
myślał.

Oprócz tego pani Elżbieta nawykła była przy-
jimać kogo chciała, otaczać się osobami, które
jej były miłe, i dom jej był jednym z najgościnniej-
szych w Warszawie.

Radziejowski zapragnął poddać to swej kon-
troli i rozporządzeniu, słowem: chciał tu być pa-
nem i nie odnosząc się do żony, nią i jej mieniem
rozporządzać.

Nie mogła tego znieść podkanclerzyna; oparła
się stanowczo.

Drobne te jednak utarczki małżeńskie z po-
czątku nikomu nie były wiadome i za mury pała-
cu nie wychodziły.

Radziejowska, może podrażniona tylko, dała się

tęgo domysleć królowi, a podkanclerzy poskarżył się poufnie samej Maryi Ludwice, która nie lubiła jego żony. Pomiedzy aktorami tego dramatu cichego, jeszcze niepostrzeżonymi, znalazł się i pokojowiec króla wmieszany... którego Jan Kazimierz zaczynał coraz więcej do poufałości przypuszczać.

Był nim, znacznej i możnej rodziny, jak wiele innej młodzieży, rozpoczynający na dworze służbę, Tyzenhaus, należący do tak zwanych pokojowców króla, wistocie dworzanin jego. Z natury temperamentu żywego, gorącego, panicz, nawykły do bardzo śmiałego obchodzenia się z ludźmi, młody Tyzenhaus przy Janie Kazimierzu, który dworzan swych i komorników wcale surowo nie trzymał, nabrał jeszcze buty i śmiałości. Król go lubił, słuchał chętnie, dawał mu sobie prawie nie tylko, co gdzie słyszał, ale, co o ludziach trzymał i jak ich sądził.

Butlera starego przyjaciela, nie zawsze miewał król przy sobie. Strzeżbosz dla małych stosunków mało mu mógł posłużyć. Tyzenhaus, który wszędzie bywał, a spokrewniony był w Litwie szczególnie z pierwszemi domami, donosił, do wcipnie to ubierając, królowi, co mu się po świecie widzieć i słyszeć trafiło. Bystrego oka, młody pokojowiec często odgadywał szczęśliwie i bawił tem znudzonego Jana Kazimierza.

Ze Słuszkami Tyzenhaus miał czy powinowactwo jakieś, czy dawne stosunki, dosyć, że u podkanclerzyny, czasu jej wdowieństwa, a potem i po weselu często bywał i ona go lubiła. Radziejowski od początku znieść go nie mógł, widywał u siebie niechętnie, ale cierpieć musiał.

Parę razy napomknął żonie, ażeby zbytnio tego młokosa nie przyswajała, ale ona nie widziała przyczyny, dla czego by przyjazne swe usposobienie zmienić miała.

— Nie mam najmniejszego powodu zamykać mu drzwi, ani się okazywać inną, niż byłam — odpowiedziała.

I na tem się skończyło na razie. Tyzenhaus, wcale sobie Radziejowskiego nie wając tak dalece, postaremu dworował przy jejmości.

W stosunkach tych temperamenta i stanowiska a położenie osób ważnemi były czynnikami; Tyzenhaus miał za sobą króla i protekcyi jego był pewnym; to go ośmielało. Radziejowski rachował na królową najwięcej, bo słabość Jana Kazimierza znał i przewagę, jaką żona nad nim miała. Podkanclerzyna nie chciała się dać zawojować odrazu mężowi, aby nie być niewolnicą, gdy wniosła mu tyle, iż on jej więcej, niż ona jemu zawdzięczała. Król protegował wdowę po Kazanowskim, nie tylko może dla jej piękności, jak dla uprzejmości, którą mu zawsze okazywa-

ła. Jest w naturze człowieka, iż się przywiązuje do tych, którym mogło się coś dobrego uczynić. Podkanclerzyna testament męża i swe wyposażenie winną była królowi i z pewnością Jana Kazimierza to więcej obowiązywało dla niej, niż ją dla niego.

Każdego małżeństwa owe miodowe miesiące są walką o niepodległość i o panowanie; u młodych ozłaca je miłość lub namiętność zmysłowa; u podżyłych, żeniących się powtórnie, lub jak podkanclerzy, po trzeci raz, u wdowy po Kazanowskim szło zaraz w początkach o zaznaczenie przyszłego stanowiska.

Podkanclerzy był nazbyt zuchwałym, przebiegłym, chciwym, ażeby się chciał poddać kobiecie, której w oczach ludzi i tak już bardzo był winien wiele: próbował więc odrazu przybrać rozkazujący ton pana domu—i małżonka kierującego wszystkim. Wdowa nie była przywykła do ucisku ze strony nieboszczyka Adama, czuła się też zbyt silną stosunkami, bogactwami, wnioskiem swym, aby ulegać kaprysom i zachciankom małżonka. Ona także w swoim domu chciała być panią. Nie przyszło do zatargów, ani do sporów w dniach pierwszych; Radziejowski był nadto ostrożnym, a ona nie sądziła, aby się targnąć ważył przeciw niej, gdy okaże mu swą wolę.

Oboje zarówno pewni byli zwycięstwa. Pod-

kanclerzy jednak, który bawił królową opowiadaniem o swych staraniach, o ożenieniu, o charakterze żony, której ona nie lubiła, szydersko zaczął wyrażać się o niej—i lekkomyślnie insynuował, że wiele liczyła na króla protekcją i poparcie.

Marya Ludwika nie była pewnie zazdrosną o miłości pokątne męża, o których jej także donoszono, gromiła go tylko, gdy one go śmiesznym czyniły, ale jawne nadskakiwania damom dworu oburzały ją.

Posądzala niesłusznie panią Kazanowską, potem podkanclerzynę, że króla zalotnością ku sobie pociąga. Pani Elżbieta była z natury swej niewinnie zalotną, starała się podobać wszystkim, była oprócz tego pieszczoszką potrzebującą hołdów i dworu. Przyjaźń króla jej pochlebiała. Tyzenhaus ją bawił, tak samo inna młodzież wielce była przyjmowana przez nią, bo ją rozrywała.

Ten tryb życia niezależny, swobodny, którego wdowa zmienić nie myślała, nie podobał się Radziejowskiemu, który, jak wszyscy egoiści, był despotą. Opanować ją, zamknąć, kierować, gdyby nie wypływało z jego rachub, wypływałoby z charakteru. Nie był to człowiek, coby się zrażał pierwszymi przegranymi potyczkami, upór bez-

wstydnny należał do jego wad, czy przymiotów. Z początku więc puścił mimo co go drażniło.

W pierwszych miesiącach po mianowaniu podkanclerzym, gdy nowo naznaczony w podeszłym wieku kanclerz głośno zapowiedział, że w młodszym pracowniku potrzebuje pomocnika, Radziejowski, rad temu, bardzo gorliwie się zajął kancelaryą i rozpoznawaniem swych przyszłych obowiązków. Całemi więc czasem dniami w domu nie bywał, powracał dopiero wieczorem. Ten trud urzędowy był w większej części pozornym tylko. Podkanclerzy bowiem więcej przesiadywał u królowej, którą pragnął sobie pozyskać, aby miał ją przeciw królowi (bo tego się ezuł niepewnym), i tam, gdzie wesoło ucztowano, albo frymarki jakieś omawiano i gotowano.

Dwór intryg był pełen, krzyżowały się one tu, snuły, i wszystkie ostatecznie, u królowej rozwiązywały.

„Zważyć potrzeba dworu obraz, powiada pisarz współczesny, wszystkie drzwi i podwoje oprowadane, obłożone pokoje, wszyscy wiszą przy królu (i królowej, rozumie się) wlepiają w pana oczy, zmyślają fantazje do pańskich się akkomodując, ze śmiejącym się weselą, z cholerycznym tetrykami się stają. Nie masz prawdy za szeląg, wszyscy patrzą na ręce, ubiegając się, aby ich przekupywano. Tu przysięga bez wiary, nie

domacasz się prawdy, przyjaźni szczerzej nie uprosisz, chyba ją kupisz, rozumu i mądrości nikomu nie przyznają, chyba temu kto więcej zapłaci. Wystrzegaj się rozmowy z niemi i ofiarowanej uprzejmości; co mówisz, pilnuj się, aby oni ze słów twoich skrytych nie wyczerpali tajemnic.“

„Dwie tu sztuki, u starych Polaków niebawem, siedzą na warcie: chytrość i zmyślona przyjaźń. Jeden z drugim ściska się, jedzą, piją, sakramentują się, a jeden pod drugim dołki kopie; nie miły mu ten stopień, na którym stoi! Chce mu się wyższego, zazdrości drugiemu wzrostu, wiek trawia w nadziei, jak woły jeden drugiego popychają. Szczęśliwych nienawidzą, nieszczęśliwymi gardzą, siedzą jak w prassie ściśnięci, z jednej strony wzgardą wyniosłych, z drugiej sobie równych zazdrością.“

Wykarmiony był temi praktykami dworskimi Radziejowski. Długo, długo nie udawało mu się nic więcej nad ożenienia, które przyniosły fortunę. Starostwo Łomżyńskie, tytuł krajczego królowej były dla niego zaledwie zadatkami, sięgał wyżej daleko. Ożenienie z bogatą Kazanowską, postawiło go dopiero na drodze do honorów.

Wiedział on bardzo dobrze, iż miała u króla łaski, rachował na to... lecz zarazem służył sam

królowej, obiecując sobie ze stosunków własnych i żony ciągnąć korzyści.

Tyzenhaus nie przenikał go może tak bardzo, ale instynktowy czuł wstręt do niego, a wielkim będąc wielbicielem podkanclerzyny, widział w nim jej nieprzyjaciela.

Jednego dnia rano, jak bardzo często, Tyzenhaus się znalazł na pokojach podkanclerzyny, która, otoczona swemi ptaszkami i kwiatkami, bo jednej i drugiej lubiła bardzo, w tej chwili była samą.

Jakim sposobem rozmowa tak niebezpieczny i poufały zwrot przybrała, iż podkanclerzyna westchnęła i poskarżyła się na despotyczne zachcianki męża?—może w tej chwili świeżo ją one zabolaly.

Tyzenhaus się odezwał z oburzeniem:

— Alboż pani podkanclerzyna nie jest u siebie w domu panią i nie rozporządza jak jej wola?

— Waćpan jesteś młody — odparła napół tęskno, pół żartobliwie pani Radziejowska — w innych krajach, naprzykład we Francyi, i obyczaj i prawo daje kobiecie pewną niezależność, u nas przysięga przed ołtarzem na posłuszeństwo nie jest czczem wyrażeniem. Prawo mnie, co jestem panią mojego majątku, nie dopuszcza nim rozporządzać bez zgody męża... on jest głową domu, on panem.

— Zapewne! — zawołał młodzik — tam, gdzie

małżeństwo zawarte łączy osoby równej fortuny i godności... ale tu...

— I tu tak jest! Wyłamywać się zpod władzy męża! — rozśmiała się smutnie podkanclerzyna — u nas się nie godzi.

— Ale u siebie w domu, boś pani przecie u siebie...

— Tak jest — mówiła podkanclerzyna — jestem u siebie, ale drzwi-bym mu zamknąć nie mogła... a nawet niczem własnem rozrządzić.

Biedne my jesteśmy niewolnice!

Oburzył się Tyzenhaus.

— Mało znam pana podkanclerzego — dodał — ale, mam go za zbyt dobrze wychowanego i szlachetnego człowieka, aby władzy takiej chciał... nietylko nadużyć, ale nawet jej używać.

Podkanclerzyna obejrzała się na niego, wlepiła oczy, i — nie odpowiedziała nic. Milczenie było wymowne.

— Często są takie bardzo drobne a niezmiernie przykre... okoliczności — poczęła pomilczawszy — które mogą zatruć życie.

Tyzenhaus słuchał ciekawie.

— Naprzykład ja — ciągnęła dalej pani — na wyklam tak do tego mojego domu, do urzędnika jego, jakim było, że najmniejsza zmiana mnie razi. Hieronym ma passyą przerabiać, przemie-

niać, poprawiać wszystko, niezawsze szczęśliwie. To mi łzy wyciska... a on się z łez śmieje.

Otarła mężnie oczy.

— Jest to wielkiem zuchwalstwem z mej strony—odezwał się Tyzenhaus — gdy ja, młodzik, ośmielię się pani radzić, ale mnie się zdaje, że nie potrzeba ustępować w najmniejszej rzeczy, pół kroku tylko... a potem już...

— Właśnie i ja to tak rozumiem—dodała podkanclerzyna.—Chodzi o nic nieznaczące fraszki; uparłam się przy nich.

— Nieznośna rzecz!—zamruczał Tyzenhaus — lecz cóż za niedelikatność!

Nastąpiło milczenie znowu, poczem młodzian dla rozrywki pani, jakąś wesołą opowiedział historyjkę o Francuzie ze dworu królowej; rozmowa przeniosła się na nią.

Podkanclerzyna skarżyła się, że u niej nie ma łaski...

Tyzenhaus dowodził, że to było naturalnym skutkiem zazdrości, gdyż król zawsze z wielką się wyrażał admiracją o podkanclerzynie.

— A! ten biedny król zawojowany!—rozmiała się podkanclerzyna — nie dosyć, że mu Kozaicy i Tatarowie prawa dyktują, w domu też musi słuchać.

— Czasem się on próbuje buntować — szepnął Tyzenhaus—ale mu się to nie udaje. Wistocie

zaś powinien być wdzięczen N. Pani, bo ona go koniecznie bohaterem uczynić chce i dokaże tego. Jan Kazimierz, gdyby inaczej był wychowanym i nawykł od młodości do konia, do zbroi, niezawodnie-by był dobrym wodzem. Duch się ten w nim budzi — ale nie trzeba zapominać, że i mnichem już był i coś mu zakonniczego zostało.

— Czyżby znowu przyjść miało do wojny?—zapytała podkanclerzyna.

— O! ja o tem nie wiem — rzekł młody dworak—lecz wnosząc z tych wiadomości, które od Zaporozża i z Rusi przychodzą, wiele na te traktaty z Tatarami i Chmielem liczyć nie można.

Królowa powtarza to, iż Rzeczpospolita potrzebuje wielkiego, głośnego, stanowczego zwycięstwa, któreby to chłopstwo trwogą przejęło. Tymczasem laury zbiera tylko wojewoda Jeremi, a one wszystkie pani nasza radaby włożyć na skronie męża.

Prześmiewano się potem trochę pocichu z panowania królowej, z uległości króla, i Tyzenhaus wyszedł, bo jakieś panie z Litwy oznajmiono.

Król, który o wycieczkach częstych do pałacu Kazanowskich Tyzenhausu był zawiadomiony, codziennie go prawie badał. Lubił plotki.

— A co? pewnie byłeś u podkanclerzyny?—i tego dnia—zagadnął o to Tyzenhausu.

— A jakże, N. Panie.

— Cóż tam? Opływają w szczęśliwościach — mówił Jan Kazimierz — ten podkanclerzy to się w czepku rodził. Taka kobieta! ale że też ona go sobie wybrać mogła?

— Hm — odezwał się młody dworak — kto wie, czy już tego nie żałuje.

Król aż przyskoczył do niego zjęty wielką ciekawością.

— Co? co?

Milczał z początku Tyzenhaus, ale w końcu natarczywemu naleganiu uległ.

— Podkanclerzy tyran — rzekł — chce się już tam rządzić na cudzych śmieciach jak szara gęś. Pani ma słuszość, że pragnie swą wolę utrzymać; wszystko to jest jej.

— A pewnie! — zawołał król z zapalem. — On jej nie przyniósł nic ani na zawinięcie palca. To hołysz! ale dam ja mu tam despotę grać!

Pogroził palcem.

— N. Panie, najlepiej się w to nie mieszać; małżeństwo się poswarzy i pogodzi — szepnął Tyzenhaus.

— Trzeba jej było tego podkanclerzego! — podchwycił król. — Zgaga... pozbyć się go nie można. Utrapienie z nim będzie życie miała. Perswadowałem, on jakiegoś inkluza czy czarów zażył. Toć to synowie z pierwszego małżeństwa dorastają, a to pani świeża jak różyczka.

Tyzenhaus się uśmiechnął.

Przerwano rozmowę. Przyszły właśnie wiadomości od kresów, że Chmiel, choć wierność swą poprzysięga, z Turkiem o poddanie mu całej Ukrainy się układa. Lecz w Warszawie naówczas nie zawsze i nie wszyscy w groźne znaczenie Kozactwa wierzyli; większa część lekceważyła je. Wszystko zamykało się w tym wyrazie: „chłopstwo“ — jakgdyby on słabość, nie siłę, znał.

Zwano barbarzyńcami Zaporozców i stosunkowo miano słuszość, lecz barbarzyństwo to dziczy połączone było z instynktem, z przebiegłością, z chytrą, które tylko dzikim narodom służą. Walka z kozactwem podobną była do tych pojedynków między doskonałym szermierzem a silnym nieukiem, w którym walczący wedle wszelkich prawideł pobitym być musiał, bo go przeciw wszelkim regułom napastowano.

Wszystkie ruchy były niespodziankami — i odeprzeć je dla tego było trudno.

Wieczorem król musiał pójść do żony — która już po niezliczonych audyencyach odpoczywała.

Tu było tysiące zawsze rzeczy do roztrząsania. Jan Kazimierz, oprócz ustnej instrukcyi, odbierał czasem całe rejestra wakansów, które, tak a nie inaczej miał rozdawać.

Nie było prawie dnia, aby o jakiejś śmierci

biskupa, kasztelana, wojewody nie przyszła wiadomość, a równocześnie z nią już przybiegało, co najmniej, trzech kompetytorów z ofiarami wprost do królowej.

Marya Ludwika nie czyniła wcale tajemnicy z tego, co jej obiecywano. Miała więc i w tym dniu wiele do przekazania mężowi. Dwie stolice biskupie wakowały, kilka starostw było nierozdanych.

Po przerywanych tych a czasem nieśmiałą opozycją przyjmowanych instrukcyach, królowa zaczęła mówić o Radziwiłłach, o Lubomirskich, a od tych przeszła nagle do Kazanowskiej.

— Podkanclerzy — odezwała się — który sobie tyle z ożenienia obiecywał, lękam się, aby nie doznał zawodu... Kazanowska jest samowolna... chce wszystko zagarnąć pod siebie.

— Bo też do niej należy wszystko! — odparł król żywo.

— O! ty jej bronisz zawsze — kwaśno prze-
rwała Marya Ludwika — pocóż szła za męż?

Król zmilczał ostrożnie.

— Lękam się — dodała królowa — aby między małżeństwem nie przyszło rychło do kłótni. Mogłbyś jako dawny opiekun pięknej Elżuni wyperswadować jej, że mąż ma pewne prawa.

— Ale ja się w to mieszać nie chcę! — zawołał król kwaśno — ty ze swojej strony mogłabyś Ra-

diejowskiego, który się pewnie skarżył, skłonić do tego, aby się z żoną, tyle jej będąc winnym, łagodnie obchodził!

— Alboż wiesz, że się obchodzi grubijańsko? — zapytała Marya Ludwika.

— Ja... ja nie a nie nie wiem — zaparł się król powstając — ale słyszę od ciebie...

To mówiąc król na dobranoc pocałował ją w rękę, a Marya Ludwika nabrała przekonania, że więcej wiedział, niż się przyznawał...

V.

Pogłoski o wojnie, a więcej jeszcze przybycie Xieźkiego, który wyleczywszy się z ran we Lwowie, do Warszawy zjechał po drodze i krewniaka do siebie powołał—wyrwały Strzębosza z tego dworskiego zleniwienia i próżniactwa, które mogło go czasem uczynić do niczego niezdolnym.

Dyzma już sam zaczynał rozmyślać o tem, że go pokojowa służba, choćby u króla, do niczego nie doprowadzi, gdy dnia jednego pacholik Staszka Xieźkiego z gospody na Długiej ulicy przybiegł i dał mu znać, że wuj go do siebie prosi.

Xieźki należał do tych popularnych znakomitości wojskowych, o których i hetmanowie wiedzieli, że ich głos w pułkach waży i cały obóz sobie rozpowiadał a powtarzał ich słowa.

Mówiliśmy już o tych jowialistach, których do nas kilka tylko imion doszło; wszyscy oni swo-

jego czasu choć nie dobili się i nie dobijali wysokich w hierarchii szczeblów, pozostawili po sobie pamięć ludzi, których zdanie ważyło wiele, stanowiło niekiedy o opinii ogółu.

Żarcik lub sąd o człowieku takiego Skarszewskiego, Xieźkiego lub Samuela Łaszcza, mógł obalić lub podnieść wysoko nawet stojącego dygnitarza.

Nad Xieźkiego mało było ludzi wziętszych i lepsiej kochanych. Z kośćmi dobry był w istocie, ale język miał jak brzytwę, nikomu nie darował. Prawda, że on nic nie miał na sobie, za co by darowania winy mógł prosić. Żołnierz mężny; karny, wytrwały... śmiało drugim zadawał uchybienia, bo sam sobie nic do wyrzucenia nie miał. Znało go można było powiedzieć całe koronne wojsko, a i na Litwę zabłąkał się nie jeden jego przekąs dobitny.

W Warszawie ledwie się ukazał w gospodzie, a ktoś powiedział—Xieźki, co było wojskowych, pobiegło go witać. Oprócz tej popularności dawnej, świeża zbarazka blaskiem go nowym okryła. Tam też głodny, siedząc w błocie, niejedno puścił w świat słowo, które pozostało na wieki w pamięci.

Strzębosz, choć pośpieszył do niego, zastał już izbę pełną.

Pochwycił go wuj w ramiona i uściskał, a po-

tem, na krok popchnąwszy od siebie i wskazując nań ręką—zawołał:

— Panowie a bracia! proszę, przypatrzcie się temu młodzieńcowi. Choć malować! piękny, zdrów, silny, a co po nim komu? Wziął barwę dworską, mówią, że go król jm. miłuje, ale to próżniak! Powiedz ty mi, cóż z ciebie będzie? he? Dworskie pomiotło?

Zaczerwienił się Dyżma.

— Przepraszam — rzekł — będzie ze mnie żołnierz, bom właśnie umyślił barwę złożyć, a zbroję wdziąć?

— Naprawdę? — podchwycił Xieźki — no, to chodź-że, abym cię raz jeszcze uściskał, ale już, kiedy tak, to ja cię do mojego pułku panów Sobieskich zabiorę.

— Zgoda! — rozśmiał się Strzębosz — idzie tylko o konsens króla jmci.

— Król, król — krzyknął Xieźki — nie może odmówić, bo sam wkrótce będzie musiał zbroję wdziąć; ja wojnę i krew czuję w powietrzu. Na dworaków starczą niedołęgi i kaleki.

— Ale, ale — wtrącił Rzewuski rotmistrz — właśnie pod ten czas, gdy nami Francuzka rządzi, moda i polityka, samą śmietankę biorą do dworu.

— Z francuzami — dodał Święcki, drugi towarzysz Xieźkiego, chorąży Lubomirskich regi-

mentu — z francuzami my będziemy musieli się w domu rozprawić, bo to jak perz albo pokrzywa się u nas rozrosło, a z niemi, co poprzychodziło... pludry, pudła te z włosów na głowie, z których nie wiedzieć czy się śmiać, czy od tych straszdeł uciekać, i...

— Daj - bo pokój — przerwał Xieźki — tej liczbie francuzkich rzeczy, bo dojdiesz do tego, o czym strach nawet wspomnieć.

— No, a tabaka? tabaka? — odezwał się Rzewuski — smrodliwe ziele, albo to nie francuzka też rzecz?

— Tego spełna nie wiem — rozśmiał się Xieźki—ale wiem, co o niej Morsztyn napisał.

I począł deklamować:

Smrodliwe ziele, o ziele śmiertelne,
Które w krainy morzami oddzielne
Życzliwe skryło od nas przyrodzenie,
Kto cię na rodu naszego stracenie,
Kto cię na brzeg nasz przywiózł łodzią krzywą,
I świat zaraził trucizną smrodliwą?
Niedosyć było, że i wojny krwawe,
Blade choroby, głody niełaskawe,
I sama starość i straszne trucizny
Króciły nam wiek, bez tego nie żyzny;
Żeś i ty naszym latom, brzydkie ziele,
Musiało kresu uszczerbić tak wiele!

Zaczeli się śmiać niektórzy i nie dano dokończyć Xieźkiem.

— Cóż u dworu słyszać? — zapytał siostrzeńca gospodarz. — Królowa pani zdrowa? U nas chodzi wieść, że nowa amazonka ma na koniu sięść i u boku króla iść na Kozaków.

— Że mężna, to pewna — rzekł Strzębosz — a na kosaństwo dzikie, taki popłoch szerzy, szczególnie między kobietami, że się żadna nie waży na nie...

Xieźki się namarszczył.

— Diczbo jest okrutniejsza — odezwał się ponuro — od zwierzęcia, które zabija, aby pożarło, z głodu, a oni, aby się męczarniami napawali, zadają je. Widzieliśmy na oczy własne tam, gdzie rzeź ich przeszła... ludzi piłowanych na pół, ze skóry odzieranych, dzieci z wnętrzości matek powyrywane, dziewczęta z piersiami obrzezane.

Miczeli wszyscy.

— Tak — westchnął Święcki — kto nie widział, nie uwierzy, do czego człowieka, stworzenie Boże — doprowadza szal i pijaństwo krwi.

— Radziwiłł kanclerz — wtrącił Strzębosz — powiada, — sto razy słyszałem z ust jego — iż to pomsta za ucisk ludu...

— Niech Bóg sędzi — wtrącił Święcki — ale nikt nam nie okaże, aby ucisk, o którym tyle

prawię, doszedł kiedy do takiego okrucieństwa. Żli panowie, znaleźć się mogli wszędzie, ale katów i oprawców nie było!

Wszyscy się zasępilli. Święcki podchwycił:

— Kto, jak my, przeżył te lata od końca panowania nieboszczyka Władysława po dziś dzień i patrzył na to, cośmy my widzieli, ten sobie rzec może, iż przeżył krwawy sen jakiś. W coż się obróciła ta mocna niegdyś, straszna jeszcze za Zygmunta III Rzeczpospolitą, której dziś pijany Chmiel, naigrawając się, dyktuje warunki! Miłosierny Jezu!

— Radziwiłł — przerwał Xieźki, obracając się do siostrzeńca — uczy nas, że to jest kara Boża za ucisk włościan. Dał się z tem pono i król słyszeć. Nie wszyscy są aniołami, między nami też zbrojów mogło być dosyć; ale na cały naród za nich tak straszny pogrom paść nie mógł. Karze nas Bóg, nie za to, że chłop różgami dostał może niesprawiedliwie, ale za próżniactwo i pijaństwo. Nie było sposobu inaczej nas wyprowadzić w pole. Patrzajcież: i teraz, połowa szlachty już radaby do domów powracać, gdy ledwie z nich wyszła...

Zwrócił się do Dyzmy.

— Jam tu niemal dla waszeczki przybył — począł, kładąc mu rękę na ramieniu. — Choćby mi przyszło do króla samego o to iść, aby cię od

barwy swej zwolnił, pójdę. Nie chcę, abys w niej zginął, albo usechł. Wiem, że z takich pokojowców Pacowie i inni rosną potem na panów starostów, pisarzów, krajczych i kasztelanów, ale nam, szlachcie biednej, nie przysłało tędy chodzić. To pańskie gościńce.

W polu ci zdrowiej będzie, dziecko moje — ciągnął dalej Xięzki — może zatęsknisz zrazu za legowiskiem wygodnem i kuchnią królewską, za panienkami królowej; ale później to ci się wszystko wyda tem, czem jest: nałogiem niezdrowym.

Strzębosz słuchał, przyjaciele Xięzkiego, którzy go rzadko widywali tak poważnym, milczeli. Jowialista wydał się im zmienionym... Trwało to jednak zaledwie chwilę. Staszкови Xięzkiemu twarz się rozśmiała znowu. Święcki począł powtarzać, co w mieście słyszał o różnych poselstwach kozackich.

— Mówią o tym Chmielu — odezwał się — że proste chłopisko jest i opój, a mnie się widzi, że on nas wszystkich oszukuje tem gburowstwem swem, boć dotąd więcej rozumu okazał, niż nasi kanclerze i panowie Kisiele i ile ich tam z nim się jeździło umawiać... Wszystkich on w kamysz zapędził.

— Muszę ja w obronie dworu, królowej i króla stanąć — począł Strzębosz — nietylko dlatego,

żem ich chleb jadł przez lat tyle, ale, że po sprawiedliwości się to należy.

Król, co prawda, zbyt wojennego ducha nie jest; przecieżem ja za nim krok w krok niemal jeździł pod Zborowem i widziałem go, co mogę zaprzysiądz, owej pamiętnej nocy, gdy obóz objeżdżał, i czasu bitwy tak mężnym i gotowym nawet umierać, iż mu się cześć należała; ale u niego wiatr codzień inaczej wieje. Za to królowa, wiercie mi, wie czego chce i co raz sobie powie do tego doprowadzi, ona zaś wojny pragnie, aby nią naprawić, co się popsuło pod Zborowem; chce świetnego zwycięstwa i gdy przyjdzie ciągnąć teraz, jej staraniem, zobaczycie, wojsko stanie i liczne i piękne...

— Co daj Boże, amen — podchwycił Xięzki — ale nasza królowa, której wy tak bronicie, zwycięstwa i laurów żąda, nie dla Rzeczypospolitej głównie, tylko dla małżonka, a gdy przyjdzie do tego, żeby dla wiktoryi oddać naczelne dowództwo Jeremiemu Wiśniowieckiemu, stawię gardło, że będą woleli zwycięstwa się wyrzec, niż Jeremiemu dać zaćmić króla.

Wszyscy Wojewodzie Ruskiemu zazdroszczą, przyjaciół ma tylko w nas, cośmy z nim walczyli, przy jego boku byli i męża tego nawskroś przeniknęli. Dla innych on postrachem. Kozacy go się boją, jak ognia, lęka się królowa, obawia

król, panowie hetmanowie zazdroszczą, a to jeden jest człowiek, z hetmanem Radziwiłłem może, któryby koniec mógł położyć nieszczęściu naszemu.

— Ale co - bo my — podchwycił Święcki — wdaliśmy się w takie głębokie politykowanie! Rzucić-by to, a weselszą piosnkę począć.

— To ją chyba kurtyzan zanuci — odparł, na siostrzeńca ukazując Xieźki. — Mów co wesołego.

Tłómaczył się Strzębosz, że zapasu nie przyniósł z sobą; weselej jakoś przecie potoczyła się rozmowa, lecz zawracała ciągle na wojnę.

— Jam tu waszmości szpiegował, Dyżmo — odezwał się Xieźki — Powiadano mi, żeś się w amory wdał z dziewczyną prawdą piękną bardzo, ale mieszczańką, zrosłą na bruku, a to dla nas wieśniaków, owoc niezdrowy...

Strzębosz się zarumienił.

— Któż to wam splół? — zapytał.

— Nie pytaj, boć nie zdradzę — śmiał się Xieźki — ale ci powiadam, że wszystko wiem i dlatego cię chcę ztąd wyrwać na czyste powietrze.

— Kochany wuju — począł gorąco Strzębosz — wiercie mi, dziewczę uczciwe i niewinne, a choć mieszcza, nic jej zarzucić nie można.

— A matce? — spytał ze zwyczajnym uśmie-

kiem Xieźki. — Ja na matkę patrzę więcej, niż na wyrostka, który teraz, jako lilijka biała wyglądać może, a gdy podrośnie ozwie się w niem to wszystko, co w matce było.

— Matką się pochwalić nie mogę — rzekł smutnie Strzębosz — ale wiercie mi, nie zawsze dziecko naśladuje macierz, gdy aż do odrazy śmieszna jest i niezdolna. Stara Bertoni nawet własnej córce wydawać się musi takim koczko-dnem, jak nam...

— Zapomnieć-by o obu — dodał Xieźki. — Nam wojakom nazbyt się garnąć pod podwikę nie zdrowo!

I nagle zwrócił.

— A więc, prosz króla, niechaj cię zwolni, ja pomogę i do pułku Sobieskiego zarejestruję. Nie zabrakłoby ci i gdzieindziej miejsca, bo wszyscy zaciągają, a masz i postawę i młodość za sobą, lecz... chciałbym cię mieć na oku...

Strzębosz w ramię go pocałował.

W tem inni dobrzy znajomi jowialisty, odgłosem o jego przybyciu zwabieni, napływać zaczęli, szczupła izba nappełniała się, i gwar a śmiechy ledwie się ciszej rozmówić dozwalały. Goście otaczali Xieźkiego, który się rozchmurzył i baraszkował poswojemu, nie oszczędzając nikogo Strzębosz pozostał, nasłuchując.

Z urywanych tych opowiadań, szczególnie

o Zbarażu, mógł się uczyć rycerskiego życia — i serce w nim rosło.

— Na prawdę — mówił Xieźki — co nam doskonały humor sprawiało w tych okopach pod Zbarażem, to właśnie, żeśmy się już z nich żywi wynieść nie spodziewali. Wiedzieliśmy, iż na odsiecz wiele rachować nie można, bo i takich łotrów siła było, coby się radzi Wiśniowieckiego pozbyli, tak im solą w oku i kością w gardle stanął. Życia więc nikt nie szacował... głód i pragnienie rodziły jakąś gorączkę szaloną. Suchego chleba kawał był w końcu przysmakiem, a śmierdzące mięso końskie osobliwością. Chciało się wody napić: nie było innej tylko ta, w której trupy gniły; w dodatku tuż za wałem wieszali się Kozacy na swoich usypach, i z naszych wynędzniałych lic drwili, kłaniając się pokornie. Wcisnęły się ich szpiegi z listami, aby wywachać, kiedy do ostatka osłabniemy. Naostatek prochu i tego, co go umiał robić, i tych, co działa ustawiali, zabrakło. Rychtował je ksiądz jezuita; udawało mu się przy pomocy Bożej.

— Zbaraż mi przed oczyma stoi, jako sen — przerwał Święcki — Dziś się temu nie chce wierzyć, co się tam przeżyło.

Niemal cały dzień spędziwszy ze Xieźkim, Dyzma powrócił na zamek, ale się zszedł właśnie z królem, który powracał, dobranoc zaniósłszy

Maryi Ludwice. Była to chwila, w której on zawsze, spełniwszy ten obowiązek, weselej patrzył. Gdy mu przychodziło na pokoje do pani iść, zasepiał się, dopiero wyswobodzony oddychał.

— Strzębosza — rzekł, oglądając się na niego — przez cały dzień nie było. Cóżes to tak ferye sobie dał?

— Wuję chodziłem pozdrowić, Xieźkiego — rzekł Dyzma.

Król pomyślał.

— Wiem — odparł — wiem — ten-to jest, co go z języka sławią.

— N. Panie — przerwał Strzębosz — on szablą lepiej jeszcze włada, niż językiem; dość powiedzieć, że w Zbarażu był.

Na wspomnienie Zbaraża Jan Kazimierz się zasepił, nie odpowiedział nic.

Nazajutrz zrana Tyzenhauza kazał do siebie wołać; nie było nikogo, bo nawet karłów odprawił.

— Idź do podkancelrzyny — cicho szepnął — pozdrow ją ode mnie, i rozumie się, na cztery oczy, powiedz, aby nie ustępowała. Radziejowski do zbytku i tak napastliwy i zuchwały... pozwoli kurze grzędy, będzie ona wszędy.

Poselstwo młodemu pokojowcowi wydało się tak przyjemnem, że jak tylko godzina nadeszła,

o której się mógł przyzwolicie w pałacu Kazanowskich stawić, pobiegł tam natychmiast.

W samej bramie, traf chciał, zetknął się z podkanclerzym, który na pysznym dzianecie, niegdyś wierzchowcu ulubionym ś. p. Adama, osiodłanym i w rząd kosztowny przybranym, z pałacu wyjeżdżał na miasto. Radziejowski postrzegł wchodzącego, zmarszczył się i wykrzywił znacząco, a gdy Tyzenhauz przez grzeczność uchylił przed nim czapeczki, nie odkloniwszy mu się, głowę dumnie odwrócił.

— Oho! — rzekł w duchu — że łaski u podkanclerzego nie mam, o tem ci wiedziałem dobrze, ale, że mi już to chce okazać tak wyraziście... dowiaduję się po raz pierwszy — nos ma dobry.

Radziejowski już w bramie przystanął, obróciwszy się, chcąc widzieć dokąd Tyzenhauz się uda, i mógł się przekonać, że poszedł do pokojów żony.

— Królewski szpieg i poseł — zamruczał — ale ja go tu cierpieć nie myślę. Król się w moje sprawy domowe wdawać nie powinien.

Miał czy nie, podkanclerzy wprzód zamiar wprost iść do królowej, nie wiemy; lecz po spotkaniu się z Tyzenhauzem poszedł do niej.

Ponieważ kilka wakansów było do rozdania, a Radziejowski wiozł oferty kandydatów, miał się więc czem z rannych odwiedzin wytłómaczyć.

Marya Ludwika, choć może niewiele go ceniąc, posługiwała się nim chętnie, bo jej donosił, co słyszał, — potakiwał i pochlebiał.

Rozmowa o tych senatorach, którzy się nastęczali, o niemiłych i podejrzanym królowej, o tych których podkanclerzy chciał uczynić jej niemiłymi, przeciągnęła się dosyć długo i już miała się zakończyć, gdy Radziejowski, westchnawszy, szepnął:

— Tyzenhauz mi się nieustannie nawija w domu, a posądzam go, że skargi jejności do króla nosi, od niego zaś zapewnienia protekcyi, tak, że mi ona coraz się ostrzej stawia. Cóż ja w domu znaczyć będę, gdy mi ani nieboszczykowski go wierzchowca, ani siodła, jak dziś — dotknąć nie będzie wolno?

— I uległeś? — zapytała królowa.

— Nie — odezwał się podkanclerzy — nie mogłem, ani myślę się tak akkomodować, bo-bym zeszedł na służbę we własnym domu.

Głowy poruszeniem królowa dała mu znak, że postępowanie jego znajduje właściwem. Radziejowski poskarżył się, pokłonił i poszedł do króla.

Tyzenhauz tymczasem został przypuszczony do pięknej pani Elżbiety, która właśnie panien swych robotę około wspaniałego ornatu rozpastrywała.

Odprawiła dziewczęta smutna pani. Pokojowiec królewski na twarzy jej łatwo mógł rozpoznać ślady jeszcze nieprzewycięzonego gniewu i rozdrażnienia.

Z żywością wielką rozpowiadać mu zaczęła, jak jednego wierzchowca nieboszczyka męża, rząd i siadzenie, których on rad używał, chciała pozostawić nietkniętymi, jak o to prosiła męża; ale bez względu na jej żądanie podkanclerzy, właśnie tego poranku, wierzchowca kawalkatorowi kazawszy przejechać i osiodłać według dawnego obyczaju, na miasto na nim wyruszył.

— Spotkałem go właśnie w bramie—rzekł Tyzenhauz—i nie raczył mi nawet na moje pozdrowienie odpowiedzieć. Szkoda tego ślicznego wierzchowca.

Nie dokończył; szybkim ruchem białej rączki podkanclerzyna otarła sobie oczy.

— Jeżeli się nie mylę—szepnęła—a nie mylę się pewno.... podkanclerzy tem śmielszy jest przeciwko mnie, iż królową ma za sobą. Nie miałam nigdy do niej szczęścia.

— Nie potrzeba tego brać do siebie — przerwał pokojowiec króla—żadna z pań polskich nie ma u Maryi Ludwiki łaski. Serce jej dla Francuzek ledwie starczy.

— Dla ślicznej wychowaniczki szczególnie—dodała uśmiechając się dwuznacznie pani Radzie-

jowska, panny Maryi d'Arquien. — Nie jestem tak złośliwą, abym wierzyć miała temu, co rozpowiadają ludzie, ale przywiązanie królowej do tego dziewczęcia jest uderzającym. Czeka ją też pewno los świetny... bo i piękność wiele obiecująca.

— Nie mogę temu zaprzeczyć — odezwał się Tyzenhauz — lecz dobrze już wie o tem, że jest piękną...

— Dziecko to jeszcze — szepnęła podkanclerzyna.

— O latach jej, naturalnie, nie się dowiedzieć nie można—począł Tyzenhauz — ale wnosząc ze wzrostu i postawy — musi już mieć około piętnastu...

Tu mała nastąpiła pauza; pokojowiec się obejrzał, czy ich kto nie słucha.

— N. Pan — odezwał się zniżonym głosem—wczoraj mnie bardzo pilno rozpytywał o panią podkanclerzynę. Musiałem mu się przyznać, że tu byłem. Ktoś pewno—bo nie ja—rzekł z uśmiechem Tyzenhauz — ktoś musiał donieść, że pan podkanclerzy zbytecznie się tu chce rządzić. Król mruczał, bardzo tem oburzony, i dał się z tem słyszeć, że źle-by było nadto okazywać powolności... To jego rada—ja ją powtarzam.

— Rada bardzo dobra—przerwała podkanclerzyna — szkoda tylko, że mi jej posłuchać tak

trudno. Nie mogę z nim prowadzić wojny, a widzieliście jak moich prośb słucha. Wczoraj prosiłam o tego konia i rząd, a dziś właśnie wybrał je sobie na przekorę.

— Gdyby kawalkator wprzód pani podkanclerzyny rozkazy otrzymał—musiałby się do nich zastosować, a p. Radziejowski nie śmiałby też pewnie się sprzeciwiać.

Spojrzała na niego podkanclerzyna.

— Nie znasz go—odezwała się—właśnie dla tego, aby okazał swą siłę i wolę, zrobi mi na przekorę; nic go to kosztować nie będzie.

— Pewny jestem—dodał Tyzenhauz—że Jan Kazimierz chętnieby wystąpił w obronie pani, ale...

Radziejowska przerwała żywo:

— Proszę, aby tego nie czynił! al! nie! nie. Już i tak mogą być niepotrzebne plotki o tej króla protekcyi dla mnie; podkanclerzy obróci to przeciwko mnie; mam i tak dosyć do przecierpienia.

Radziejowska okazała się tak niespokojną, iż młody gość musiał ją upewnić, że się wcale obawiać nie potrzebuje fałszywego kroku ze strony króla.

Zabawiwszy dosyć długo w pałacu Kazanowskich, Tyzenhauz opuścił go wreszcie i na zamek powrócił.

Dni kilka upłynęło. Król był tak niespokojny o panią Kazanowską, sam nie chcąc jej teraz od-

wiedzać, aby zbyt na swój współudział w jej nie-szczęściu nie zwracać oczu ludzi, iż codzień prawie nasyłał Tyzenhauza, aby mu się dowiadywał o coś i różne przynosił poselstwa.

Dwa razy zetknął się pokojowiec z samym podkanclerzym, który za każdym razem niechęć swą i podrażnienie coraz widoczniej mu starał się okazywać. Oprócz tego jawnem było, iż Radziejowskiemu jego sługi o wszystkim donosiły, szczególnie zaś o tem, co się żony tyczyło i jej stosunków.

Na złe humory podkanclerzego Tyzenhauz nie zważał wcale. Napróżno spotykając go, stawał Radziejowski, wlepił w niego oczy i usta ścigał; młody gość nie chciał tego rozumieć.

Dnia jednego naostatek, gdy wedle zwyczaju o godzinie rannej Tyzenhauz miał się kazać oznajmić pani podkanclerzynie, w antykamerze ujrzał stojącego i jakby oczekującego na siebie marszałka dworu Radziejowskiego, niejakiego Snarskiego, który, w boki się ująwszy, zaparł mu do drzwi dalszych drogę.

Tyzenhauz spojrzał mu w oczy.

— Pan podkanclerzy—odezwał się Snarski szydersko i zuchwale—rozkazał mi miłości waszej oznajmić, iż nie życzy sobie, abyście w domu jego bywali.

Młody pokojowiec skoczył jak oparzony.

— Co? co? — zakrzyknął.

Snarski, powoli cedząc wyrazy, poraz wtóry toż samo wypowiedział i nie czekając dalszych rozpraw, wyszedł, drzwi za sobą zamykając.

Obelżywą tą odprawą, jak piorunem, rażony, Tyzenhauz stał długo, niewiedząc co ma począć.

Iść przebojem nie mógł; przyjąć takie zuchwałe wyznanie—nie godziło mu się: stracił na chwilę głowę i wyszedł z pałacu krokiem powolnym—sam nie wiedząc, co począć ma.

Do zwiększenia jego rozdrażnienia przyczynić się i to musiało, że dworactwo i służba podkanclerzego, która musiała być zawiadomioną o tem, co zajęć miało, wejrzeniem i śmieszkami urągłym jak przez różgi przechodzącego przeprowadzała Tyzenhauza, który, do bramy się dostawszy, wolnym umyślnie krokiem—był już wściekły.

W tej pierwszej chwili, pewna, że gdyby mu się nawinął Radziejowski, byłby się, szabli dobywszy, rzucił na niego.

Skarżyć się królowi i wciągnąć go w tę sprawę, która musiała być dla niego nieprzyjemną—nie godziło mu się. Nie chciał nawet zaraz na zamek powrócić, dopóki-by się nie rozmyślił, nie poradził — ażeby się nie zdradzić i z gniewem i z obelgą jaką mu uczyniono.

Pobiegł do przyjaciół swych Litwinów, a trafił

na rycerskich ludzi, którzy, na pierwsze słowo, okrutnie to wzięli do serca.

Wołłowicz i Sapięha, którym się zwierzył, zakrzyknęli, że obraza taka we krwi tylko zmyta być może.

— Nie pozostaje ci nic—zawołał Sapięha młody—tylko tego zuchwalca, który sądzi, że senatorowi wszystko wolno, wyzwąć na rękę i z nim się rozprawić.

Tyzenhauzowi zapalczywemu nie mogło nie być przyjemniejszym nad tę radę. Gotów był nawet natychmiast wysłać przyjaciół do podkanclerzego, dopominając się zadośćuczynienia; ale tu zaszła rzecz dziwna.

Wszyscy ci, którzy znajdowali, że Tyzenhauz powinien był wyzwąć i Radziejowskiego, choć on tylko pokojowcem u króla, a ten był podkanclerzem, gdy przyszło iść do niego w imieniu Tyzenhauza, mieli najrozmaitsze przeszkody, które im usłużyć mu nie pozwalały.

Pochwalali nader gorąco jego zamiar, przykładali mu, ale, żaden—niestety — nie mógł mu przyjść w pomoc. Jeden nastroczał drugiego—nikt nie mógł wystąpić przeciwko Radziejowskiemu, bo za nim domysłano się — królowej. Tej narazić się nikt nie chciał, bo ona nie przebaczała.

Oile Jan Kazimierz, w pierwszym wybuchu

gniewu gwałtowny, łatwo potem ostygła i obojętniała — o tyle Marya Ludwika pamięć najmniejszej obrazy zachowywała długo, nie traciła jej nigdy.

Tyzenhauzowi nie pozostało nic, tylko, samemu sobie zostawionemu, radzić jak umiał, a młodość i gorący temperament popchnęły go za daleko.

Czatował tylko na to, aby mógł podkanclerzego, przybywającego na zamek, pochwycić. Nie długo na to czekał; nazajutrz rano, niezmiernie czynny, Radziejowski wysiadał z kolebki i miał się udać do królowej, gdy Tyzenhauz, chwyciwszy dwa nabite pistolety już przygotowane, poskoczył przeciwko niemu.

Podkanclerzy, zobaczywszy go zabiegającego sobie drogę, rozognionego, z pistoletami w ręku, zrazu postrzału się musiał ulęknąć i zwrócił się, czy za nim nie szedł kto ze służby. Wtem Tyzenhauz przypadł tuż blisko.

— Panie podkanclerzy, jestem tak dobry szlachcic jak i wy, nie mogę ścierpieć obrazy honoru. Przez służbę mi dom swój wypowiedzieliście... musicie się bić ze mną!

Nim Radziejowski zebrał się na odpowiedź — nadbiegło dwóch jego dworzan, którzy, widząc młodego pokojowca z pistoletami godzącego na pana, chcieli się już rzucić na niego, gdy Tyzenhauz podniósłszy pistolet do góry, krzyknął:

— Odpowiedcie mi za to — i nie chcąc się wdać ze służbą, odszedł śpiesznie.

Podkanclerzy potrzebował ochłouąć, nim się udał na pokoje królowej. Choć osobiście nie był tchórzem, nie sławił się też nadzwyczajną odwagą, a zaskoczony przez zuchwałego młokosa nie spodzianie, na chwilę się strwożył. Mogła też po twarzy jego poznać królowa, po bladej i wejrzaniu błędnem, iż czemś świeżo został dotknięty i zapytała go troskliwie: czy się nie czuł niezdrawym?

Radziejowski nie chciał taić, co go spotkało.

— Spotkała mnie tu na zamku, niesłychana, zuchwała przed chwilą napaść — odezwał się — po której dotąd przyjść nie mogę do siebie.

— Napaść? na zamku? — krzyknęła, marszcząc się groźnie, Marya Ludwika — napaść?

Głos drżał z gniewu Radziejowskiego.

— Tem dziwniejsza, że ją popełnił pokojowiec króla jm. Tyzenhauz — mówił podkanclerzy. — Codzień prawie nachodził moją żonę i mam silne podejrzenie, że ją przeciwko mnie podburzał. Z tego powodu byłem zmuszony kazać mu mój dom wypowiedzieć, a młokos za to dziś na zamku wybiegł naprzeciw mnie z pistoletami, dopominając się pojedynku!

Słuchała królowa zdumiona, uszom prawie nie wierząc. Pod jej bokiem takie zuchwalstwo po-

pełnione na człowieku, któremu ona się okazywała życzliwą, oburzyło ją straszliwie.

— Otóż to owoce tego rozpasania i swobody, jakie król daje młodzieży, co mu służą! Wiedziałam, że się tam dzieją rzeczy nie do wiary, ale tego już nadto, i ja nie dopuszczę, aby to płazem przejść miało.

Radziejowski, który niezdolnie się narzucił królowi, dnia tego nie poszedł do niego; wprost od królowej powrócił do pałacu, a tu pierwszym rozkazem, jaki wydał, było, aby portret nieboszczyka Kazanowskiego, który wdowa zastrzegła sobie, aby nie był z miejsca poruszonym, nastrych wyniesiono.

W chwilę potem z płaczem i narzekaniem z gniewem i dumą razem wpadła podkanclerzyna do męża, dopominając się o niego.

Radziejowski, z zimną krwią napozór, odpowiedział, że obrażającym jest dla niego to jawne uwielbienie dla nieboszczyka, i że postanowił uczynić wszystko, co jest w jego mocy, aby pamiętki poniszczyć i być tu jedynym panem.

— Zawdzięczam pani — dodał — że dziś miał przygodę, która już po mieście obiegać musi. Wypowiedziałem wczoraj dom temu Tyzenhauzowi, a gołowas mnie śmiał dziś napaść z pistoletami i wyzywać na pojedynek, ale to mu płazem nie ujdzie.

Podkanclerzyna pobiła.

— Cóż ci przewinił Tyzenhauz? Wyrzucasz portrety, rozpędzasz moich przyjaciół i krewnych czyż tym sposobem chcesz pozyskać serce moje?

— Ja się nawet o to już nie staram, bo widzę, że to było na próżno — zawołał Radziejowski — ale nie chcę, żeby ludzie śmieli się ze mnie.

Podkanclerzyna, której łzy strumieniem z oczów płynęły, odwróciła się milcząca od niego i wyszła.

Podkanclerzy nie był człowiekiem, któryby się dał zmiękczyć lub zastraszyć. Wszystko, cokolwiek w życiu dokonał, winien był uporowi i narzucaniu się.

Pomimo, że żona mu się nie poddawała, nie tylko, że nie myślał jej folgować, ale tem żartarszą przedsięwziął z nią wojnę, pewien, że słaba niewiasta nie wytrwa w końcu i ulegnie mu. Szło o to, ażeby wszystko zagarnął i wszelkiej woli ją pozbawił.

Protekcya króla, który jawnie jej sprzyjał, nie mogła być skuteczną, bo przy znanej płochości jego, była kompromitującą, więc się jawnie nie mogła objawić. Na to rachował najwięcej. Cały plan zawładnięcia królową a przez nią słabym Kazimierzem i Rzeczpospolitą, dla ciągnięcia złąd korzyści, już miał osnuty.

Na tem stanowisku urzędowem do jakiego do-

szedł, będąc stróżem pieczęci, wystawiał sobie osobę swą nietykalną, wpływ niemogącym się zachwiać. Z każdą więc godziną buta w nim rosła.

Dnia tego spodziewał się Radziejowski otrzymać z zamku jakąś wiadomość, bo pewnym był, że królowa Tyzenhauzowi zuchwalstwa popelnionego pod boki majestatu nie przebaczy, a król, choćby chciał, nie będzie go śmiał bronić; ale nie nadeszło nic. Posłany na zwiady komornik podkanclerzego przyniósł tylko, że król z królową mieli żywą rozmowę i że na dworze panowało jakieś między młodzieżą rozdrażnienie i niepokój.

VI.

Marya Ludwika, która przestrzegała na dworze karności i porządku, o które król często wcale się nie troszczył, wystąpiła tak gwałtownie przeciwko Tyzenhauzowi, gdy król przyszedł do niej, tak się przeciwko młokosowi burzyła i odgrażała, że Jan Kazimierz, ani się za nim przemówić ośmielił, tembardziej, że po części sam był powodem tego zajścia, posyłając młokosa do podkanclerzyny.

Wina zresztą pokojowca była jawną i wielką, bo na zamku pod boki króla, napaść senatora, w sądach marszałkowskich mogło być surowo karanem... Nabite pistolety pogorszały sprawę.

Jan Kazimierz, faworyta ratując od sądu i kary rozgłosnej, natychmiast oświadczył, że go precz wypędzi i trzymać przy sobie nie będzie. Zgryziony tem, gniewny na Radziejowskiego, nie zabawiwszy u żony, król natychmiast poszedł do

swych apartamentów i Tyzenhauza wołać kazał. Z kolei czterech za nim pacholików wyprowadził. Stał, czekając na przyjście jego i szarpiąc koronkowe rękawki, gdy z miną nie zbyt przestraszona, ani pokorną, ukazał się w progu winowajca, śmiało królowi patrząc w oczy.

— Cóż to zbroił? — zawołał król przystępując bliżej do niego. — Oszalałeś, czy co? Z pistoletami na zamku napadać dygnitarza? To gardłowa sprawa?

— N. Panie — począł spokojnie Tyzenhauz. — Podkanclerzy mi w sposób obelżywy, przez służbę, wypowiedział dom swój. Chodziłem do pani podkanclerzyny niezawsze z własnej woli, byłem posyłany...

Tupiąc nogą król nakazał mu milczenie.

— Nie masz się czem tłumaczyć — zawołał — popełniłeś kryminał! Tak! kryminał. Królowa jmość jest tak zagniewana, że gotowa sądzić na gardło. Choć mam litość, nie mogę cię ratować inaczej: natychmiast mi się wynos z zamku, niepokazuj się więcej na oczy i wypędzam cię! rozumiesz.

Tyzenhauz, nieulekniony, patrzył mówiącemu w oczy.

— N. Panie! — począł.

— Milcz! Nic nie pomoże! — przerwał król — Za godzinę żeby mi cię tu nie było.

To mówiąc, Jan Kazimierz obejrzał się niespokojnie dokoła. Szybko przystąpił do Tyzenhauza i szepnął:

— Postaraj się, aby kto za tobą do królowej instancyonował. Ja nie wiem... Radziwiłł... albo... musisz przeprosić...

Ręce szeroko rozłożywszy, król pochylił głowę, dając poznać, że on nic więcej uczynić nie może...

Tyzenhauz pomimo to podziękował mu za łaskę, pocałował w rękę i wyniósł się daleko spokojniejszy, niż się wydawało, gdyż przed towarzyszącymi musiał rozpaczać.

Był pewnym, że król, który go lubił, potrzebował i nawykł do niego, znajdzie sposób poratowania z tej toni.

Wistocie Jan Kazimierz poufnie zaraz szepnął kanclerzowi Radziwiłłowi, aby tego biednego wartogłowa Tyzenhauza tłumaczył przed królową i prosił dla niego o przebaczenie. Kanclerz też przy pierwszej zrzeczności wystąpił z tem, ale Marya Ludwika nie dała nawet mówić o nim. Nie o Radziejowskiego jej szło, ale o ład na zamku i rozprężenie.

Po Radziwille wystąpił za Tyzenhauzem Wołłowicz, równie bezskutecznie, potem powrócił ks. Albrecht zaręczając, że młodzieniec był skruszony, że postępkowi swego nierozważnego popeł-

nionego w pierwszym impecie wielce załował, a rodzina była losem jego boleśnie dotknięta.

A że kanclerz zarazem traktował przy tem z królową o starostwo dla protegowanego, za które 30.000 obiecywał — i Tyzenhauza ciągle do sprawy o tenuty mieszał — zdawało mu się, że Marya Ludwika w końcu nieco złagodniała...

Tyzenhausowi zaś polecono, aby przyprowadzony na pokoje do królowej przez kanclerza, upadł jej do nóg, upokorzył się i o przebaczenie prosił. Stało się tak: Marya Ludwika uległa naleganiom, tylko król wcale się do tego nie mieszał... Udawał nawet w początku, że dawnego pokojowca znać ani widzieć nie chce, drożył się także z przypuszczeniem go do łaski swej — ale w końcu, po upływie dni kilkunastu... Tyzenhaus znowu począł dawne pełnić obowiązki.

Rozumie się, iż nic nie miał pilniejszego nad to, aby się za pierwszą bytnością na zamku podkanclerzego oczom jego nastręczyć.

Radziejowski uczuł to mocno, ale — jak nieraz w życiu, gdy go co nieprzyjemnego spotykało, umiał osłepnąć, ogłuchnąć i udać, że o niczem nie wie...

Królowej ani wspomniał o tem, ani pytał... Wygrywał zawsze, iż się królewskiego posła z domu pozbył, który mu żonę buntował, był bo-

wiem pewnym, że Jan Kazimierz ją ośmielał do oporu...

Tymczasem nawet złagodniał dla jejmości, unikając tego co ją drażnić mogło i wyjednał zawieszenie broni...

Małżonkowie z niechęcią i nieufnością spoglądali na siebie wzajemnie, w domu dwór się podzielił na dwa obozy, ale do wybuchów i sporów jawnych nie przychodziło.

Ważniejsze daleko sprawy zaprzętały umysły. Kozactwo, złamawszy traktat, podniosło bunt znowu, król razem z królową pracowali nad tem, a żeby przeciwko niemu tak potężną wystawić siłę, któraby niewątpliwem czyniła zwycięstwo.

Król podbudzony, sam też coraz się zagrzewając do rycerskiego ducha — był pełen zapału i gorliwości.

Zmiana nowa doszła w nim na dobre: z obojętności i ostygnięcia po zborowskich traktatach, wracał do ufności w siebie, w Rzeczpospolitą i pomoc Bożą. Po wielu innych endownych obrazach, u których szukał opieki, — szczególne teraz nabożeństwo i ufność obudzała N. Panna Chełmska, którą miano do obozu sprowadzić.

Gotowało się wszystko przepotężnie na wojnę, królowa nigdy czynniejszą, więcej ożywioną i zajętą nią nie była niż teraz. — Wiedziała, że Jan Kazimierz potrzebował być podbudzanym i posił-

kowanym; sama więc i wszyscy których miała na rozkazy — króla zachęcali do wojny, która nieochybny tryumf sprowadzić miała...

Sily zbierały się wielkie pod wodzą króla mające się zgromadzić oprócz wojsk komputowych. Senatorowie, magnaci, biskupi, można szlachta ofiarowała po kilkaset ludzi.

Obietnice rejestrowały się już tak wielkie jak nigdy, całe pułki, oddziały, po sto, po dwieście kopijników, dragonii; ussaryi, piechoty, które senatorowie wystawić mieli. Jedni się wysadzali nad drugich już liczbą, już uzbrojeniem i dobrorem ludzi.

Króla też to rozgrzewało, iż stanie na czele takiej go wojska, jakiego od niepamiętnych czasów Rzeczpospolita nie miała... Wszyscy go o tem zapewniali. Odżył pod tem, w razie nieco spoważniał, uczuł się człowiekiem nowym i godność swą nosił surowiej się oglądając na wszystko...

Radziejowskiemu, który równie króla niecierpiał, jak był przez niego zniena widzonym, — a między nim i Maryą Ludwiką usiłował się nie zgode, aby z niej potem korzystać — nie było to na rękę, ale tymczasowo chcąc Jana Kazimierza sobie zjednać i on kilkaset dobornej rajteryi obiecywał wyprowadzić w pole...

Królowi przy tem jego surowszem usposobieniu, narażać się teraz nie było bezpiecznie. Naj-

lepszym dowodem tego byli ulubieni mu Radziwiłłowie i Lubomirscy, którzy nagle niemal wpadli w niełaskę. Jan Kazimierz — chciał okazać, że nikomu samowoli nie przebaczy.

Brat kanclerzyny Radziwiłłowej marszałek koronny Jerzy Lubomirski trzymał żupę solną, o którą z Rzeczpospolitą miał sprawę. Naznaczoną została kommissya, w której zasiadał instygator koronny Żydkiewicz...

Ten, gdy w ciągu sprawy ostro się przeciwko marszałkowi wyrażać zaczął, zniecierpliwiony Lubomirski obuszkiem go w głowę uderzył...

Skarga doszła do króla, jako obraza majestatu sądu, przez niego naznaczonego. Jan Kazimierz, pomimo życzliwości dla Lubomirskich tak mocno uczuł tę zniewagę, iż ją porównał do porwania się Piekarskiego na ojca swego Zygmunta. Gniew króla był tak wielki, że zakazał Marszałkowi na oczy się sobie pokazywać na zamku w Warszawie, a później w obozie. Zagrożono nawet, iż król złożenia łaski żądać będzie...

Wielką tę surowość nie czemu innemu przypisać było można, tylko temu usposobieniu króla, pragnącego majestatu powagę utrzymać, podnieść się — i stać godnym bohaterstwa, którego się dobić obiecywał sobie.

Lubomirscy i Radziwiłłowie rzucili się naturalnie do królowej o pośrednictwo, a Marya Lu-

dwika rada była zawsze okazać moc swoją, nie odepchnęła więc ich. Do charakterystyki wieku należy, że instygator Żydkiewicz dał się później pieniężnym datkiem zagodzić!

Epizod ten wśród rosnącego wojennego gwaru przeszedł prawie niepostrzeżony. Chmielnicki już z kozactwem plądrował na Wołyniu, Kalinowski hetman naglił o posiłki; wysyłano wieści i mandaty po województwach, aby się przygotowane pułki conajprędzej ściągaly.

Strzebosz też wedle umowy chciał do wuja pod Lublin pośpieszyć, poprosił u króla o pozwolenie, ale Jan Kazimierz właśnie dopełniając chorągiew swoją ze czterechset dworzan złożoną, wypuścić go nie chciał. Musiał więc tymczasem pozostać, nimby się później do Xieźkiego mógł przesadzić. Spodziewał się tego dokonać w zamian za siebie podstawiając innego, gdyż do królewskiej chorągwi chętnie się cisnęła młodzież.

Ruch w stolicy, na zamku, po całym kraju był ogromny. Przy ówczesnym sposobie ekwipowania się i wojowania niemałą było rzeczą z czego stworzyć chorągiew i wyciągnąć z nią w pole. Śmiało powiedzieć można, iż za stu dragonami, tyleż conajmniej wozów, czeladzi i ciurów się wlokło. Kopijnicy swych ciężkich i kosztownych kopii nie wieźli inaczej, jak na wozach, a zamożniejszy szlachcie i starszyzna wojskowa

jednym się nie obchodziła. Tabory więc niemal czasem bywały liczniejsze, niż wojsko same— a owe czeladzie, jak pod Zborowem, obrusy i prześcieradła na żerdziach poczepiawszy zamiast chorągwi, występowały przeciwko nieprzyjacielowi i biły się mężnie.

Największa swoboda w znaczniejszej części tych pułków panowała w uzbrojeniu i stroju— z wyjątkiem tylko tego oręża, który, jak u kopijników stanowił właściwość jego. Sadzono się i tu na okazanie przepychu i dostatku. Stalowe pancerze pozłacano, oręż musiał być conajprędniejszy, głównie damasceńska, a koni taki dostatek, aby ich w żadnym razie ani pod wozy, ani do wierzchu nie zabrakło.

Dostatniejszy, pan rotmistrz lub chorąży, nie wyruszył z domu bez trzech wozów dobrze naładowanych, bez kilku luźnych koni, pacholków do nich i posługi. Jeden wóz musiał być żywnością dla ludzi i koni napełniony, drugi orężem zapasnym, siodłami terlicami, kulbakami, i rzędami a dekami dla koni, trzeci szatami pańskimi, barwą świąteczną czeladzi, a i o namiocie nie trzeba zapominać, bo rzadko kto go nie wiózł z sobą. Wielu też i sreberka i cyny trochę zabierało.

Posłedniejszym od drugich nikt się nie chciał okazać, więc ktoby się bez wielu tych rzeczy

mógł obejść łącno, ciągnął je z sobą, aby się pochwalić niemi.

Strzęboszowi, gdy się przyszło do ciągnięcia sposobie jako drudzy, spostrzegł dopiero, że cokolwiek sobie uzbierał i miał, wszystko na to wydać przyjdzie, a na żołąd czekać potem długo. Nie spieszył już więc z pomiędzy dworzan, znajomych i towarzyszków do obcych.

Rzadko też kiedy na wojnę się z taką okazałością gotowano, jak na tę, chociaż pocichu przypominali drudzy Piławiecką, i ogromne dostatki zmarnowane, które się w ręce Kozakom i Tatarom dostały. Nie pomogło to smutne doświadczenie — znaczniejsi panowie ciągnęli tłumno a dwornie.

Tak wszyscy pewnemi się zdawali zwycięstwa, iż królowa sama nawet chciała towarzyszyć mężowi, a Radziejowski, nie bez pewnej rachuby, podszeptał sam żonie, iż ona także jechać z nim mogła, na co się pani podkanclerzyna w początku z ochotą godziła.

W postępowaniu jego, na oko niezrozumiałem, było mnóstwo zasnutych sieci, pozadzierzganych węzłów, przygotowanych środków na przypadek wszelki do odegrania roli — któreby mu wpływ i zysk zapewniła.

Z jednej strony usiłował sobie zyskać królową, zwolna i ostrożnie w oczach jej męża poniżając,

a ją podnosząc; z drugiej gotów był przez żonę króla sobie zjednać, posądzając go o wielką słabość dla niej.

Wszystkie te pozaczynane intrygi niebardzo mu się dotąd powodziły. Królowa wprawdzie słuchała, przypuszczała go chętnie, posługiwała się nim — ale nazbyt rozumną była, aby nie czuć w tem fałszu i nie przeniknąć intrygi.

Król, mniej znający się na ludziach, pobłażliwszy, łatwiej uraz zapominający — tolerował podkanclerzego, ale instynktowo cierpieć go nie mógł i zbliżyć się do siebie nie dawał zbytnio, co Radziejowskiego niecierpliwiło, bo znał Jana Kazimierza dla innych pobłażliwym.

Im się on bardziej nabijał tem Jan Kazimierz wstręt mu okazywał dobitniej.

Żona znosiła go, a dla spokoju w domu wiele przebaczała, ale znała go już nadto, aby się ludzi, że z nim kiedy szczęśliwą być może. Jawnem było teraz, że godził tak na jej fortunę, jak na te, które po dwóch pierwszych żonach zagarnął.

Przyjaciół, na których-by mógł rachować, nie liczył wielu — zato pozyskiwanych kubkiem i papką wesółych towarzyszków znajdował wszędzie i tymi się posługiwał.

Wiosna się powoli już obiecywała.

Strzębosz, mając wyruszyć do chorągwi—chciał się przynajmniej z Bianką pożegnać; ale dostać się do niej było trudno, gdyż matka pilnowała okrutnie.

Przez kilka dni chodził do Dominikanów, czatował na drodze, ale spotkać się z nią nie mógł. Około kamienicy stojąc na czatach, w oknie nawet nie spostrzegł nikogo, oprócz starej Bertoni, ale niedarmo czasu tyle strawił na dworze, pomiędzy swawolną młodzieżą, pod okiem dosyć po-błażającego pana.

Zrana więc, posługując królowi, gdy się ubierał—przebaknął, że stara Bertoni bardzo się żaliła i bolała, że możeby N. Pan ją jakim dowodem pamięci chciał pocieszyć.

Król nie był w usposobieniu łagodnem — i zamruczał:

— A tobie co do tego?

Nastąpiło milczenie. Strzębosz się już odzy-

wać nie śmiał, ale Jan Kazimierz — pomyślał o starej słudze. Nie miał teraz nikogo, coby mu od podkanclerzyny przynosił wiadomości. Włoszki użyć nie było można, ale przez nią kogoś wyszukać... do kogoś z francymeru dotrzeć.

Król już był całkiem ubrany, gdy się z twarzą nachmurzoną obrócił do Strzębosza:

— Idź-że, powiedz tej starej, aby wieczorem się zgłosiła.

Dyzmie więcej nie było potrzeba.

Porzuciwszy wszystko, pobiegł na rynek. Tym razem tak mu się powiodło, że właśnie powracającą z kościoła spotkał Biankę. Dziewczę się mocno zdziwiło, iż śmiał ją przeprowadzać na górę po wschodach. Towarzyszka stara odpędzić go próżno usiłowała.

— Ja jestem przez króla tu przysłany—odezwał się Strzębosz—więc idę śmiało.

Po wschodach podróż szła nadzwyczaj powolnie. Dyżma się zatrzymywał co chwila, dziewczę niebardzo śpieszyło, stara towarzyszka, pozostawszy na ostatku, wyprzedzić ich ani napędzić nie mogła. Ale wreszcie drzwi się w górze otworzyły... śmieszki na wschodach stały się nieopatrznie zbyt głośnemi—Bertoni wyrzała w dół i poczęła krzyczeć w niebogłosy.

Strzębosz się jej kłaniał.

— Pięknie pani przyjmuje królewskiego po-

sła! Jestem od samego króla JMci wysłanym do niej.

— Kłamiesz!—zawołała gniewnie Włoszka.

— Mówię świętą prawdę.

Wszedł tymczasem za Bianką na górę Dyżma, ale stara naprzód się zajęła tem, aby córkę uprzątnąć i zamknąć ją na klucz, i dopiero wyszła do niego nadąsana.

— Skaranie Boże z tym natrętem—poczęła, wchodząc — nie miał-by też król kogo innego do mnie wyprawić!

— Z pewnością N. Pan dziesięciu-by miał do wyboru na miejscu mojem—odezwał się Strzębosz—ale widzicie jawnie, że mnie i miłość moję król ma w opiece, dlatego mnie tu zawsze posyła.

Bertoni zagryzła usta.

— Spraw-że swoje poselstwo; ja czasu nie mam—rzekła sucho.

— N. Pan kazał mi powiedzieć, abys pani dziś wieczorem przyszła na zamek, ale — do nikogo się nie zgłaszała, tylko do mnie, a ja ją wprowadzę.

Starej twarz zczerniała aż z gniewu; mruzczyła coś, ale tak niewyraźnie, że Strzębosz mógł się tylko dorozumiewać przekleństw. Nie odpowiedziała nic. Czekał.

— Cóż mam odnieść?—zapytał.

Nazżymawszy się długo, Bertoni zwróciła się z miną pogardliwą ku niemu.

— Przyjdę—rzekła — ale waszmość sobie nie pochlebiaj i nie wyobrażaj, żebym ja kiedykolwiek, choćbyś jaką miał protekcją króla, pozwoliła się zbliżyć do mego dziecka.

Sto razy to słyszałeś ode mnie.

— Tak jest — odparł Strzębosz — słyszałem, słucham, słyszę, i — nie wierzę.

Chciał mówić dłużej, ale Włoszka, do najwyższego stopnia rozdrażniona, rzuciła się ku drzwiom i wyszła, zamykając je za sobą.

Dyżma po chwili wynosić się musiał.

Wieczorem król sam zagadnął o Włoszkę..., wprowadził ją Strzębosz. Jan Kazimierz stał zakłopotany.

— Widzisz—rzekł do niej—gotuję się na wielką wojnę. Raz z tem obrzydłem chłopstwem skończyć potrzeba, co przy pomocy Bożej teraz się musi dopełnić. Wkrótce wyciągniemy.

Przeszedł się po izbie parę razy.

— Masz tam kogo znajomego we fraucymerze podkanclerzyny?—zapytał, nagle stając przed starą.

— Ha! jeszcze to nie wywietrzało! — odparła Bertoni.

Król się zmarszczył.

— Nie mów mi o niej lekko—rzekł poważnie—

to jest kobieta nieszczęśliwa. Wybrała sobie takiego męża.

— Co jej się bałamucić nie pozwala? — rozśmiała się Włoszka — ale Jan Kazimierz nogą uderzył w podłogę i pogniewał się.

— Nie waż mi się mówić tego!

Włoszka ruszyła ramionami, podparła twarz ręką i stała milcząca.

— Masz kogo znajomego we francymerze? — zapytał król.

— Pewnie, że mam — poczęła Bertoni. — Sama pani podkanclerzyna była na mnie łaskawą, kupowała u mnie koronki, jedwabie.

Łagodniejąc, przystąpił Jan Kazimierz do niej.

— Zajdź tam, ale nie ode mnie; nie — dowiedz się: co się tam dzieje? Jak oni z sobą są? Ten gbur jej wszystko naprzekór czyni? ona się zalewa łzami. Dowiedz się... przyjdiesz mi do nieść... ale o mnie niema mowy. Jestem królem i opiekunem, więcej nic — rozumiesz: więcej nic. A sprawisz się źle — nie pokazuj mi się więcej na oczy.

Mówił tak poważnie, stanowczo pokrólewsku, że Włoszka nawykła się z nim bardzo poufale obchodzić — tym razem spokorniała.

Skorzystała tylko z posłuchania, naprzód prosząc, aby jej król Strzębosza nie posyłał nigdy,

potem się uskarżając na zaniedbanie i zapomnienie.

— Mam i bez tego dosyć na głowie — odparł król w końcu — nie pora teraz bzdurstwami się zajmować, a ja o wiernych sługach przecie nie zapominam nigdy. Co się tknie Strzębosza, taki on dobry, jak i drugi, a ja go lubię.

Wyrzekłszy to, król odwrócił się.

— Daj mi wiadomość — dokończył jeszcze i, już na Włoszkę nie zważając, przeszedł do karłów którzy się w sąsiednim pokoju, swym zwyczajem, czubili. Jedna z małp na łańcuszku wmieszała się też do domowej wojny i naśladując karłów, po głowie Babę tłukła.

W sam czas je rozerwano.

Trzeciego dnia Bertoni była na zamku i usiłowała przez któregoś innego z dworzan dostać się do króla, ale ci uprzedzeni, pozbywali się jej póty, aż nadszedł Strzębosz.

Z wielką uprzejmością wprowadził ją do garderoby, bo tu król podobne odwiedziny zwykł był przyjmować.

Bertoni zaczęła opowiadać z żywością wielką.

— Dostałam się do pani podkanclerzyny, ale gdyby nie koronki i jedwab', pewno-by mnie nie dopuścili, taki tam dozór nad wszystkimi, co wchodzi do pałacu. O! nie tak, jak bywało za Kazanowskiego! Naówczas ona tam była panią

i królową, a teraz jest niewolnicą. Tak mnie wzięli na spytki, żem myślała, iż się chyba nie dostanę do jejmości. Musiałam się składać koronkami i jedwabiem. Dopiero po wielu ceregielach, z ręki do ręki... doszłam do samej pani. A! jak, się ona zmieniła! zmizerniała, żółkła! oczy zapłakane; ale sobie rady da — bo w niej czuć panią. Jaby też na miejscu męża być nie chciała!

Król poruszył ramionami.

— Musiałam być bardzo ostrożną — mówiła dalej Bertoni — bo to po takich domach nie nowina pode drzwiami słuchanie. Więc dopiero, dobrą chwilę wypatrzwszy, szepnęłam jej, że... może ja tu od siebie nie przyszłam, że wysoka osoba się mocno o los jej niepokoi... ale, uchowaj Boże, o miłości waszej mowy nie było....

Więc się naprzód biedne kobiecisko rozplakało, ale potem, kiedy to nie zaczęło narzekać na ten dzień i godzinę, gdy mu swą rękę dała!

No, ja tam nie wiem, ale oni chyba z sobą żyć nie będą. Ona mężstwa nie straciła. Powiada mi potem: mam dwóch braci do mnie przywiązanych; potrzeba będzie: oni mi w pomoc przyjdą. Ja się tak wywłaszczyć i wyzuć nie dam, jak te dwie ofiary, które on zamęczył i odarł, nie! Będę dla niego karą Bożą za wszystkie grzechy jego. Uczynił mnie nieszczę-

śliwą; ja mu też nie dam spokoju zażyć, bo go nie wart!

Zatrzymała się Włoszka nieco, król słuchał z uwagą wyteżoną, a twarz mu się mieniła litością i oburzeniem.

Bertoni ciągnęła dalej:

— Potem, znowu popłakawszy, powiada mi: Tymczasem mój pan mąż złagodniał trochę, ja też nie wydaję wojny. Znowu niby żyjemy w pokoju, choć on nie potrwa. Był nawet tak uprzejmym, iż mi doradzał, abym mu towarzyszyła na wyprawę, ponieważ królowa jmość także ma podobno jechać.

— To niech i ona jedzie! — przerwał król z widoczną radością — niech jedzie.

— Ona też nie ma nic przeciwko temu, ale powiada, że to podstęp jest i chytrość, że albo nie wierząc jej, chce ciągnąć za sobą, albo coś zamyśla, czego teraz odgadnąć trudno.

— Obawiać się nie ma czego, znajdzie obrońców — wyrwało się królowi niebacznie. — W podróży, na oczach ludzi nie będzie mógł jej prześladować, folgować musi, sam-by się potępił.

Bertoni mówiła jeszcze:

— Biedna pani! a co tam za dostatki i przepych koło niej! Cóż z tego, gdy wszystko oblane łzami.

Król ręce zacierał.

— Moja Bertoni — rzekł — jeżeli już raz się tam dostać umiała, a koronki ci otwierają drzwi, jak tylko będzie można dowiedz mi się znowu i przynieś mi wiadomość.

Włoszka głową dała znak, że gotowa jest to uczynić.

— Dobrze, królu mój — odezwała się — ale niechże ja mam co za mój trud, a nie potrzebuję więcej tylko, żebyś mi nie przysyłał tego młokosa swojego dworzanina, bo mi dziecko bałamu-ci, a ja mu jej nie dam.

Uśmiechnął się król.

— Chłopak uczciwy, przystojny i ja go lubię; co ty masz przeciwko niemu?

— Najpierw, że goły, jak turecki święty — zawołała podrażniona Bertoni — powtóre, że ani domu, ani łomu, nazwisko lichy wie jakie, a ja córki nie wydaję tylko za senatora.

Król szczerze się śmiać począł.

— Aby tak była z nim szczęśliwą, jak podkanclerzyna z tym gburem!

To rzekłszy i nie przedłużając już rozmowy, wyszedł, a Włoszka miała tę zgryzotę, że Strzębosz ją wyprowadzał aż na dół po wschodach, i choć milczała, rozmowę zabawiał.

Przygotowania do podróży były powszechnem zawieszeniem broni. Radziejowski, który na wyprawę tę wiele dla siebie rachował, wybierał

się w drogę z wielkim dworem i taborem, a że żona jechała z nim, szły więc najpiękniejsze kolebki, kuchnie, srebra, namioty tureckie, kobierce adziamskie, wszystkie Kazanowskich splendory, na których, niestety, herby tkane nie dozwalały podkanclerzemu ukazywać ich za swoje. Miała wszakże służba nakaz surowy: opony, kobierce i wszystek sprzęt z herbami tak stawić i pokrywać, aby owych godeł nie było widać.

Ponieważ wojewodowie i wojskowi naczelnicy każdej ziemi sami osobiście mieli prowadzić pospolite ruszenia, więc przed samym króla wyjazdem do Lublina, około niego, oprócz pieczętarzów mało kto pozostał. Radziejowski, choć miał rajtaryą do stawienia, zlecił ją pułkownikowi, sam się nie ruszając od dworu i królowej.

Zależało mu na tem bardzo wiele, aby sobie Maryą Ludwikę pozyskać. Chociaż król i królowa teraz wielce byli przykładnem małżeństwem, a Jan Kazimierz pod wpływem wojennego ducha płochości się pozbył na teraz, Radziejowski jednak wiedział, że królowa męża znała i wielkiego affektu dla niego, ani zaufania w nim mieć nie mogła. Na to rachował.

W rozmowach wychwalał on przed nią króla, lecz w sposób zdradziecki, przypinając mu zawsze

jakąś łatkę, co gorzej, czyniąc go śmiesznym w jej oczach, o co nie było trudno.

Karły, mały, zabawki króla, jego powolność dla służby, niestałość umysłu, choć Radziejowski wielbił serce, szlachetność, dobroć, dostarczały treści do przekasów, a najmniejsza okoliczność, zręcznie wyzyskana, pozostawiała ślad po sobie.

Podkanclerzy szczególnie nalegał na to, choć nie całkiem się niby odkrywając ze swą myślą, iż całe powodzenie wyprawy zależało od Maryi Ludwiki, i dowodził, że król powolnością swą mógł popsuć wszystko, iż ciągle bodźca potrzebował i straży, a nikogo oprócz żony nie słuchał...

Pochlebiali to królowej, która, wierząc w to, iż Radziejowski im i Rzeczypospolitej życzył dobrze wistocie, gotową była się poświęcić i w podróż się wybierała. Chciał, jak powiadał, wziąć z sobą żonę, aby bytność królowej w obozie nie była tak raziącą, na co królowa się godziła, choć, pani podkanclerzyny nie lubiła coraz więcej.

Napozór więc wszystko się inaczej układało, niż było w istocie, a przebiegły intrygant zacieierał ręce, obiecując sobie korzystać z zawikłań, i w potrzebie wywołać je, aby potem wystąpić jako pośrednik.

Z królową szło mu stosunkowo pomyślnie, ale

z królem, który nie umiał udawać i zdradził się, Radziejowski rady sobie dać nie mógł. Wcisnął się do niego, nachodził, przesiadywał, narzucał, służył nie mogąc w żaden sposób chłodu i wstrętu jawnego przełamać.

Król był zmuszonym go przyjmować i słuchać, ale czynił to z tak wyraźną odrazą, iż podkanclerzy, płaszcący się, zabiegający w końcu znienawidził go, nie mogąc oszukać.

Nie dawał jednak za wygraną.

— Czekać — mówił w duchu — będziesz ty mnie potrzebował, zmuszę cię, że się staniesz słodkim, ale wówczas ja będę drogim i za łada co nie dam się kupić.

Oplątać króla, wprowadzić go w kłopot, przymnożyć mu troski, było całkiem staraniem podkanclerzego.

Poza oczyma nie wahał się wyśmiewać go i każdą jego czynność przedstawiać albo jako śmieszność, albo jako podyktowaną mu przez królowę.

Właśnie w tej chwili, która w ciągu całego panowania, a może i życia, Jana Kazimierza jest najjaśniejszą, gdy on wistocie duchem się umiał podnieść i dłużej utrzymywać na tej wyżynie, niż kiedykolwiek, podkanclerzy go zmniejszał w oczach ludzi i zaufanie ich mu odejmował.

Stosunek ich był wielce osobliwy. Podkan-

clerzy zwykle, rozmówiwszy się z królową wprzód, szedł na pokoje do Jana Kazimierza, a jako pieczętarz miał sobie zawsze otwarte podwoje.

Król, już słysząc go nadchodzącego, zasępił się, krzywił i ustawiał tak, aby się albo kim od niego zasłonił, albo jakimś zajęciem uwolnił od rozmowy.

Naówczas rozpoczynała się formalna gra między nimi.

Z bezwstydną i natarczywą cynizną, jeżeli król zwrócił się nalewo, podkanclerzy przechodził nalewo, gdy król przeszedł wprawo, zabiegał z prawej.

Król mówił do kogo innego, na niego nie patrząc, on odpowiadał głośno, głuszył zapytanego i nie dawał się zbyć milezeniem. Niekiedy tak z pokoju do pokoju ścigał swą ofiarę i doprowadzał do najwyższego stopnia zniewagi.

Często, aby się go pozbyć, Jan Kazimierz na żądanie jego przystawał, dawał mu co chciał.

Radziejowskiego razem bawiło to i złościło, że pokonać nie mógł wstrętu i uprzedzenia. Widział na drugich, że król powolny dawał się skłonić im do życziwszego usposobienia, względem niego zaś codziennie był wyraźniej niechętnym, mścił się dokuczliwością swoją.

W ostatnich czasach, on, co nigdy z królem o żonie swej nie mawiał, i w rozmowie o niej nie

wspominał, umyślnie dla wypróbowania coś o niej napomknął. Jan Kazimierz nie usłyszał.

— Muszę się w. król mości pochwalić — rzekł jednego dnia — z moją miłościwą panią małżonką, do zbytku przez nieboszczyka pieszczoną, miałem srogie utarczki i przejścia, ale wszystko się szczęśliwie jakoś ukończyło pożądaną zgodą. Jejmość będzie królowej pani towarzyszyła zapewne w podróży.

Milcząc, król spojrzał.

— Trzecią żonę mam — dodał zartobliwie podkanclerzy — *expertus sum*, jak z niewiastami postępować potrzeba... pochlebiam też sobie, iż pani podkanclerzyny affekt pozyskam, choć przyznam się, niemało to trudu kosztowało.

Ani słówkiem nie chciał król na to zwierzenie się odpowiedzieć, ale Radziejowski niezrażony mówił dalej:

— Byłem zmuszony pewne wpływy, których się łatwo było domyśleć, i pewne stosunki pozrywać. Są ludzie, co małżeństwa różnić mają sobie za zabawkę. Moja Elżunia miała przyjaciół i pochlebców do zbytku; zwolna ich poodsuwałem i oddalałem. Teraz do niej nikt bez mej wiedzy przystępu nie ma.

Przybycie kanclerza, szczęściem przerwało dalsze wynurzenia, które królowi wielką przykrość czyniły. Radziejowski wobec poważnej osoby du-

chownej zamilknąć musiał i począł biskupowi dworować.

Tego rodzaju dokuczliwe napaści powtarzały się niemal codzień, a król nie miał sposobu zamknięcia się przed niemi. Radziejowski często przychodził, jako posłany przez królową, a wówczas jeszcze był zuchwalszym, bo się wciskał aż do sypialni. Dworzanie wszyscy doskonale znali ten stosunek i pomagali panu swemu do pozbywania się podkanclerzego, lecz jego zuchwalstwo przechodziło wszelkie granice.

Spróbował Radziejowski na niechęć N. Pana ku sobie żalić się przed królową, która wspomniała o tem mężowi.

Jan Kazimierz, co mu się względem żony rzadko trafiało, zżymał się.

— Ale czegoż ten człowiek chce ode mnie? — zawołał. — Dałem mu pieczęć, do której godniejszych było siła, ma starostw dosyć, ożenił się bogato: niechże siedzi spokojnie. Że ja jego konwersacyi i towarzystwa nie lubię, tego nie taję.

— Jest to przecie człowiek — wtrąciła królowa — który i wielce pożytecznym być może i bardzo szkodliwym być potrafi. Lepiej go mieć z sobą, niż przeciwko sobie.

— Jabym wolał — odparł żywo król — ani za ani przeciw go nie znać, bo mi wstrętliwym jest. Powiadają o naszym protoplaście Jagielle,

że odor jabłek znieść nie mógł; otóż ja tak samo, odoru tego podkanclerzego nie znoszę.

Uśmiechnęła się królowa.

— Niezapominajcie, że królem jesteście — rzekła — wkłada to obowiązki. Wszak my obcować musimy ciągle z ludźmi niezdolnymi.

Król mocno westchnął, ale dla odwrócenia rozmowy, począł mówić o obrazie chełmskim, o ślubie uczynionym do Częstochowy, o przepyszonym ołtarzu hebanowym ze srebrem, który tam fundował Ossoliński, o obrazach cudownych w Bełzie, w Czerwieńsku; w innych miejscach. Chełmski obraz miał być zabranym do obozu i towarzyszyć w ciągu wyprawy.

Królowa milczała, odezwała się potem o swych francuzkich zakonnikach, które osiedlała w Warszawie, o ks. de Fleury, spowiedniku swym, o wyjeździe i wielkiej ochocie towarzyszenia mężowi, i tak ten nieszczęśliwy podkanclerzy został zapomnianym.

Nazajutrz król, który dla żony był nadzwyczaj powolnym, starał się podkanclerzemu okazać nieco względniejszym, przemówił kilka słów, dał mu coś sobie opowiedzieć, nie unikał go.

Radziejowski natychmiast się dorozumiał wpływu pani — i mocno był tem uradowany, ale względem króla nie zmienił postępowania.

VII.

W obozie pod Lublinem, gdzie się zrazu wojska ścigały, daleko teraz było więcej życia i ruchu, niż w stolicy. Zbierały się komputowe pułki, a każdy ze starszych gotował się do tej wyprawy, już zawczasu obrachowując ile, według prawa, trwać może pospolite ruszenie i—wojna. Nie troszczono się o jej skutki i następstwa, ale o kosztą i ciężary... Tylko stare rycerstwo cieszyło się wojną.

Znajomy nam Xięzki, który w Sobieskich pułku służył, teraz w dywizji Lubomirskiego rotmistrzował i tu z sobą przyniósł swój humor, zawsze rzeźwy i wesoły, ducha wojaczego i ochotę do walki.

Obfitowała też ona w podobnych jemu weteranów posiwiiałych na usługach Rzeczypospolitej, dzielnych wojaków, ale ludzi niepospolitej oryginalności, jakiej dziś, na wygładzonym świecie i jak szpalery obciętym, wielu nie widać.

Wówczas jeszcze rośli ludzie, jak drzewa w lesie, swobodnie, puszczać fantazyi swych gałęzie.

Xięzki ze swym ostrym językiem a dobrem sercem, choć słynął szeroko, nie był jeszcze jedynym z tych, co ich sobie w wojsku palcami pokazywano, a o których chodziły legendy takie, że się im wierzyć nie chciało.

Przed wyruszeniem króla z Warszawy, gdy Strzębosz się przekonał, że w chorągwi królewskiej, dla wymaganych od towarzyszków uzbrojeń i wyposażenia, wytrwać mu będzie trudno, odprosił się do wuja i pośpieszył do Lublina. Wuj mu listem do wysztyftowania się przy swym boku dopomódz obiecywał; miał u niego zapewniony wikt i opiekę, puścił się więc w imię Boże.

Zdawało mu się, że gdy tu przybędzie nie łatwiejszego nie będzie miał nad wyszukanie Xięzkiego, ale zawóz, jak mówiono, był tak wielki, że choć Staszka znali wszyscy, nikt nie umiał powiedzieć, gdzie go szukać, nie wiedziano nawet czy pod namiotem był w obozie, czy na mieście.

Cały dzień strawiwszy na przepytывaniu, dopiero pod wieczór, zmęczony, głodny, wywłóczywszy się po Winiarach, po Tatarach, po uliczkach i rynkach, Strzębosz trafił na gospodę Xięzkiego.

Powitanie było bardzo serdeczne. Zdał zaraz examen Dyżma z tego, co miał, i z tego, czego mu brakło.

U Xięzkiego, jak zwykle, izba pełna była przyjaciół, ale tu obejrzawszy się po nich Strzębosz, dopiero sobie mógł stworzyć jakieś pojęcie starego rycerstwa. Dwu twarzy nie było do siebie podobnych, a żadnej takiej, na którąby patrząc człowiek nie musiał myśleć i zgadywać, co to za jeden może być.

Poodziewani byli nateraz najdziwniej, jedni zczerkieska, drudzy ztatarska, powłosku, od fantazy; czapka u każdego inna, odzienie krótkie do zbytku, to długie bez miary, a twarze? pokieraszowane, porąbane, niektóre prawie do kości, ta bez oka, inna z policzkiem wkleśłym od kuli.

Ale sroga przy tem buta u każdego, a humory tak rozmaite, jak oblicza.

Niektórzy, jak siedli na ławie i podparli się na stole rękami, siedzieli godzinę słowa nie mówiąc, innym się gęba nie zamykała; nucili niektórzy.

Wzięto zaraz młokosa na spytki.

— Kiedy król z Warszawy rusza? czy prosto do Lublina ciągnie? Czy prawda, że królowa z fraucymerem za nim dąży.

— Niechżeby o skrzypkach nie zapomnieli —

mówił Xięzki. — nim Tatarskiego zatańczym, wartoby gawota też pójść...

— Aleć to śmiechu warto — wtrącił jeden stary — mało i tak wozów i ciurów mamy, żeby jeszcze babami tabor powiększać? Przyjdzie do starcia z Kozactwem: trzeba będzie dywizyą na straży około podwik postawić.

— Mnie się zdaje -- przerwał Strzębosz — że królowa tylko męża przeprowadzi, ale gdy o nieprzyjacielu zasłyszemy, do Warszawy powróci. Mówią wprawdzie o matce jej, że prawą Amazonką była i bardzo wojowniczego ducha, ale nie sądzę, aby na koni sięść chciała.

— Co się króla tknie — mówił dalej Strzębosz — nikt nigdy go tak podbudzonym do rycerskiego rzemiosła nie widział, jako teraz. Niem żyje, o niem myśli, budzi się, dopytując o wojsko; po całych dniach się niem zajmuje.

Daj tylko Boże, aby ruszenie dopisało! Drugie wici już poszły, a trzecie pewnie ztąd wyprawione będą.

Przez bardzo długi czas trwały rozmowy u Xięzkiego, ale o mroku, ponieważ po mieście trudno było się nocą dostać do gospód, wszyscy się rozchodzić zaczęli.

Strzębosz, jako tako ludzi i konie pomieniawszy, został przy wuju.

— A! ojcie mój! — zawołał Dyżma, gdy się

porozchodzili, i zostali sami — jak mi Bóg miły, żyjąc już na świecie trochę czasu i ludzi widziałem gromadkę, ale takich, jakich tu dziś spotkałem, wcalem nie spotkał.

Xięzki się rozśmiał.

— Cóż tym tam w nich widzisz tak osobliwszego?

— Wszystko — mówił Strzębosz — począwszy od twarzy aż do butów, nie wyłączając mowy i obyczaju.

— Boć to nie są mieszcuchy — mówił Xięzki — wychowane w klatkach, ale prawe stare rycerstwo, zrosłe i posiwiałe w polu — ludzie, co życie ciągle stawieć zmuszeni używają go też poswojemu.

Widziałeś na ławie ogromnego tego w opończy niepoczesnej, z twarzą chudą, głową śpiczastą, policzkami wciągniętymi, oczyma przeszywającymi, niemłodego już, pana brata, który dłonią ciągle stół tarł, tak ręka z bezczynności świerzbiała?

U nas to sławny człek — mówił Xięzki — Teraz to się na mało co nam przyda; ale niechby-no na Wołoszczyznę, na zajęte przez nieprzyjaciela ziemię przyszło isć, bez tego człowieka z głodu-by wszyscy pomarli.

Dano mu też w Inflanciech pono przezwisko „Wielki Picownik Koronny”, bogdy paszy dla ko-

ni, a dla ludzi, chleba było potrzeba, gdzie już dziecięciu przeszło i nie znalazło nic, nasz Węgorzewski niewiadomo w jaki sposób i chleb i obroki zdobywał. Wyprawiano go, jechał flegmatycznie, rozglądając się, milcząc, postępując, a nigdy z próżnemi nie powrócił rękami.

Ci, co widywali go, jak operował, nie mogli się nachwalić jego przenikliwości. Jak psy tropią zwierza, tak on umiał wysledzić i schówki i niedostępne kryjówki.

Na tem nie dosyć: znalazł ludzi i budynki, ale i tu wszystko pochowane. grab że się i macaj, a czas trać!

Węgorzewski miał taki tryb postępowania z ludźmi, że mu się zdradzali sami. Dopieroż następowało wybieranie, ale za kwitami. Uchuwaj Boże, nigdy nie przywłaszczył sobie nic bez skryptu.

— Niech się biedaki choć tym kawałkiem papieru cieszą — mówił. — Czy im zapłacę za to, nie moja rzecz, ja podskarbm nie jestem, a z głodu ludziom i koniom zdychać nie mogę dać.

Na lamenta zaś Węgorzewski, ręce składając, odpowiadał:

— Żal mi was, biedne ludziska, ale wojna ma swoje prawa; odmawiajcie suplikacye od powietrza, głodu, ognia i wojny; ja na to nie mogę nic.

W wojsku to wiadoma rzecz, — mówił dalej Xieźki—wyprawia kogo za chlebem i paszą, a zechce mu się kto okupić pocichu, da talarów kilkanaście i zepchnie na sąsiada. Z Węgorzewskim tego sposobu zażyć nikt nie mógł, bo pieniędzy nie brał od nikogo, ale też nie oszczędził chyba wdowę i sieroty. Zresztą choć go do rany przyłożyć...

Ten, co za stołem siedział, albo raczej leżał na ławie, duży człek, z nosem ogromnym, kościsty, milczący,—nie wiem czyś go baczyl?

— Ale ba! — przerwał Strzębosz — jam ich wszystkich zarejestrował; wydał mi się ciężkim i niedźwiedziowatym.

Xieźki się rozśmiał.

— Toż to szermierz sławny, a imię mu Przeclaw Gorzyński. Co ten człek ludzi naścinał, tego nie zliczyć, a zawsze w jeden sposób. Prawda, że i konia ma ułożonego potemu. W starciu on zawsze staje w pierwszym rzędzie a z kraju.

Na koniu, że ma nogi długie a korpus krótki, nie widać go tak bardzo silnym. Heca z nim zawsze jedna. Wyjeżdża, niby na harc, nieśmiało, zwolna; pomknę się kto do niego, złoży się z nim raz, drugi—i poczyną uchodzić.

Goni go, naturalnie, nieprzyjaciół, zwalnia kroku oddaliwszy się nieco... dopuści go sobie nie-

mał na kark, a potem: jak się nie odwróci, jak nie chlaśnie koncerzem... albo łeb rozplata albo zetnie.

Za czem, otarłszy miecz, wolnym krokiem do szeregu... w ściśniętym rzędzie ciasno mu, nie swój, bije się ale nie tak ochoczo, dopiero gdy może wywabić w pole... tam już jak w domu.

Z tatarskiej raz wyprawy powróciwszy do domu, powiadają, w Trokach przywiózł worek u siodła. Jejmość tedy uściśnawszy małżonka, nuż jego węzełki rozpatrywać. Trafiła na worek— a to co? Pan Przeclaw się skrzywił.—E! to... jechaliśmy jodłowym lasem, rydzów sobie uzbierałem, ale bodaj już świeże nie będą.

Jejmość nuż węzełki rozplątywać, kiedy spojrzy wewnątrz, krzyknęła i mało nie padła. Worek był pełen poobcinanych uszów tatarskich.

Chcieli zaraz precz cisnąć, ale kazał policzyć wprzód.—Już tam nie wiem ile ich było—zaklinał się tylko, że więcej niż po jednym uchu od głowy nie brał.

— Czekaj ino, chłopcze—dodał, śmiejąc się, Xieźki—tylko się po wojsku rozpatrzysz. Nie królewskie to pokoje, gdzie wymuskani panniecykowie, jak woskowe lalki, stoją, jedno do drugich podobne; tu każdy takim jest, jakim go pan Bóg stworzył.

Nazajutrz poszli z Xieźkim po starszyźnie i do

obożu, po znajomych i przyjaciółach Staszka. Strzębosz, który nigdy między takimi ludźmi nie bywał. — uczuł, jakby się w świeżej skąpał wodzie. Lecz pocieszyć się, ale i zafrasować czem było, bo natrafili pod namiotami na waśnie, na guzy, na takie zajścia, że ich żadna siła hamować i uspokoić nie mogła.

Sądy wojskowe, postanowione przez króla, z trudnością wszystkiemu zaradzić mogły, bo oprócz towarzystwa i pocztowych, siła ciurów i czeladzi kręciło się i dokazywało, sądząc, iż przez to, że do obozu należeli, wszystko im już było wolno.

Szły więc nieustające skargi, bo po przedmieściach napadano na dworki i excessa się działy okrutne, a wpadli potem rozpasani w tłum, to ich tam ani wyszukać było, ani poznać, a swój swego nie zdradził.

Tymczasem jednak bardzo tu było wesoło. Z miasta przekupniów mnóstwo pod szalasami szynkowali, sprzedawali żywność, rozmaite przybory a i podejrzanych andaraczków snuło się mnóstwo, które podówczas zwano, nie wiem z kąd „francymmerem Ś. Marka?”

W niektórych namiotach panów rotmistrzów i pułkowników, u dowódców oddziałów, stoły, jak na wsi, dla gości nakryte i zastawione po całych dniach trzymać musiano.

Gdzie kopijnicy szli, zdawa ich było można poznać, bo albo lasem stały powbijane w ziemię kopie z długimi do ziemi proporcami, albo na wozach ogromnemi leżały kupami. Każdy też oddział miał zapaśne, bo to się w pierwszym starciu kruszyło łatwo bardzo.

Obozowisko zdawa niejednakowo wyglądało, bo było tam wszystkiego pełno i wozów i szalasów kleconych z tarcie i takich paradnych ze jak kaplice wyglądały, i płóciennych namiotów obok.

Na chorągwiach też nie zbywało.

Nauczył się tu dopiero Strzębosz, że chorążego tytuł nie był próżnym, a do pospolitego ruszenia, gdzie trzeba było bronić czci swej ziemi, dobierano zwykle na chorążych silnych, dzielnych, takich, coby nie lada się komu dali obalić.

Już samo dźwiganie drzewca z proporcem nie łatwe było, a w bitwie, gdy chorągiew szła przodem, nieprzyjaciół zwykle na nią impetem uderzał; bronić jej musiał chorąży, jak to było pod Zborowem, pokrywwszy ciałem własnem, gdy obie ręce postradał.

Na tych panów chorążych było co popatrzeć... rzadko bardzo który z nich postradał, co niósł, i to chyba z żywotem.

Zaledwie obszedł kawał obozu tylko, zakręciło
Boży guńew. Tom II.

się w głowie Strzęboszowi, taką tu znalazł rozmaitość uzbrojenia i ludzi.

Pułki się jeszcze ciągle powoli zbierały, ustawały i skupiały wedle dowódców, pod którymi miały służyć. Pułkownika też swojego, Nadolskiego, któremu chciał siostrzeńca przedstawić i polecić, nie mógł łatwo odszukać Xięzki. Każdemu innemu jeszczeby to trudniej przyszło, ale Staszek był znany wszystkim i miał przyjaciół nawet w tych, których sam osobiście nie znał; chętnie więc go informowano. Nadolskiego pomimo to nie łatwo było odszukać, choć jako pułkownik — powinien był gromadnie i wystawnie się okazać.

Lecz należał do tych wyjątkowych oryginałów swojego czasu, którzy nie szli owczym pędem za innymi.

Nadolski był — jak mówiono — skąpy i takim się mógł wydawać, chociaż wistocie i właściwiej nazwać go było potrzeba rygorzystą. Gdy inni pułkownicy występowali gościnnie do zbytku, tem łatwiej popularności dorabiając, ów wcale stołów nie nakrywał, a co najwięcej jeśli kogo kieliszkiem wódki i zakąską poczęstował.

— Ichmościom, co do mnie przychodzą, łyżka krupniku, lub zraz pieczeni u mnie nie są tak bardzo potrzebne, a gdy ja pięćdziesięciu ich na-

karmię i napoję, zrobi mi to dziurę w kieszeni. Wolę ubogiemu dać.

Więc ani namiotu wielkiego nie miał, ani tylu wozów, co inni, ni służby i ciurów. Wystawności też około siebie nie cierpiał.

Gdy obóz po kilkakroć przebrnąwszy, znaleźli się wreszcie w kącie, w którym wołokowy prosty namiot Nadolskiego był rozbity, znaleźli go samego jednego z pisarzem pułkowym nad rejestrem.

Człowiek był już niemłody, zawiedły, suchy, z wąsem podstrzyżonym, z głową wygoloną czysto, odziany tak, że się w nim dowódcy trudno było domyśleć. W namiocie też dostatku wielkiego nie było można dopatrzeć, ale to, co w nim leżało, odznaczało się trwałością i utrzymaniem. Broń lśniła się i błyszczała poczyszczona, siodła aż do sprzążek były powycierane z kurzu i opatrzone.

Sam Nadolski w ciemnej opończy na żupan burackowy wdzianej, w butach czarnych, wyglądał na hreczkosieja więcej, niż na żołnierza, choć życie całe spędził w wojsku. Lecz był to żołnierz swojego rodzaju, którego się szeregowi więcej obawiali, niż okrzykiwali. Żadnemu z nich nie pofolgował, ale też nikomu ze swoich nie dał czynić krzywdy i opiekował się nimi, jak dziećmi.

Wadziło mu i to w oczach towarzyszków broni, że do związków krzykliwych, do burzliwych kół i konfederacji należeć nie chciał; gdy go drudzy pociągali, odpowiadał:

— Każdy ma swój rozum; czyńcie waszmość, jak się im spodoba, ale mnie dajcie pokój. Ja się o żołąd upomnę, ino dla niego nieładu i rozterki a daremnego gardłowania nie chcę.

Oratorem też Nadolski nie był i retorów nie cierpiał; gdy przy nim się który do długiej oracyi zabierał, nakładał kołpak na głowę i szedł precz.

— Wodę warzą! — mówił, machając ręką.

W codziennem obejściu się człowiek był zimny; ani poznać w nim kto mógł tego jakim się on stawał, gdy przyszło wyjść w pole naprzeciw nieprzyjaciela.

Śmiało mu się lice naówczas i powoli rozpalał się tak, że w końcu zwykle porąbany, potłuczony, jak bezprzytomny schodził z pobojuwiska. Dwa razy był w tatarskiej niewoli, a salwował się z niej małym okupem, przez to, że Tatarzy z odzieży i pozoru ludzi szacowali, więc ów niepozorny Nadolski, za ubogiego szlachcica mianowany, lada czem się im mógł opłacić.

Przez czas pobytu swego na Budziaku i w Krymie, nie mając nic do czynienia, krom, że wodę nosił i pono w żarnach im tam proso otłukał

i wyuczył się języka mówionego, co mu się potem często przydawało, ale pisma arabskiego i tureckiego nie znał. Chciał go p. Otwinowski uczyć; podziękował, mówiąc: za stary jestem, a tłumaczem już nie pretenduję zostać.

Człowiek był pocziwości rzadkiej i pobożny; ale z nabożeństwem, gdy drudzy się chwalili, on się prawie ukrywał. Z tego, co czynił, zresztą nie rad się komu tłumaczył.

Nie potrzeba nawet mówić o tem, iż jak drudzy chętni chlebobawcy, co marnowali grosz łatwo, Nadolski popularnym w wojsku nie był, ale go szanowano.

Gdy wszedłszy do namiotu. Xieźki mu siostreńca okazywał i polecał, Nadolski pilno mu się przyglądał, od stóp do głów go mustrując.

Dowiedziawszy się, że ze dworu wprost tu przybywał, trochę się skrzywił.

— Nowicyat jeszcze waszmość u mnie odbywać musisz — rzekł — bo my tu poprostu żołnierze, a przybywasz ztamtąd, gdzie się ludzie rozpieszczają.

— Właśnie też — przerwał Xieźki — chciałem go tu mieć, aby mi nie zbabiał na dworze. Chłop zdrow, a ochotę ma; niech się zahartuje. będzie z niego żołnierz.

— Co daj Boże — dodał Nadolski i spytał Strzębosza:

— Rychło li król pan nasz miłościwy przybędzie?

— Sądę, że wprędce — rzekł Dyżma — bo on sam niecierpliwym był, zwłaszcza, gdy od hetmana Kalinowskiego nadeszły wieści, ale wybór ze dworem nie łatwy, a i królowa jmość przeprowadza...

— Słyszałem o tem i wierzyć mi się nie chciało — odparł Nadolski — ale my tu komedyi grać nie będziemy, na któreby patrzeć zabawką było. Jejmościom, choćby i królowej pani, tu nie miejsce.

— Oprócz królowej innych też pono wybiera się za nią wiele — szepnął Strzębosz.

— Tego nam brakło — zamruczał Nadolski — Kozacy się chyba temu uradują, bo kobiety bez klejnotów i fraszek nie pojadą, a to łup dla nich pożądanym.

Splunął pułkownik, zająrzał potem w rejestr pisarza, który z piórem zawieszonym nad papierem siedział, oczekując na dyktowanie — i rzekł do Xieźkiego:

— Weź że wmość nowicyusza w swe ręce, a na początek mu nie folguj, chcesz-li mieć z niego żołnierza.

Na ucho zaś rzekł Xieźkiemu:

— Papinkowato mi coś wygląda.

I na tem się posłuchanie skończyło, bo Na-

dolski do rejestru powrócił, a to znaczyło, że mu przeszkadzać dłużej się nie godziło.

Powracali już we dwu, przeciskając się pomiędzy namiotami i szałasami, wśród wozów i koni, gdzie częstokroć trudno było jednemu się przesłiznąć, gdy wielka wrzawa, okrzyki, wiwaty, śmiechy zdala się im słyszeć dały od wielkiego namiotu, otoczonego kilku mniejszemi.

Oprócz nich stały w tym samym obrębie wozami opasanym, szałasami, budki i dwie w ziemi wykopane kuchnie buchały obłokiem dymu.

Xieźki się zatrzymał chcąc, gdyby można, uniknąć tego zbiegowiska, które pod namiotem wielkim widać było uczujące. Ściany i opłotki były popodnoszone. Około stołów na beczkach ze drzwi powyrywanych po szopach i stodółach ustawionych, liczne, wesołe bardzo zabawiało się towarzystwo.

— Jak nas tu pochwycą — odezwał się Xieźki — nie łatwo wyrwać się im będzie. U Nadolskiego nie było na czem sięś i gdzie się w kilku obrócić, ale u pana Strażnika polnego Maryana Jaskulskiego, jak widzisz, od rana do nocy, w świątki czy piątki, zawsze tłumno.

Co temu człowiekowi zjedzą i wypiją, starczyłoby na utrzymanie siła żołnierzy, ale Jaskulski ma już taką naturę: gotów koszulę zdjąć, aby go nie posądzono o oszczędność i sobkowstwo. Pewnie

też dzieciom nic, krom długów, nie zostawi. Człowiek z kośćmi pocziwy, żołnierz dobry, rzecz swoją zna, ale worek dziurawy. Co pocznie, gdy nam przyjdzie wyciągać złąd?—nie wiem, bo, że się już wszystkim winiarzom i sklepom korzenym zadłużył... to pewna.

Xięzki szukał napróżno przejścia, któreby mu wyminąć Jaskulskiego dozwalało, ale naprawo urwana była ziemia i stok tak stromy, iż tędy ująć nie było sposobu, a wlewo namioty stały gęsto spojone między sobą wozami, przez któreby chyba przełazić przyszło, co było niepodobieństwem, bo naładowane wysoko niedostępne były.

Nie pozostawało więc nic, tylko się bokiem przesuwac. gdyby można, niepostrzeżonym, co dla Xięzkiego, ulubionego i znanego wszystkim, było całkiem niemożliwem.

To też zaledwie się przybliżyli ku namiotom. Kłodziński, rotmistrz stary, z potężnym kubkiem stojący z kraju biesiadujących, krzyknął:

— Staszek! Stój! hasło! Nie ujdziesz! wzięć go. Nie wie hasła!

A tu już gromadą zpod namiotu rzucili się towarzysze wołając—„Xięzki! Xięzki“, i Jaskulski sam wypadł naprzeciwko niemu, krzycząc:

— Gdzie? gdzie? a dawajcie go tu... dawajcie!

Uchodźć już nie było sposobu.

Przed nimi stał pan Strażnik polny i uśmiechniętą twarzą witał Xięzkiego, jako pożądanego gościa, choć pod namiotem miał już ich więcej pół setka, dobrze podochoconych...

Średnich lat, ale młodo bardzo wyglądający, świeży, rumiany, pięknej twarzy rycerskiego wyrazu, pan pisarz polny miał w sobie coś tak pociągającego, że się jego uprzejmości oprzeć było trudno. Przyjacielski, usłużny, dobry, zawsze gotów i do wypitej i do wybitej, do godzenia spraw, i łagodzenia waśni, był jednym z ulubieńców obozu i znanym niemal wszystkim.

Ze stroju dosyć kuso obciętego nową modą, świeżego i starannie uszytego, choć już potarganego i przy stołach przed czasem poplamionego, widać było, iż Jaskulski ubierać się lubił i chciał wyglądać pięknie. Znano go też i z tego, że do kobiet lgnął, a one za nim przepadały. Wąsik do góry podkręcony, włosy w puklach, oczy czarne pełne ognia, usta rumiane uśmiechające się, policzki różowe, cera świeża, daleko go młodszym czyniły, niż był.

— Xięzki — wołał — a nie czyni że ty mi tego dyzhonoru, abyś mój namiot pominął, ust nie umoczywszy, chleba nie przełamawszy.

— Strażniku kochany — wołał Xięzki — czasu nie mam, prowadzę nowo zaciężnego siostrzeń-

ca, którego trzeba od stóp do głów oporządzać, a czasu mamy skąpo.

Wskazał na Strzębosza.

— A-no to właśnie nowo zaciężnego trzeba oblać! — krzyknął Jaskulski — musi być przecie ochrzczonym.

— Strażniku mój — przerwał Staszek. — Ten z Warszawy wprost ze dworu jedzie, a tam niechrzczonych nie żywią.

Porwano tymczasem, już się nieopierającego Xięzkiego, prowadząc pod namiot, a Strzębosz musiał iść za nim. Stół, do którego ich napędzono, był już do zdobytego miasta podobny. Nie zbywało na nim na pełnych jeszcze misach i dzbanach, ale opróżnionych z zastygłymi saporami było więcej jeszcze, a pokruszonego chleba, powywracanych szklanek i kubków walało się mnóstwo. Na ziemi też potłuczone szkło pod nogami dźwięczało. Niektórzy z biesiadników siedzieli jeszcze kupkami przy dzbanach, kilku, na rękach złożywszy głowy, spało niewywcisowanych, najwięcej około stołu wędrowało potracając się, łącząc, rozchodząc, i głośne zawodząc rozmowy.

Chmiel, Tatarzy, król, pospolite ruszenie, pułki panów przyobiecane stanowiły treść wszystkich gawęd.

— Tym razem — mówił jeden z olbrzymiemi

wąsami rozrosły i obcisło odziany szlachcic, na którym odzież zdawała się pękać, tak ciasno na nim leżała, co budowę jego ciała ogromną, silną i kształtną doskonale uwydatniało — tym razem, mości tego, pospolite ruszenie zawodu nie uczyni, zewsząd są wiadomości najlepsze. Sami wojewodowie prowadzą, księżę Dominik też idzie!

Rozśmiał się pogardliwie, rzucając ramionami.

— To tylko enigma, jak długo szlachta wytrwa z nami w polu, bo ona za domem zateśkni, a jak jej się krupniku jejmościęgo zechce, żadna siła nie strzyma!

— Ja dłużej, jak za sześć tygodni nie ręczę — wtrącił drugi.

— A gdy wojna się tak prędko nie skończy, to co? — spytał wąsaty olbrzym.

— To nam ona spadnie na ramiona — zawołał inny — ani chybi, i będziemy musieli sami reszty dokonać.

— A ja sądzę — rzekł inny — iż chyba Bóg nie łaskaw, nawet czterech tygodni cała sprawa nie potrwa. Takiego wojska, jak oto nasze będzie, ani Tatarowie, ani Kozacy nie widzieli jeszcze. Gdy potężną nawałą padniemy na nich, zgniemy na miazgę.

Stojący obok niedowierzająco się rozśmiał.

— Tymczasem, mówią—zawołał ktoś z boku— że Chmiel Hana zapraszając i namawiając go do zerwania traktatu, zapewnił, iż tylko teraz iść ma po łupy, a będzie z tego ula podkurzonego miód brał garściami, pszczoł się nie mając co obawiać.

— Han też się dał namówić — rzekł inny. — Wleczę się z ordą ogromną, słyszę i dewastacyjne straszne.

— Pomścimy je — wtrącił nadchodzący Jaskulski. — Wiem z pewnością, że król, mając wyciągnąć radził się astrologów; gwiazdy okazują zwycięstwo wielkie...

— Ja gwiazdom nie wierzę! Szalbierze są — zamruczał inny.

Xięzki i Strzębosz, podziękowawszy za jedzenie, musieli przecie z gospodarzem po kubku wychylić, a Dyzmę, jako przybywającego z Warszawy, zaraz wzięto na spytki, co się tam działo; musiał rozpowiadać, że się gotowano iść i jechać bardzo rychło...

— Słyszę — rzekł Jaskulski — iż do Lublina Nuncyusz przybywa do króla; zamówiono mu już kwaterę. Lubomirski też, marszałek, który króla sobie naraził, jedzie podobno go tu przebłagać.

— Wątpię, aby tego dokazał — odezwał się

Strzębosz — gdyż pan zagniewany na niego mocno.

— Prawdę rzekłszy, jest za co, choć się to w żywości trafiło, a marszałkowi zdało się, iż jemu to ujdzie... Czem p. Żytkiewicz czy Żydkiewicz przy Lubomirskim.

— Bądź wmość zdrów—rozśmiał się Xięzki— nie wiem jak stare jest szlachectwo p. Instygatora i czy się od żyda czy żyta wywodzi, ale o tem wie cała Rzeczpospolita, że gdyby nie sól, Lubomirscy by też nie wiele więcej znaczyli od Żydkiewiczów. Z soli oni urosli.

— A oto sól im teraz biedy tej narobiła—rozśmiał się Jaskulski.

— Przesolili — rzekł Xięzki.

Wszyscy się śmiać poczęli, choć nie było w tem wiele dowcipu, ale znano Xięzkiego z jego zarobliwości; więc ci nawet, co nie słyszeli konceptu, jak tylko usta otworzył, na kredyt się już uśmiechali.

— Ja się o Lubomirskich nie boję — zawołał któryś ze szlachty nad stołem. — Mają za sobą królową, albo ją mieć będą, pomogą im Radziwiłłowie i duchowieństwo; a nasz pan, daj mu Boże panowanie, mściwym do zbytku nie jest.

— Mówią jednak, że napaść na łysinę p. Instygatora król porównał do Piekarskiego krymi-

nału, bo Żydkiwicz majestat w sądzie reprezentował.

— Żydkiwicz będzie miał rozum — wtrącił Xieźki—guz na czole już dawno znikł. Nie wiem czy nawet siniec po nim pozostał, za prędkość swą Lubomirski zapłaci i król go do łaski przypuści.

— Wszystko to być może — odezwał się Jaskulski — ale z drugiej strony król pan nasz, podczas jest surowszym niż bywał. Ani go poznać teraz, jak powiadają; na wyprawę idąc, czuje potrzebę rygoru...

Obrócono się do Strzębosza.

— Co waszmość na to?—spytał jeden—wszak ze dworu wprost jedziesz?

— W samej istocie — rzekł Dyzma — N. Pan surowszym jest nieco przed tą wojną; lecz na to też rachować trzeba, że królowa wiele może a ona Lubomirskiemu będzie posiłkowała.

— Ale, bo szkoda-by marszałka postradać dla Żydkiwicza — rzekł Jaskulski.

Rozmowa się tak potoczyła i ode dworu przeszła na wojsko. Poczęto wyliczać, co który z panów prowadził.

— Dwaj bracia Piaseccy, niezamóżna tak da-lece szlachta, swoim sumptem pułk stawia—rzekł ktoś.

— Cóż więc dziwnego, że Radziejowski z raj-

taryą wystąpi, którą z cekhausu Kazanowskich uzbroi?

— Radziwiłłowie sami albo pięć lub więcej pułków prowadzą — dodał ktoś inny.

— Fredro szlachcie, sto koni!

— Denhoff kilkuset ma także.

— Książę Dominik kilka chorągwi — odzywali się z kolei goście.

— Na księcia Dominika tego mało, kiedy Piaseccy pułk dają—przerwał Xieźki—zmierzwszy siły więcej waży stu pana Fredry, niż tysiąc pana Zamoyskiego.

— Zamoyski więcej postawi!—stanął w obronie inny.

Wogóle wszyscy bezpiecznie się na przyszłość zapatrywali. Pomimo dochodzących wieści o splądrowaniu przez Kozaków kilku miast, które otwarte stały, nie tracono ducha, bo zarazem, gdziekolwiek obronny był gródek i jakkolwiek wał a palisady, tam się załogi broniły zwycięzko.

Popłoch, jaki panował po Piławieckiej, dawno już przeszedł, chociaż sprawcom sromoty dotąd nie przebaczone.

Nasłuchać się też było można wprzód poważniejszych rozmów i bardzo płochych a nie świeżych historyjek, któremi się częstowano, pobudzając śmiech niewybrednemi środkami.

Tu i owdzie dawaly się słyszeć piosenki, które tylko w męzkim towarzystwie nucone być mogły.

Inni targowali się o konie i mieniali je z sobą, co natychmiast wszystkich poruszało zpod namiotu, bo je podprowadzać kazano; wybiegali oglądać, opatrywać, a nawet przejeżdżać ochotnicy, sprzeczano się, dobijano targów.

Koń w tej chwili, przed wyprawą był dla szlachcica droższym nad wszystko, dobry życie ratował, złego można niem było przypłacić; każdy się też starał o to, aby jak najpewniejszego pozyskać, choć za drogie pieniądze.

Byli też tacy, co, na frymark wierzchowcami rachując, umyślnie je tu z sobą prowadzili, jakby na potrzebę własną, i niechętnie się ich pozbywali. Lecz sztuka ta niedługo służyła, za drugą, trzecią zmianą wystrzegano się tranzakcyj potajemnych, — było też i jawnych dosyć, bo i Żydzi i Tatarowie tabunami przypędzali konie dla wojska, które ich zawsze potrzebowało.

Ten, co się najlepiej wybrał z domu, nieraz po drodze tracił, co miał najdroższego, i starać się musiał czemś zastąpić.

Przed namiotem więc też było na co patrzeć, bo i czeladź i panowie na koniach harcowali, uganiali się, wyścigali, a że jeszcze było niewiele, musieli zręcznie się z niemi wywijać.

Nierychło udało się Xięzkiemu, dawszy znak Strzęboszowi, powoli się od stołu, z namiotu i taboru tego wydobyć dalej, starannie omijając inne podobne gościnne szalasy, w których śpiewy, muzyka i śmiechy się rozlegały.

— Wszystko się tak wesoło rozpoczyna — rzekł Xięzki — choć często kończy bardzo smutnie. Daj Boże, abyśmy z tym humorem na hiberny powrócili. Nie wątpię ja o sukcesie, lecz się lękam, gdy człowiek sobie zrazu zbyt wiele obiecuje.

Pierwszy raz zbiorowisko takie wojska widząc, Strzębosz, jak rozmarzony i upojony, powracał do gospody. Inne się tu wcale zapowiadało życie, do którego nie nawykł. Czuł, że istotnie, według wyrażenia Nadolskiego, nowicyat mu odbywać przyjdzie.

— Rachuj i na to — dodał Xięzki — że nigdy on się bez guza nie obejdzie. Choćbyś nie chciał wyzwą cię na rękę dla najbliższego powodu, aby spróbować, jak szablą robisz.

— Nie obawiam się tego — rozśmiał się Dyzma — bo mi się zdaje, że sobie z nią nieźle porządek potrafię....

VIII.

Zdawało się, że wszystko, co żyło ciągnęło teraz do Lublina z królem lub za królem, chociaż nie się tu rozstrzygać nie miało i pospolite ruszenie na Konstantynów było naznaczone.

Lecz, mówiono, że Jan Kazimierz, pobożny wielce, chciał na wyprawę być pobłogosławionym drzewem Krzyża Ś-go, którego, jak wiadomo, obłamek bardzo znaczny przechowywał się w kościele X. X. Dominikanów; zapowiadało też błogosławieństwo, które tu Nuncyusz Papieżki miał przywieźć z Rzymu.

Wszystko to, sprowadzało i tych, co potrzebowali się tu znajdować i takich, których prosta ściągnęła ciekawość, a naostatek tych także, co w mętnej wodzie ryby łowią, lub przynajmniej wodę mącą.

Do tych ostatnich mógł się zaliczyć swego czasu najsłynniejszy gardłacz i warchoł, nie-

ustępujący żadnemu z tych, co za Batorego na sejmach rozpoczęli wojowanie z majestatem dla okazania potęgi szlacheckiej, pan podczaszy Sandomirski, Maciej Dębicki.

Należał on do liczby tych, co zamiast dworowi się kłaniać i przypochlebiać, wojną i groźbami starali się wymódl na nim czego pożąдали, a wreszcie lubowali się w tem, że ich szlachta, jako obrońców złotej wolności, znała i wynosiła.

Przyjaciół serdeczny p. Radziejowskiego, gotował się pan podczaszy, jakby tylko wybiła godzina uderzenia na króla, stanąć u boku i pod chorągwią podkanclerzego.

Nie majątny ani ubogi, nie wielkiej prozapii, ani znaczenia na swoich śmieciach, podczaszy zabierał się w sprawach Rzeczypospolitej występować tak, aby się z nim liczyć musiano. Nie wiele więcej na to było potrzeba nad ogromne zuchwalstwo, a tem równie, jak przyjaciel Radziejowski, był Dębicki sowiec obdarzonym. Postawę miał nadającą się na takiego sejmikowego trybuna niczem się zbyt nie odznaczającą a przyzwoicie pokąsną. Dosyć otyły, ramion szerokich, na grubym karku miał osadzoną głowę o policzkach rumianych, kilku brodawkami przyozdobioną, usta szeroko rozcięte z wargami wydatnymi, wąs rudawy szorstki i twardy i włosiem takimże okrytą głowę, jak gąska, okrągłą.

Słyszał, jako orator, ale to była wymowa łatwa owych czasów, *vox, vox praetereaue nihil*,—słowa ogromne, sążniowe głosem doniosłym wywoływane, a niekiedy dosadnym wykrzykiem przypieczętowane. Dębicki znał wagę tych kilku wielkich argumentów ulubionych szlachcie, któremi się naówczas posługiwano, i niemi wojował. Wiedział, co było źrenicą wolności, a co stanowiło palladium swobód rycerstwa, jakimi środkami dobijano się *absolutum dominium*, co był kontempt prawa, i że to prawo stało wyżej nad wolę pańską i t. p. Dla niego każdy krok i czynność króla była podejrzaną, we wszystkim widział dworskie praktyki. Nikt lepiej nad niego nie znał skandalicznej kroniki głów panujących, które rodziła się na prowincyi i na niej rosła do *absurdum*.

Oppozycja przeciwko królowi, ciągnęła za sobą nienawiść tych co najbliżej niego stali i względny pozyskać sobie umieli. Za Władysława IV tacy jak on wywołali tytuły cudzoziemskie i zakon order Niepokalanego Poczęcia w pieluchach udusili, dla równości szlacheckiej,—a za Kazimierza, gdy ten włóścian byt pragnął polepszyć, zakrzyknęli przeciwko niemu, jako gwałcicielowi przywilejów szlachty.

Dębicki z powołania był warchołem.

Gdziekolwiek się na narady cokolwiek liczniej

zbierano, powołany czy nie, śpieszył tam, aby wrzawy narobić i zgody nie dopuścić. A nie szło mu nigdy o samo jądro i treść rzeczy, ale tylko o dobrą zręczność do popisu: otom jest, ja, stróż pilny, i na stanowisku czuwam.

Wojsko się ściagało do Lublina; mieli tu przybyć królestwo oboje z panami kanclerzami i podkanclerzami: jakżeby miało Dębickiego zabraknąć?

W potrzebie, choć nie zbyt zamożny, pan podczaszy podejmował nawet sam szlachtę u siebie, chociaż wołał razem z nią na cudzym chlebie krzyczeć. W ostatecznym razie otwierał i on szeroko gospodę u siebie, a szlachecka równość służyła mu za wymówkę, iż prostą gorzałką, piwem, cienkim węgrzynkiem poił, a chlebem razowym, kielbasą wędzoną, serem i bigosem, we właściwej porze ogórkami kwaszonymi zbywał panów braci.

Przyczem przeciwko zbyt, naturalnie, cudzoziemskim obyczajom i kondymentom zagranicznym wykrzykiwał. Nie przeszkadzało mu to u możniejszych zajadać pastetów i pulpetów najwykwintniejszych, a wina hiszpańskiego wysoko cenić. Doma jejmość musiała sobie dawać rady z dziećmi i gospodarstwem. Podczaszy cały należał do kraju i dla niego pracował tak, że w domu rzadkim bywał gościem, a często le-

dwie przenocowawszy, ruszał dalej na zjazdy i sejmiki.

Znano na nich podczaszego, a on też ludzi znał tysiące, szczególnie tych, co mu się prowadzić dawali. Dotąd jednak gardłowanie go nie doprowadziło jeszcze do niczego; dopiero poznanie się i serdeczne poprzyjaźnienie się z Radziejowskim, miało go, jak się spodziewał, wyżej podźwignąć.

Podkanclerzemu właśnie do tego, co zamierzał, potrzeba było takiego, jak Dębicki, człowieka, a podczaszemu takiego, jak on, wodza.

Na zawołanie mógł Dębicki wywołać burdę i choćby rokosz, aby podkanclerzy miał co uśmiezczyć i tym sposobem rosnąć w potęgę.

Obaj oni ani miłości Rzeczypospolitej ani sumienia nie znali, a celem dla nich było wynieść się i zbożać w jakikolwiek sposób. Doskonałym narzędziem był dla Radziejowskiego podczaszy.

Wcześniej spodziewając się go tu zastać—Dębicki ściągnął do Lublina i dowiedział się tu dopiero, że Radziejowski razem z królem i żoną przyjedzie.

Nie tracąc więc czasu — między wojskowych się puścił, mając wśród nich znajomych. Wprawdzie tu warcholenie tak łatwe i swobodne nie było, bo pewna karność powstrzymywała od niego, ale i niespokojnych duchów dosyć było —

a posiać ziarno, z którego związek mógł urosnąć, — uśmiechało się.

Nie było oddziału ani pułku, któremaby żołd nie zalegał: więc, pocisnąwszy tę sprężynę, zawsze się coś poruszyło.

Drugiego dnia po przybyciu już pan podczaszy uczłował na obozowisku, gdzie przeciwko okrutnej operacji wojska narzekał, i marnowaniu poborów na fantazje, gdy żołnierz Rzeczypospolitej marł bezpłatny z głodu.

Wielu mu potakiwało i przyklaskiwało.

Trafiło się tak, że Xieźki ze Strzęboszem, nie u Jaskulskiego już, ale u p. Gabryela Stępkowskiego, spotkali się z podczaszym Dębickim, który, puściwszy językowi wodze, po kilku kubkach począł się z króla naśmiewać i różne na niego rzeczy wymyślać. Zgadało się właśnie, iż królowa, a z nią i inne panie, za Janem Kazimierzem ciągnęły do Lublina.

— Nasz-bo miłościwy pan — odezwał się podczaszy — białe mięso lubi. Oho!

— Między innemi—dodał—cały to świat wie, iż zdawna mu terazniejsza pani podkanclerzyna Radziejowska jeszcze za życia pierwszego męża była bardzo miłą — ale z p. Hieronimem nie to co z Adamem; on i królowi potrafi powiedzieć: Al! zasię!

Strzębosz, który tuż stał, a jako dworzanin

królewski bronić go czuł się w obowiązku, nie czekając długo, krzyknął:

— Jako dworzanin króla, dobrze jego spraw świadomy — zadaję tej potwarzy kłam! Nieprawdą jest, aby król kiedykolwiek czem innym był dla podkanclerzyny, krom jej opiekunem.

Drżącym a namiętym głosem rzucone to zaprzeczenie, jak piorunem raziło Dębickiego — odwrócił się groźny.

— A Wmość kto jesteś, abys mi to śmiał mówić?...

— Dyźma Strzębosz, dworzanin króla JMości, do usług — zawołał młody, prostując się — a com rzekł, to gotowym poprzeć na wszelki sposób.

I po szabelce się uderzył.

Nie pozostawało już nic tylko z pochwę dobywać, ale Dębicki do tego tak skorym nie był. Wolał językiem szermować.

— Miło mi waszmość pana poznać — odparł tonem pogardliwym — ale ja też z palca nie wyssałem, co mówię i nie potrzebuję taić, że przyjaźnią się szczególną p. podkanclerzego zaszczycając, mówię to, co gruntuję na własnych męża zwierzeniach. Gdyby p. Radziejowski temu nie położył tamy...

— P. Podkanclerzy — burknął Strzębosz — z żoną, choć niedawno zaślubioną, nie żyje dobrze: co za dziw, że na nią wymyśla?! Ale zły to ptak....

Wtem, nie dając mu kończyć, z okrutną gorącością porwał się podczaszy do szabli w rapciach zaplątanej, pewny, że mu jej tu dobyć nie dopuszczą i posunął się na Strzębosza.

Temu się aż oczy śmiały, a ręka drżała, gdy za rękojeść chwycił.

Ale Dębicki wiedział dobrze, iż do rąbaniny nie przyjdzie. Poskoczył Xięzki.

— Bój się ty Boga! — zawołał — ledwie trzeci tu dzień jak jesteś, a oto już burda.

— Jam jej nie poczynął — odparł Dyźma — a że na króla jmości lada jakiej potwarzy wieszać nie dopuszczę, tego mi nikt pewnie za złe nie poczyta. Wolno p. podkanclerzemu swoich przyjaciół okłamywać, ale N. Pana szarpać nie godzi się.

Dębicki rwał się ciągle.

— Tu ciasno — rzekł Strzębosz — wyjdźmy za namiot, ja, da-li Bóg, placu p. podczaszemu dotrzymam.

Przypadł gospodarz, mitygując, do Strzębosza.

— A nie zakrwawiajcież mi chwili dobrej myśli — zakrzyknął — bić się nie ma o co. Podczaszy sam się tłómaczy, że *relata refert*: nie winien temu. Chodziły o tem pogłoski, a źleby się królowi przysłużył, ktoby je za tak ważne poczytywał, żeby aż oręża przeciw nim dobywać mu było potrzeba.

Pierwszy się dał poskromić Dębicki; Strzębosz zaś, powiedziawszy sobie, co się odwlecze, to nie uciecze, okiem tylko rzucił pogardliwym na warcholę — i odstąpił milczący.

Xięzki go pod rękę ujął.

— Chodźmy ztąd — rzekł — nie radbym, ażebyś z nim zadzierał.

— Miałem pana mojego krzywdę i potwarz na niego rzuconą puścić płazem? — odparł Strzębosz. — Godziłoż się to?

Wychodzili zpod namiotu.

— Żeś stanął w obronie króla, to ci się chwali — dodał Xięzki — wiedziałem, że to uczynisz. Obowiązek był, a no, kiedy się bez krzesania ognia obeszło, daj mu pokój. To warchoł jest, nie do szabli, bo-byś go wyplazował łącno, ale mściwa i złośliwa bestya, a ludzi swych wszędzie ma. Obchodzić go i nie tykać gnoju!

Dyzma westchnął, bardzo mu się żal zrobiło, że go okazyjka minęła okazania i odwagi i zręczności; ledwie go Xięzki pocieszyć tem mógł, że zwycięstwo nad niezgrabnym kłosem sławy-by mu nie przyniosło, a szkodę uczyniłoby łatwo.

— Przyjacielem mi przez to się nie stanie, zem go wypuścił całym — rzekł Strzębosz.

— A przyjaźni też ty jego nie potrzebujesz — dodał wuj — ale, że o tem wszystkim będzie wolał milczeć, za to ręczę.

— Ba! — zamruczał Dyżma — gdy mi się jednak nawinie, a postawi...

Xięzki ruszył ramionami.

— O, gorąca krwi! — zawołał — jakby ci jej upuścić potrzeba! Czekaj mało! Za jednego Dębickiego byleś znajomości trochę w obozie napytał, będziesz miał okazji dosyć do rąbania się.

Siła to takich, co na waszmościów nowo przybywających czatują i czekają, a nie przepuszczają. Schowaj-że się na to, co niuchronne, bo, że niuchronne, ja ci mówię.

Na tem się z p. Dębickim skończyło i było cicho. Nie miał on ochoty wznawiać sporu i nikogo od siebie nie przysłał, a Strzębosz też miał do czynienia wiele. Zaraz tegoż dnia dwu dawniejszych dworzan króla, z którymi razem służył przed paru latami, spotkał. Byli to bracia Łąccy, towarzysze pancерnej chorągwi, chłopcy wesołe, myślący tylko, jak czas spędzić, jak najprzyjemniej i szukający sobie dobrych ku temu pomocników. Pochwycili więc Strzębosza, nie chcąc go puścić od siebie.

Stali obaj w mieście i w domu u nich na małą skalę toż samo się po całych dniach działo, co u Jaskulskiego.

Jadł i pił kto chciał i przychodził, a w dodatku braterstwo panowało wiecznie. Grano w kości

i w karty, do czego Strzębosz wstręt miał, a i pieniędzy szczerdzić musiał.

Nie mieszając się więc do gry, musiał z niemi siedzieć i zabawiać się. Pierwszy dzień zszedł spokojnie, drugiego się rąbano w podwórku kamienicy; ale Strzębosz tyle tylko, że pokaleczonego Łąckiego obwiązał i położył.

Na trzeci dzień, przy śniadaniu, sam Dyzma nie wiedział, jak się ze starym wásalem Rokosowskim przemówił. Oczywiście było, że ten szukał zaczepki i chciał się na młokosie popisać.

Nie dokonczyli jeść, gdy w tejże izbie Rokosowski stanął, wywołując Dyzmę obelżywie smarkaczem i szablą wywijając.

Strzębosz skoczył, jak oparzony, prawdą a Bogiem, jednak mrowię po nim poszło, bo chłop był silny i szermierz doskonały. Szczęściem tylko dla Dyzmy drugie już śniadanie jadł i piwo z winem i gorzalką pomieszane w głowie mu szumiało.

Skoczył na Strzębosza obcesowo, a nieogłędnie tak, że ten go odrazu po uchu płaćnął. Krew się polała, ale Rokosowski jej nie czuł — i krzycząc: — Ja cię tu nauczę, młokosie — parł go do kąta, gdy Dyzma, odbiwszy mu pałasz, w prawą rękę chłasnął tak, iż wytrącił broń. Przypadli Łąccy; porwano rozwścieczonego starego, ale o rąbaniu się mowy być nie mogło, bo się zaraz rozcho-

rował z przejedzenia... Zgodę więc uczyniono i zapito, a Rokosowski tymczasem, obowiązany, na tarczanie zasnął.

Tak się tedy odbył pierwszy występ dworzani-
na j. król. mości w najszcześliwszy sposób, bo i szwanku nie poniósł żadnego, i znanego jako doskonałego rębacza Rokosowskiego pokonał.

Gdy się z tego przyszedł spowiadać wieczorem Xiężkiemu, śmiał się wuj i ścisnął go, ciesząc się wielce.

— Tyś się w czepcu rodził! — wołał. — Fama pójdzie, żeś Rokosowskiego obciął; to cię już nikt nie zaczepi, a i to dobre, bo nieustannie się ścinać — karczemna rzecz.

Mógł więc potem już swobodnie po obozie krążyć Strzębosz, zabawiać się z młodzieżą, koni próbować, z łuku strzelać, przypatrywać się ludziom i broni, nie obawiając się zaczepki. Uchodził za wypróbowanego. Ci, co słynęli z tego, iż się doskonale bili, wprawdzie mieli ochotę się z nim zmierzyć, ale Dyzma był łagodny i rozbrajał się tem, że sam nigdy do zajścia powodu nie dał.

Dla niego zaś wistocie było się tu czemu przypatrzeć, bo różnej broni i z nią obejścia się w każdym oddziale dosyć było rozmaitości.

Wielu tylko dla stroju łuki i sahajdaki ozdobne nosiło jeszcze, choć się niemi nie posługiwali, drudzy jednak strzelali i tem się chwalili, nie

pogardzając lukami. Słyszał między innymi Pogorzelski stary, który ze sobą nie luk, ale kuszę woził, i zapas bełtów, a niemi dokazywał tak, że i kulą nie można było lepiej, ale to tylko za osobliwość służyło, bo do boju w polu kusza się na nic nie zdała dla ciężaru i czasu, którego wymagało naciąganie.

Na występ i do stroju wdziewali wojskowi i tarcze, a niektórzy, co już z Tatarami do czynienia, mieli bawili się rzucaniem arabskich dżerytów, oszczepów, któremi Orda cudów dokazywała. Pistolety i muskiety były też w użyciu stare i nowe, coraz doskonalsze, które zza granicy sprowadzano, ale z tych wiele raczej jako cacka i zabawki okazywano, a w bitwie trudno ich użyć było. Kopii nawet przeciwko Tatarom i Kozakom, którzy szeregami do bitwy nie szli, używać nie zawsze było można, i jak pod Zborowem, na wozach je pozostawiano.

Dobra szabla, obuch a koncerz były dla żołnierza głównymi—i o to się przedewszystkiem starano; a gdy kto się do swojej nazwyczał, za żadne skarby świata-by jej nie oddał. Nie szło o oprawę i pochwy, bo te najczęściej niepozorne były, ale głównie o hart. Z taką szablą naówczas szlachcic chodził, jeździł i niemal sypiał, bo ją kładł albo przy sobie, albo pod poduszkę.

W kilka dni po przybyciu Dębickiego do Lu-

blina, choć człowiek był nie znaczny napozór, już go tu czuć było. Rozprawiano o takich ewentualnościach, o których wprzód nikt ani myślał; zapłata wojsku zalegająca, trwanie pospolitego ruszenia, naostatek główne dowództwo nad armią całą—zaprzętały umysły.

Znaczniejsza większość trzymała z Jeremim Wiśniowieckim, który nadzwyczajnie miał szczęście, ale też hetmanem był surowym i rozumnym. Nikt lepiej Kozactwa, ich sztuki, sposobu wojowania i postępowania nie znał nad niego. Chmiel drżał, imię jego słysząc, i krwi się jego domagał. Żołnierze mając go nad sobą, bezpieczni szli, bo wiedzieli, że dniem i nocą czuwa.

Lecz im więcej się szerzył odgłos tego imienia, im ono częściej się na ustach wszystkich spotykało, tem między współzawodnikami, hetmanami i starszyzną budziła się zazdrość większa i niechęć przeciwko niemu.

Samego króla już zawczasu przestrzeżono i tak usposobiono, że gdyby Jeremiu buławę dał—on sławę jego zaćmi i całe zwycięztwo jemu będzie przyznawane. W obozie już teraz jedni trzymali za nim i sławili go, drudzy się obawiali i odstręczali, a wszyscy dworacy, którzy wiedzieli jak Jan Kazimierz sławy był żądny,—Jeremiego mu strzedz się radzili. Król, też przestrzegany, uprzedzony, jak go przy koronacyi

one w jednym się godziły: że śpieszno na pomoc iść było potrzeba Winnicy i Kamieńcowi, na który się Kozacy gotowali, spodziewając się go ubiedz.

Kalinowski tam, jak mówiono, bardzo dzielnie się bronił i zabiegał, lecz, przeciwko nierównie większym siłom stawać zmuszony, długo się trzymać nie mógł.

Kamieńca wprowadzie samo położenie broniło, lecz obleżenie, gdyby się przeciągnąć miało, głódby był nie dał wytrzymać a i zdrady zewsząd obawiano się. U Kalinowskiego też w wojsku nieład i burdy powstawały, gdzie pod Winnicą do rabunku wozów własnych przez niesfornych przyszło, a starszyzna w nocy z rozhukanymi ludźmi poradzić sobie nie umiała. Ciszej szeptało, że w wojsku na Ukrainie i Podolu popłoch był taki, iż, nie widząc nieprzyjaciela, gromadami ludzie uchodzili. Kalinowskiemu więc, co najspieszniej na pomoc dążyć należało.

Król i dwór, choć pośpieszano wistocie, nie mógł się wybrać, jakby przy takim niebezpieczeństwie nagłym potrzeba było. Nie o Kalinowskiego szło, ani o Kamieniec, w którego moc wierzone, ale o nadanie pochodowi temu króla uroczystości wielkiej i rozgłosu. Stała o to królowa wielce, a przez nią natchniony, król niemal, jak na krucyatę, się wybierał, z obrazem cu-

downym, z błogosławieństwem stolicy apostolskiej i mieczem poświęconym.

Wszystko to i ducha natchnąć miało w wojsku i wroga przerazić.

Do Lublina ściągali się ci, co królowi towarzyszyć i co go tu żegnać mieli. Strzębosz codzień nowe spotykał twarze znajomych, którzy dwór poprzedzali. Nadjechał też i marszałek Lubomirski, chociaż król mu się zakazał pokazywać na oczy: wnoszono więc, że tu znajdzie przyjaciół i pośredników, którzy zgodę i przebaczenie wyjednają.

Po pierwszych od Kalinowskiego doszłych wiadomościach o wzięciu Jampola, o przejściu pod Winnicę i zamknięciu się w Kamieńcu, nadbiegły późniejsze, iż Chmiel, siły swoje na trzy części rozdzieliwszy, sam szedł wprost przeciwko królowi, drugich pod Konstantynów wyprawił, a ostatek pod Kamieniec.

Z każdym tedy dniem w obozie się ruch powiększał i przysposobienia do gotowości dopełniały, a z niecierpliwością wielką wyglądano przybycia królestwa obojga, o których jednego dnia głoszono, że się do niej sposobili dopiero.

Strzębosz miał dobry czas do nowego dla siebie życia nawyknąć, do czego mu wuj pomagał, umyślnie go narażając na posługi różne, aby się przed pochodem do nich wdrożył.

IX.

Po długiem oczekiwaniu w ostatku poprzedzający króla stanowniczowie, wozy, służba i przybory do Lublina przybyły, a dosyć pięknego dnia wczesnej wiosny, Jan Kazimierz też sam, chociaż w niezbyt świetnym i licznym orszaku, ale we zbroi i szyszaku, z uroczystością wielką odprawił wjazd do miasta. Za nim królowa jejmość w kolebce sześciu woźnikami białymi ciągnionej, francymer też w innych niemniej ozdobnych powozach wprost do kościoła zjechał. Przybyłych nuncyusz papieżki de Torres wraz z licznem duchowieństwem oczekiwał.

Dnia tego jednak oprócz krótkiej modlitwy żadnej ceremonii nie było i dopiero ją na trzeci dzień zapowiedziano; przyczem ogłoszono, że Ojciec Święty, na tę wojnę błogosławiąc króla, poświęcony miecz i szyszak wraz z listem przysłał, królowej zaś, według obyczaju, różę złotą,

jaką i matka Jana Kazimierza niegdyś z Rzymu otrzymała.

W orszaku królowej, oprócz jej Francuzek, znajdowała się też niemal sama jedna z pań polskich podkanclerzyna Radziejowska, która chociaż z mężem jechała, wzięto z tego assumpt do wznowienia potwarzy, jakoby nie dla Maryi Ludwiki, ale dla króla podróż tę przedsięwzięła.

Trzeciego dnia, na który po nabożeństwie oddawanie miecza i szyszaka zapowiadano, do kościoła taki natłok się ludu zgromadził od rana, iż strażę u drzwi postawić musiano.

Z wojska prawie wszystka starszyna także zbiegła się, aby się ceremonii przypatrzeć.

Nie widział Lublin od niepamiętnych czasów takiej frenkwencyi, ani tak świetnych orszaków, jak dnia tego... Z podziwieniem też niektórzy dostrzegli, że oprócz innych Lubomirski, od oblicza królewskiego odsądzony, także się znajdował w kościele, gdzie go duchowieństwo szczególnie nuncyusz i gromadka biskupów, osłaniało.

Chociaż starano się to w tajemnicy utrzymać przed królem, że za Lubomirskim silne wstawienie się do niego publicznie zarządzonem być miało, tak, iż odmowa stawiała się prawie niepodobieństwem, Radziejowski, który rad wszyst-

ko psuł a do Lubomirskiego szczególnego nabożeństwa nie miał, dawszy królowej słowo, że nie zdradzi, umyślnie o tem Jana Kazimierza uprzedził. Może gdyby to kto inny uczynił, zapobiegłby zagniewany a chcący surowość okazać wielką; Kazimierz go do siebie przypuścił, lecz sprawę zbył milczeniem i uczynił jakby o niczem nie wiedział.

Oddawanie miecza przy przemówieniu i odcytaniu listu papieżkiego, potem wręczenie róży poświęconej Maryi Ludwice, trwało bardzo długo, bo i odpowiadać a dziękować w imieniu obdarczonych musieli naznaczeni oratorowie, naostatek nuncyusz wraz z tymi, co go otaczali, doprowadziwszy winowajcę Lubomirskiego, który przed królem przyklęknął, poczęli go suplikować i prosić, aby mu przebaczyć raczył winę.

Wszystkich oczy zwróciły się naówczas na króla, który poblądł, postawę przybrał wielce poważną i surową, a zrazu cofnąwszy się—odrzucał prośby, okazując, że przeciwko prawu i majestatowi trybunału wykroczenia darować nie może. Za czem ponownie z usilnością wielką nuncyusz, kanclerz Leszczyński i co tylko było senatorów, otoczyli króla, obiegli, a królowa też przystąpiła łącząc swoje pośrednictwo, tak, że Jan Kazimierz przed ołtarzem i krzyżem stojąc,

na Chrystusa, który przebaczył oprawcom swoim, zakląty, dłużej opierać się mógł.

Zamruczał tylko król, iż pewne warunki przebaczenia nałożyć musi, i tak to przytowane staraniem Radziwiłła kanclerza szczególniejsze przedjednanie, (który u duchowieństwa miał dla pobożności swej zachowanie wielkie), przyszło do skutku.

Nie mniej za porywczosć swą i nieposzanowanie sądu Lubomirski drogo zapłacić musiał, bo nielicząc tego, co Instygatorowi Dawidowi Żyd-kiewiczowi wyliczył, w sprawie samej folgować musiał i w łasce u króla niepowetowaną poniósł szkodę.

Strzębosz, tego dnia z łatwością się zwolniwszy ze swych obozowych obowiązków, natychmiast pobiegł do przyjaciół i znajomych, do dworu i do chorągwi królewskiej, w której wielu z towarzyszków jego zapisanych było, aby upragnionego dostać języka, czyli co nowego nie zaszło.

Tyzenhauz, który na służbie swej przy osobie króla pozostał, a był z nim dobrze, najlepiej mógł go objaśnić, jako też chętnie się dał zaprosić i co zaszło od wyjazdu z Warszawy, opowiedział.

Miał on na oku szczególniejsze podkanclerzego, i, o nim wiedział najwięcej, ale też główny interes skupiał się około niego, bo on zawczasu

snuł to, co całej wyprawie, wojnie i zwycięztwom koniec położyć miało.

Wiedział też Tyzenhauz, na dworze Radziejowskiego mając życzliwą młodzież, iż załedwie do Lublina przybywszy, podkanclerzy, natychmiast się na długą i wielce ożywioną naradę zamknął z podczaszym Dębickim.

Zgoda pozorna Radziejowskiego z żoną, jak Tyzenhauz utrzymywał, była podstępem i zdradą, a namówienie jej na podróż miało też cel jakiś tajemny, którego, chociaż nie odgadywał, istnienia się jego domyślał.

W czasie całej podróży do Lublina zachowanie się Radziejowskiego uderzającym było, bo on sam głównie Maryi Ludwiki się trzymał, przy niej ciągle jechał, jej służył, królowi tylko wówczas się uprzykrzając, gdy wiedział, że mu najnieznośniejszym będzie. Podkanclerzyna zaś, której zwykle tak zazdrośnie doglądał, wszystkim do niej broniąc i utrudniając przystępu, jechała teraz zostawiona sama sobie, tak, że i król mógł swobodnie się zbliżyć do niej i ci, coby między nim a nią pośredniczyć chcieli.

Unikała jednak widocznie podkanclerzyna wszystkiego, coby na nią i na króla podejrzenie jakies ściągnąć mogło.

A król wcale się do niej zbliżać nie usiłował, i ledwie że nie unikał, już-to dla królowej, już

dla dworu, naostatek i zpowodu Radziejowskiego, którego postępowanie było dla niego niezrozumiałem i podejrzanem.

Ze wszystkich tu przybyłych i przebywających osób Marya Ludwika była pewnie najszczęśliwszą i po niej poznać było można, iż dopięła czego pragnęła, a o przyszłość była spokojną. Mogła sobie powiedzieć, że podbiła Polskę i panowała nad nią. Król rozkazów jej i skinień słuchał, bardzo rzadko próbując się wyzwolić, a nigdy nie mogąc tego dokazać.

Z wielkim taktem, Marya Ludwika, gdy wybuchał zbyt gwałtownie, dawała przejść pierwszemu impetowi, czekała, łagodziła, a że prędko się nuził, nawracała go potem według swej woli. Znali to już i wiedzieli o tem wszyscy.

Wojna, która króla sławą okryć miała, była w większej części jej dziełem, a tak ją obchodziła, że gotowa była nawet towarzyszyć królowi, będąc pewną, że żadne nie mogło zagrozić jej ani jemu niebezpieczeństwo.

Jan Kazimierz nie sprzeciwiał się dotąd tej fantazyi, chociaż wydawała mu się ona dziwną. Senatorowie i hetmanowie nie taili się z tem, że podróż królowej podobać się im nie mogła. W ich przekonaniu niewiasty, chociażby królowe, tam, gdzie się krew przelewać miała, bez obrazy niewieściego uczucia znajdować się nie mogły,

a wcale potrzebnymi nie były, bo raczej zmieścić niż serca dodać umiały. Szemrano na tę fantazję, niemal powadze wyprawy ujmującą. Królowi, nie śmiano mówić o tem, lecz kanclerze biskupi i przybywający senatorowie—wszyscy zgodnie postanowili dalszą podróż odradzać i królową namówić do powrotu do Warszawy, gdzieby z prymasem sprawami bieżącymi mogła się zajmować.

Król, jak w niczem, tak i w tem, nie chciał się zonie sprzeciwiać.

Po uroczystości oddania miecza i szyszaka poświęconego w kościele i przebaczeniu Lubomirskiemu danem, król natychmiast i z niezwykłą sobie żwawością zajął się przeglądaniem wojsk, które tu znalazł. Po rannem nabożeństwie, chociaż dnie niezawsze bywały piękne, a słoty i zimno przeciągały, po całych dniach czasami stał na koniu, lustrując przeciągające regimenty, i rozpytując o nie. Otaczał się też samymi prawie wojskowymi, a o niczem więcej nie mówi, jeno o sprawach wojennych.

Ztąd już na wszystkie strony, co było ludzi do tego zdatnych, wyprawiano na zwiady, po języka aż ku Konstantynowu, Winnicy, Kamieńcowi, i ciągle też któryś z panów odbierał mniej więcej pewne wiadomości, a te natychmiast przyno-

szono królowi, który je na radzie roztrząsał i sprawdzał.

Królowa tymczasem zabawiała się, objeżdżając kościoły, słuchając nabożeństwa lub u siebie przyjmując napływających gości. Na tych jej nie zbywało nigdy, gdyż i czasu wojny ludzie umierali, wakanse się otwierały a niemi ona rozporządzała.

Wszyscy jednak odwiedzający królową, jakby się na to zmówili, o dalszej podróży mówiąc, zgodnie ją prawie za niemożliwą, wielce utrudniającą a niebezpieczną ukazywali.

Szczególniej Kozactwa napaści niespodziane, które w dalszym pochodzie dnia i nocy spoczynku nie dopuszczały, wystawiano jako groźne, a dla kobiet równie, jak dla wojskowego dworu króla, utrudniające i niebezpieczne.

Marya Ludwika na to nie odpowiadała, albo w śmiech obracała postrachy.

W jej pojęciu pospolite ruszenie takie, przy wojsku komputowem, i cudzoziemskich zaciągach, powinno było być tryumfalnym pochodem.

Pamiętała ona obyczaje Francyi, gdzie bardzo często królowe na wyprawę monarchom towarzyszyły, ale na to odpowiadali znający oba kraje, iż w Polsce, szczególnie na kresach, nawet czasu pokoju podróże łatwe, ani przyjemne nie były; cóż dopiero czasu wojny!

Sama ona podróż swoją pierwszą, po koronacy z Władysławem IV odbyłą, przypominając, łatwo mogła uwierzyć przestrogom, lecz zarazem nadto ponęt miała ta świetna wyprawa, aby się łatwo od niej odwieść dała.

Marszczyła się, słuchając tych groźnych opowiadań, a najczęściej je przerywała inaczej zwracając rozmowę.

W końcu jednak musiała powtarzającym się ze wszech stron głosom dać mimowoli ucha.

Radziejowski grał w tem jakąś niejasno oznaczoną rolę. Nie sprzeciwiał się królowej, nie namawiał jej też, nie zniechęcał, zdawał się więcej badać, niż stanowczą myślą kierować.

W jednym tylko stale trwał: to w sposobie wyrażania się o królu, gdy sam na sam był z Maryą Ludwiką. Nie wydawał się ze swą niechęcią ku niemu, ani z tem, że żał mógł mieć jakiś do niego, lecz nieustannie krytykował czynności, okazywał niezręczne postępowanie i dawał to czuć, że gdy nie stanie opieki i rozumu żony, Jan Kazimierz da się łada komu zawładnąć i cała ta wielkich nadziei wyprawa na niczem spełznąć musi.

Nadto pochlebiało to Maryi Ludwice, aby mogła stawać w obronie męża, którego zresztą najlepiej знаła i wiedziała, jak mu było trudno na jednej wysokości utrzymać się długo.

Teraz jednakże wistocie ją nawet król zadziwiał, tak brał do serca swe obowiązki i gorliwie je pełnił, nieokazując najmniejszego znużenia i wyczerpania.

Podkanclerzy całe dnie na dworze to przy królu spędzając, to u królowej, napozór im oddany, wieczorami się schodził z Dębickim, który podobnych sobie sprowadzał, i późno w noc układano plany, jakby z tego wszystkiego skorzystać, wodę tę zamącić i ster opanować.

Wydawało się to tem łatwiejszem, iż król wistocie nikogo nie miał przy sobie, któryby mu mógł być radą zdrową i sumienną. Poróżnienie się z Lubomirskim, na wpół tylko złagodzone, odpychało od niego kanclerza Radziwiłła; nie miał Ossolińskiego, jak przedtem; z duchownych żaden wyższością umysłu nie mógł zapanować nad nim.

Właśnie taką rolę przeważną, jak odegrywał długo kanclerz Ossoliński, marzył może dla siebie Radziejowski.

Król mu się wydawał słabym, a królową usiłował natchnąć dla siebie zaufaniem i stać się jej niezbędnym.

Na wieczornych tych przy winie obradach z Dębickim i kilku zausznikami, mającymi im na dworze i w wojsku służyć za narzędzia. Radzie-

jowski otwarcie i z lekceważeniem mówił o przyszłości, jakby ją już miał w ręku.

— Wierzcie mi, ja na niego codzień patrzę—mówił Radziejowski—król czem był od początku, tem podziśdzeń pozostał—człowiekiem małej głowy a żadnego charakteru. Zapał w nim sztucznie wzniesiony przez żonę, nie potrwa, bo w nim nie trwa nic, nigdy długo. Ona, choć przebiegła niewiasta—ale kobietą jest i powodować się daje. Niema nikogo, coby w Rzeczypospolitej to stanowisko zajął, jak swojego czasu, na przykład, Zamoyski. Otwarcie powiadam, ono się mnie należy i ja je zdobyć muszę.

— Powinieneś—wołał Dębicki—jest-to twój obowiązek względem tej Rzeczypospolitej. Pół drogi już zrobiłeś.

— Więcej niż połowę — przerwał Radziejowski — sądzę, że ta wyprawa mi da cel osiągnąć. Ja wszystko z góry przewidziałem... króla z królową poróżnić potrzeba... wojsko, a szczególniej pospolite ruszenie do niego zniechęcić.

Nie lubi mnie; ja to wiem—śmiał się podkanclerzy—ale znosić będzie musiał, bo się nie obejdzie. Naówczas ja moje warunki mu podyktuję... z królową zawładnę wszystkiem, a zostawię go z małpami.

Zausznicy zwykle dokładali, że król wogóle miłości i popularności nie miał. Malowali sobie

ci spiskujący wszystko w jaknajświeńszych barwach dla siebie.

Podkanclerzyna, która królowej — jak się to nazywało — towarzyszyła i zajmowała pewne miejsce w jej orszaku, w istocie żyła dosyć osamotnioną.

Królowa do niej nie zbliżała się wcale... była zazdrosną oddawna; inne panie znajdowały ją dumną, a posądzając też że Janowi Kazimierzowi miłą była, z niechęcią patrzyły na nią, przypisując jej, że dawniej bardzo dla pięknych twarzyczek nadskakujący i pełen galanterii król, teraz się okazywał całkiem obojętnym.

Nie miała więc czasem podkanclerzyna długimi godzinami przemówić do kogo i zaudzona powracała do domu. Tu męża zastawała rzadko, a gdy przychodził, to tylko, aby się prześmiewał z niej dopytując, czy z króla była kontenta, czy miała sposobność widzieć się z nim na osobności?

Otoczoną była przez niego takim niewidzialnym tłumem szpiegów, że o każdym kroku jej donosili.

Przychodziło więc do żwawych sprzeczek co wieczora, a podkanclerzyna była żywą i niecierpliwą, więc niekiedy gwałtownemi się one kończyły wyrzutami. Nigdy jednak Radziejowski nie dopuścił do ostateczności i nazajutrz, jakby

zapomniał waśni — witał żonę pół grzecznie, na pół szydersko.

W obojgu to pożycie coraz większy wstręt budziło; podkanclerzyna płakała i mówiła sobie, że z mężem tym nie wytrwa, że ostatecznie musi go porzucić i rozdzielić się.

Postanowienie to powzięła już czasu podróży, ale się z niem nikomu nie zwierzała. Doprowadzenie do skutku, nawet przy największej energii i przy czynnej pomocy rodziny, związane było z tysiącem trudności.

Chcąc się rozstać z podkanclerzym, jejmość musiała porzucić ten wspaniały pałac swój, pełen skarbów, i na łup go mu zostawić, mógł też zawładnąć dobrami—była w jego mocy.

Rozmyślała nad tem nieszczęśliwa Radziejowska, gdy dnia jednego królowa, ona, wszystkie damy, wyżsi urzędnicy, dwór, zostali zaproszeni na *collezione*, którą nuncyusz wydawał w refektarzu księży Dominikanów, *ad hoc* przystrojonym.

Cały wielki świat miał się tam znajdować, musiała więc być i ona. Zrana tegoż dnia jednak oświadczył jej mąż, ażeby którąkolwiek z pań zaprosiła do towarzystwa i z nią razem pojechała, gdyż on niepewnym jest, czy się tam będzie znajdować, lub później chyba nadjedzie.

Ułożywszy się więc z księżną Sapieżyną, która po nią przybyć miała, piękna Elżbieta, cała klej-

notami okryta, i pomimo biadości i zmęczenia, dnia tego uroczą jaśniejącą pięknoscią, — udała się na *collazione*.

Znajdowała się na niej królowa z całym dworem, wszystkie panie i żony senatorów, które się podówczas w Lublinie znajdowały—wielu duchownych i król też w towarzystwie kilku świeckich, senatorów.

Pomyślne wiadomości, jakie z prowincyi nadchodziły o gotującym się pospolitem ruszeniu, Jana Kazimierza wprawiły w tak wesołe usposobienie, w jakim na wielkich zgromadzeniach rzadko go widywano. Śmielszym też był dla kobiet i bardziej nadskakującym.

Królowa, którą zabawiał Nuncyusz i liczne grono otaczało, nie miała możności śledzenia kroków jego, co może do swobodnego poruszania się przyczyniało.

Obchodząc wkoło panie, król w końcu zbliżył się do podkanclerzyny.

— Dziś pani jesteś—rzekł, witając ją—w całym blasku... Cieszę się tem — bo to znakiem, iż podróż jej się nie uprzykrzyła.

Piękna Elżbieta oczy na niego podniosła.

— A! jak to mylny sąd, N. Panie—rzekła—My, kobiety, zmuszone jesteśmy często się najweselej uśmiechać, gdy nas najwięcej serce boli.

Zatrzymał się król, obejrzawszy dokoła.

Boży gwiew. Tom II.

Przy Radziejowskiej siedziała tylko Sapieżyna, dla której ona tajemnic nie miała.

— Radbym się coś dowiedział — szepnął pochylając się król — ale...

— A! i ja bym też rada była wielce poskarżyć się i poradzić. Potrzebuję tego pilno.

Król dał znak ręką, podszedł kroków kilka, obejrzał się dokoła szepnął coś Tyzenhauzowi stojącemu u drzwi i powrócił do podkanclerzyny.

— Mów pani śmiało — rzekł — druga się może zrzeczność nie nadarzy, potrzeba z tej korzystać.

Radziejowska rzuciła oczyma bojaźliwie dokoła, lecz wkrótce nabrała mężstwa.

— Życie moje — poczęła — staje się niewysłowioną męczarnią. Sądziłam w początkach, iż ją znieść potrafię lub zmiękcze mojego prześladowcę, ale męka przewyższa siły, a człowiek, który ją zadaje, nie ma litości — i zmienić się nie może.

Mam niezmiennie postanowienie rozstać się z nim — inaczej — by mi z życiem chyba się pożegnać przyszło. Niech mi Bóg przebaczy, jeżeli go niesłusznie posądzam, lecz nie ledwie — by można wnosić z jego postępów, iż tak jak się od dwu pierwszych uwolnił — chce i ode mnie oswobodzić się — życie mi skracając.

— Na Boga! — przerwał król — cóż się stało nowego?

— Nowego! — podchwyciła podkanclerzyna — niema nic; życie się wlecze jak szło, coraz tylko nieznośniejsem się stając. Każdego dnia muszę cierpieć urągowiska, wymówki, pogróżki, lekceważenia... chociaż najmniejszego do nich nie daję powodu. Łzy wypłakałam, cierpliwość się wyczerpała — gniew i oburzenie biorą górę... Nie — nie! ja z nim żyć nie mogę... nie będę.

Król dał znak nagłący, aby mówiła ciszej, zasępił się mocno.

— Niewymowna to boleść dla mnie słyszeć o tem pani postanowieniu, i to właśnie w chwili, gdy ja jej pomocą być nie mogę. Lecz zaklinam, zastanów się — czas i pora wiele znaczą. Wprawdzie — będzie on zmuszonym mi towarzyszyć — ale pod wszystkimi względami rzecz trudna do wykonania. Mogą być straty nieobliczone.

— Straty! — przerwała Radziejowska — ale ja je za nic ważę! życie i cześć moję ratuję. Nie wolnicą być nie mogę... Mam braci...

— Nawet przy ich pomocy — rzecz do wykonania trudna — odezwał się Jan Kazimierz — ale tu dłuższej o tem rozmowy prowadzić nie podobna. Jutro... u księżny — wskazał Sapieżynę, gdybym powracając z obozu ją zastał.

Podkanclerzyna z wdzięcznością pokłoniła się bardzo nisko, a król, na którego przedłużoną nieco rozmowę już zwracano oczy, natychmiast

posunął się dalej i z panią wojewodziną lubelską począł wesołą pogadankę.

Szczęściem, w czasie tego epizodu podkanclerzego jeszcze nie było w klasztorze, ale jejmość pewną była, że mu doniesionem będzie, iż król z nią dłużej nieco rozmawiał. Radziejowski późno się tu zjawił, około nuncyusza i królowej na-przód zabawiwszy nieco, poszedł witać innych znajomych, a gdy naostatek przyszedł do żony—szepnął jej szydersko do ucha, że winszuje łaski królewskiej.

Z oburzeniem ruszywszy ramionami, podkanclerzyna nie odpowiedziała.

W domu Radziejowski wznowił o tem rozmowę i zyskał tylko odprawę pogardliwą. Rozeszli się, jak zwykle, podrażnieni.

O naznaczonej godzinie podkanclerzyna czekała już na przybycie króla u Sapieżyny, od wczora jeszcze rozgorączkowana, płacząca, naprzemiany to odgrządzając się na męża, to biadając na los swój nieszczęśliwy.

— Mój Adam mnie rozpieścił — mówiła — i ja, którą on na ręku nosił, com była panią i królową, której słuchano skinienia, dziś — dziś mam być w mocy takiego człowieka bez serca, bez sumienia, bez czucia! Możeż być los okropniejszy!

Księżna próżno starała się ją utulić i pocieszyć — podkanclerzyna exaltowała się swem nie-

szczęściem do tego stopnia, iż nie jej ułagodzić nie mogło. Dlatego tak obie wyglądały i oczekiwały przyrzeczonego przybycia króla, który nie-rychło, sam jeden ze dwoma tylko dworzanami z pułku swojego, nadjechał konno.

Gospodyni wraz z podkanclerzyną wyszły na spotkanie przeciwko niemu. Jan Kazimierz wracał ze zwykłej lustracyi w dosyć wesołym humorze, ale widocznie zakłopotany tem, iż tu wstępował, bo każdy krok jego rejestrowano. Mieszkanie Sapieżyny było na Grodzkiej ulicy, ludnej i na widoku, nie mogło się więc utaić, że się tu znajdował, ani jak długo miał zabawzić.

Zaledwie na próg wstąpiwszy, Jan Kazimierz zwrócił się do Radziejowskiej.

— Mówmy, pani moja, o was, bo ja, na nieszczęście czasu nie mam, a tylko-co niewiadać, jak mnie kto i tu napędzi. Cóż się to dzieje? podkanclerzy przecież zdawał się rozumniejszym i powolniejszym? sam na tę podróż namawiał? Nie widzę powodu, dla którego by z niej miał być niekontent? Co go tak podrażniło?

Radziejowska rączki złożyła i załamała.

— N. Panie — rzekła z wielkim ogniem — któż może powiedzieć, że pana Radziejowskiego zrozumiał? Jest łagodnym i uśmiechającym się, gdy mu to potrzebne, gniewa się nazimno, jeżeli przez to chce komu dokuczyć lub nastraszyć.

Wszystko u niego obrachowane, zdradliwe, niegodziwe.

— Człowiek ten budzi we mnie obrzydzenie, ohydę... ja żyć z nim nie mogę, ja uwolnić się muszę.

— Ale w jakiż sposób się to stać może?—odezwał się król łagodnie—mówmy...

Księżna Sapieżyna, widząc, że rozmowy i rady tej poufnej może być niewygodnym świadkiem, zwolna, niepostrzeżenie cofnęła się do drugiego pokoju, zostawując podkanclerzynę samą na samą z królem.

Drzwi pozostały otwarte.

Usiadł Jan Kazimierz i wskazał obok siebie krzesło Radziejowskiej, która je zajęła.

— Myślałem już o tem od wczoraj — mówił król—biorąc za rękę podkanclerzynę i wpatrując się w nią ze współczuciem wielkiem. — Ja też jestem tego przekonania, że z nim żyć nie możecie, bo-by to było, nie życie, ale nieustanna tortura...

— Lecz chcieć się uwolnić od niego, nie mała rzecz i nie łatwa. Radziejowski ani was, ani mienia waszego łatwo z rąk nie wypuści. Prawo mu daje pewną siłę, u was jest jak u siebie w domu drzwi mu zamknąć nie możecie. Zechciecie ująć od niego—musicie mu na łup wszystko zostawić, a to jest rzecz nie mała. On zmarnuje i roz-

proszy wszystko, co nieboszczyk Adam przez całe życie zbierał i co wy lubicie i cenicie, jako pamiątkę po nim... może też wam swoją rajtaryą i ludźmi z Krytowa i Radziejowic pozajeżdżać folwarki. Wypowiedzieć mu wojnę, pani moja, to się potrzeba na wszystko przygotować co godziwe i niegodziwe, bo on *per fas et per nefas* prześladować i mścić się będzie, a na złe rozum ma!

Król mówił żywo, z wlepionymi w niego oczyma słuchała podkanclerzyna, a chwilami łzy jej się wymykały zpod powiek.

— Pani moja — odezwał się Jan Kazimierz—zrywać z nim teraz nie radzę,—nie można; cierpieć jeszcze. Gdy, da Bóg, powrócimy z tej wyprawy do domu, potrzeba będzie obmyśleć i przygotować środki, wybrać godzinę... abyście strat i przykrości mieli jak najmniej. Ja, z mej strony, przyrzekam wam jak najsilniejsze poparcie.

Co się tyczy królowej—dodał, spuszczaając oczy i zniżając głos—co się tyczy królowej, lękam się, ażeby nie wzięła strony podkanclerzego, gdyż on bardzo jej nadskakuje... a ja, ja — przebaknął zmieszany nieco — ja, mnie... trudno będzie do królowej za wami przemówić—bo... wiem, że mnie posadza.

— Wszystko to tymczasem rzeczy są oddalone; dziś, świętej cierpliwości zażyć musicie—to moja

rada i —nie zrywać, ani nawet dać mu się domyślać, że to nastąpić może.

Podkanclerzyna wysłuchiwała drżącą rad, które król z widocznem dla niej współczuciem wypowiedział... ale w końcu, wybuchnęła płaczem, który dotychczas powstrzymywała.

— Każdy dzień, każda godzina, z tym człowiekiem niewysłowioną jest dla mnie męczarnią. Zdaje mi się, że naumyślnie sili się na to i obmyśla środki, aby jaknajsrożej mnie utrapić. To, o czem wie, że mnie dotknie, obrazi — umęczy, — wybiera — litości nie ma, wstydu nie ma. Nieraz się przed domownikami własnymi rumienić muszę. Posądzania, wymówki — życie moje przeszłe, moje szczęście... ma nieustannie na ustach... W. Król. Mość słyszeliście o konterfekcie nieboszczyka, który z mego pokoju na strych wyrzucić kazał, ale tożsamo się dzieje z najdroższymi pamiętkami.

Dochodzi to do obrzydliwej swawoli. Chłopców jego zabijają mi z jego rozkazu najulubieńsze ptactwo moje, po pokojach z łuków strzelając. Nie mam szkatułki i schówki, w której-bym coś ukryć mogła; odbija mi zamki, zabiera papiery. Do braci listów wysłać nie mogę, bo i te są podejrzone.

We własnym domu być na łasce sług przekupionych.

Radziejowska we łzy się rozplęnęła — Jan Kazimierz mocno przejęty, starał się ją pocieszyć i dodać mężstwa.

— Nie może ta męczarnia trwać długo — dodał. — Pani, podkanclerzyno powracaj do Warszawy, a ja go zatrzymam przy sobie. Wystawił mi pułk rejtaryi, który chce prezentować, a oprócz tego nie zdaje mi się, aby obóz opuścił. Z obowiązku przy nas być musi. Masz więc pani czas wypocząć, namysleć się, a nawet sprowadzić braci ku pomocy. Królowa — dodał, nieco głos zniżając — nie wiem z pewnością, jak długo towarzyszyć mi będzie. Życzyłaby sobie być ze mną i ma męstwo po tem, ale panowie senatorowie słusznie są przeciwni, i ona więc do Warszawy powróci, a waćpani albo z nią, lub sama powinnaś też wracać.

— Dotąd — wtrąciła Radziejowska — nastawał na to i upierał się się, abym jechała. Jaki w tem cel miał i ma, niewiem. Trudno go zrozumieć. Być więc może, iż się i odjazdowi mojemu sprzeciwi, jeżeli mu to przeciw jego myśli.

— Cóż w takim razie? — zapytał troskliwie Jan Kazimierz.

Dumnie podniosła piękną główkę pani podkanclerzyna.

— Mam jeszcze garstkę ludzi własnych, mnie wiernych i posłusznych — rzekła — i gdy wydam

rozkazy do wyjazdu—posłuchają mnie, nie jego. Zresztą ułożę tak w potrzebie odjazd, ażeby nie wiedział o nim, lub się dowiedział za późno.

Rozśmiał się król niedowierzająco.

— Moja pani podkanclerzyno — odparł — nie pochlebiajcie sobie, ażebyście wy go mogli wczem ubiedz. Wie on, zdaje mi się, nietylko każde słowo wasze, ale niemal myśl każdą. Postępujcie ostrożnie... a nadewszystko przed czasem mu się nie dawajcie domysleć tego, iż macie postanowienie się z nim rozstać. Gdy do tego nareszcie przyjdzie, będziecie musieli do klasztoru się udać, dopóki w Rzymie nie wyrobimy rozwodu. Sprawa ta pociągnąć się może, a tymczasem i dobra zabezpieczyć potrzeba od napaści i zmarnowania.

Wzdychała ciężko Radziejowska.

— Dyssymulujcie—mówił król dalej—chociaż ja to najlepiej wiem, jak trudno dyssymulować, gdy się ma wstręt i pogardę dla człowieka. W takim i ja jestem położeniu względem niego, bo zdawna mi jest wstrętliwym, a narzuca mi się i nabija tak, iż go się niczem pozbyć nie mogę. Wie bardzo dobrze, jakie mam dla niego sentymenta, ale właśnie, aby mi się naprzykrzać i dojeść mi — nie odstępować na krok. Próżno się odwracam, uchodzę, nie słucham i nie odpowiadam; zabiera głos, zachodzi ze wszech stron... naosta-

tek, gdy sam już nie może, od królowej zleceń się do mnie podejmuje, aby mnie niemi i sobą męczył.

Widzicie kochana podkanclerzyno, że go znam, bo się tak ze mną, jak z wami obchodzi. Jedyna rada moja, dyssymulujcie... a ja też do czasu, znosić go muszę.

W ciągu tej narady poufnej, Sapieżyna była w drugim pokoju, gdzie z siostrzenicą swą rozmawiała i ani ona, ani król, ani wielce rozdrażniona pani Radziejowska, nie uważali i nie słyszeli, że pan podkanclerzy zawiadomiony pewnie o umówionem spotkaniu u Sapieżynej, cicho podjechał konno w podwórze, wierzchowego oddał towarzyszącemu hajdukowi, na palcach niemal podkładał się podedrzwi, a potem nagle je otwierając z hałasem zwycięzcy, wpadł do komnaty, w której król siedział z panią podkanclerzyną.

Twarz jego szydersko, złośliwie się śmiała, oczki przymrużał i krokiem od niechcenia, powolnym podszedł króla, który czerwieniał się, bladł i do najwyższego stopnia rozgniewany, upokorzony, dumając też i pańską przybrał postawę.

Radziejowska na widok męża, jak trup zbladła, wiedziała, co ją czekało za to pochwycenie na rozmowie, która nawet świadka nie miała, bo Sapieżyna w chwilę potem dopiero głos obcy

posłyszawszy, ukazała się na progu z siostrzenicą.

Podkanclerzy nie zwracając się do żony, podszedł z ukłonem do Jana Kazimierza.

— Szukałem wszędzie w. król. mości — rzekł — bo pilne sprawy z kanclerzem czekają, królowa też dopytywała się, nie wiem jakim szczęśliwym trafem myśl mi przysłała tu zajrzeć.

— Ale ja wprost z monstry jadę — odparł król kwaśno — a niema minut kilku, jakem tu przybył, chcąc panią Sapieżynę odwiedzić. Mogłiscie się łatwo dowiedzieć o mnie, bo tajemnicy z moich przejazdów nie czynię.

Radziejowski śmiał się.

— Należała w. król. mości — począł ciągle sarkastycznie, a oczyma na żonę rzucając — należała choć chwila spoczynku po tylu fatygach od rana, około lustracy pułków.

Król nic nie odpowiadał.

— To się wie — mówił żywo podkanclerzy — co żywiej rozsyłać potrzeba, nie ma chwili do stracenia. Kozactwo Kalinowskiego napiera, a Chmiel pospiesznie na nas ciągnie, aby zebranie się pospolitego ruszenia uprzedził i pobił nas nim ono nadejdzie.

— Województwa zaś, wiadoma rzecz, nie bardzo rade terminu pilnować, i wymówki mieć będą dosyć.

— Pospolite ruszenie na piąty Czerwea — dodał Radziejowski — daj Boże, aby pod Konstantynów nadążyło, a tymczasem co z nami będzie....

Zagadywanie to — *de publicis*, jak gdyby tylko sprawę Rzeczypospolitej miał na sercu Radziejowski, w takiej było sprzeczności z jego twarzą i rzeczami, iż zwiększało króla rozdrażnienie.

Nie odpowiadając Radziejowskiemu podniósł się król, gniewny, zwrócił do gospodyni domu, która się właśnie ukazała na progu i pożegnawszy ją, równie swobodnie kilku słowami cicho wyrzeczonymi pożegnał podkanclerzynę, która nie zważając na złośliwe męża wejścia, odprowadziła do progu, odchodzącego.

Podkanclerzy, który, jak sam mówił, za królem gonił i szukał go tu dla spraw pilnych, zamiast mu teraz towarzyszyć, co się zdawało obowiązkiem, zawrócił się, odprowadziwszy do konia, nazad do mieszkania Sapieżyny.

Twarz mu promieniała zwycięstwem, zemstą jakąś podkarmionem, wiedział dobrze, że i Sapieżynie i żonie może dokuczyć, a to właśnie najpożądańszem mu było.

Najpierw więc do Sapieżyny się obrócił, dziękując szydersko, iż była tak łaskawą, żonie jego miłe spotkanie z królem jegomością ułatwić.

Jejmość, charakteru nie łagodnego, opryskliwa a śmiała, napadła na niego z góry.

— Wstydzilibys się asindziej, panie podkanclerzy — zawołała — mnie posądzać, a żonie dojadać. Cóż to się tak straszno stało, iż król u mnie ją zastał? albo to dziwna, iż Elżusia ma dla niego weneracyę i wdzięczność. gdy to i waćpanu wiadomo, że gdyby nie król, nie miałyby po pierwszym mężu nic, a i waszmość bys się też nie obłowił!

Radziejowski śmiałą tą odpowiedzią zrazu trochę się uczuł zmieszany i byłby może wybuchnął nie szczędząc gospodyni, lecz go coś powstrzymało.

— Cóżem to ja tak złego powiedział? — zaczął śmiejąc się — dziękowałem, nic więcej, bo wiem, że mojej żonie widzenie się i rozmowa z królem milszą jest nad inne, nawet, niż ze mną! Stara to przyjaźń, a my poddani j. król. mości, powinniśmy szczęśliwymi się czuć, gdy którego z nas, czy żonka, czy córka wpadnie w oczy majestatowi. Przez to się wszystkiego dobrego dla domu spodziewać można.

Oburzona podkanclerzyna płakała, na co mąż bynajmniej nie zważał, tem weselszym się okazując. Sapieżyna, nie zważając na gościa, odwróciła się od Radziejowskiego. ujęła pod rękę podkanclerzynę i nie żegnając go, wyszła z nią do drugiego pokoju, drzwi zamykając za sobą.

Podkanclerzy natychmiast kapelusz włożył na

głowę i w boki się ująwszy hałaśliwie wyszedł na ganek, rozkazując sobie podać konia, który czekał na niego, wraz ze służbą.

Długiego czasu potrzeba było, wody i larendogry, nim podkanclerzyna wzruszona, przyszła do siebie.

— Nie masz co tak bardzo zważać na niego — pocieszała ją Sapieżyna — niech sobie plecie co chce, nie wyrzuca ci sumienie nic, króla sobie tem naraził, bo go szpiegował; zresztą nic się nie stało.

Radziejowska nierychło potem do domu odjechała.

Podkanclerzy wprost ztąd udał się do królowej, ale tu zastał tak liczne towarzystwo, że przystąpić do niej nie mógł.

Nieznane panie, które tu z mężami przybyły, przychodziły z kolei pokłonić się pani swej. aby mieć potem wspomnienie, że ją widziały, choć niewiele z nich rozmówić się z nią mogło, bo nauka języka francuzkiego nie była jeszcze rozpowszechnioną, z wyjątkiem najarystokratyczniejszych domów, a między starszemi paniami łatwiej było można znaleźć taką, co po łacinie się rozmówić umiała, niż po francuzku; królowa zaś, choć po polsku rozumiała trochę, mówiła tym językiem źle i niechętnie.

Dosyć było niektórym z pań być przypuszczo-

nemi do ucałowania ręki i do widzenia oblicza.

Ichmościów też duchownych, świeckich i wojskowych na pokojach Maryi Ludwika nie zbywało nigdy, cisnęli się wszyscy, jako do dystrybutorki łask i istotnie królowej. Wiedzano, że przez nią i do króla trafić było najbezpieczniej a najłatwiej.

Na przyjęcie też w mieście i przez ziemian skarżyć się nie mogła Marya Ludwika. Miasto po naradach i zasięgniętych wiadomościach, wystąpiło z podarkiem przystojnym.

Nie mogło wprowadzić, jak Gdańsk, ofiarować kilku tysięcy pięknych, umyślnie odbitych monet, ale naczynia srebrne pozłociste, przydały się też skarbcowi królowej jmości.

Co dzień prawie zabawiano ją ogniami sztucznymi, które z Warszawy sprowadzony kunsztmistrz wyprawiał. Czas schodził dosyć przyjemnie.

Podkanclerzy pod pozorem spraw jakichś pozostał na pokojach, aż się wszyscy oddalili. Szło mu oto, ażeby królową zawiadomił o szczęśliwych swych łowach. Wiedział, że bądźco bądź, zawsze ją to cokolwiek zniechęci i odstraszy od króla.

Obrócił w żartobliwy sposób swoje oskarżenie.

— Gonilem dziś za królem jmością w pole —

odezwał się — lustrował pulki, alem się przypóźnił, a król pośpieszył na inną lustracyą.

Rozśmiał się; Marya Ludwika ciekawie się zwróciła ku niemu.

— Pojechał zawczasu swe dawne znajomości odwiedzać — ciągnął dalej Radziejowski. — Znalazłem go, jakimś instynktem u Sapieżyny, ale on tam nie jej szukał...

Zatrzymał się nieco. Królowa słuchała ciekawie.

— Znajdowała się tam żona moja — mówił dalej Radziejowski. — Wczoraj razem były u w. król. mości, gdzie król się z żoną moją zmówić musiał, gdzie się spotkać mogą bezpieczniej na poufałą rozmowę, to jest na to, aby się ona przeciwko mojej tyranii skarżyła. Jakoż przydybałem ich oboje, samych, bo Sapieżyna nie chciała snadź czułym zwierzeniom przeszkadzać...

Począł śmiać się podkanclerzy, chociaż widział, jak surowo zmarszczyła się królowa i usta zacięła.

Nie wdawa się jednak ani w rozpytywania, ani w dłuższą o tem rozmowę, zwróciła się ku czemu innemu.

Podkanclerzyna przez cały ten dzień pozostała u siebie, sposobiąc się do tego, co ją od męża czekało wieczorem.

Tymczasem Radziejowski, który z Dębickim
Boży gniew. Tom II.

miał do czynienia wiele, powrócił tak późno w noc, iż żona go już nie widziała.

Następnego zaś dnia rano przywitał ją wcale już ani napomykając o spotkaniu u Sapieżyny, i nie czyniąc wymówek, ani szydząc i doskwierając, czego się spodziewała. Czy to wypłynęło z rachuby, czy z lekceważenia, poznać nie mogła podkanclerzyna, lecz była mężowi nieledwie wdzięczną, że ją w pokoju pozostawił.

Wypadek ten, zamiast pogorszyć stosunki pomiędzy małżeństwem, prawie, przeciwnie, uczynił je znośniejszemi; podkanclerzyna oddychała swobodniej, Radziejowski zaś tak się zdawał jakimś ważnemi sprawami ciągle zajęтым niezmiernie, iż na pozór żonę zaniedbywał. Wszystko to u niego tak było umiejętnie ułożone, że chodów jego trudno się było dobać.

Mniej nawet w Lublinie królowi samemu prezencyą swą się naprzykrzał, gdyż w towarzystwie Dębickiego obchodził różne kółka wojskowe i ziemian, siejąc tam potrzebne na przyszłość ziarna... które później wschodzące pielegnować miano.

Koniec temu drugiego.

MUSEUM
JIK
ROMANOWA
332

